



SARA PENNYPACKER

PAX

ILUSTRACJE JON KLASSEN

SARA PENNYPACKER

PAX

ILUSTRACJE

JON KLASSEN

Przełożyła Dorota Dziewońska



Od autorki: Lisy porozumiewają się za pomocą skomplikowanego systemu dźwięków, ruchów, zapachów i innych środków ekspresji. „Dialogi” zapisane pismem pochylonym W rozdziałach przedstawiających punkt widzenia Paxa próbują oddać to, co lisy wyrażają swoim rozbudowanym językiem.

Tytuł oryginału
Pax

Text copyright © 2016 by Sara Pennypacker
Illustrations and jacket art copyright © 2016 by Jon Klassen
Jacket design by Dana Fritts
All rights reserved.

Copyright © for the Polish translation by Dorota Dziewońska, 2016
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo IUVI, 2016

Opracowanie redakcyjne i DTP
Pracownia Edytorska „Od A do Z” (oda-doz.pl)

Redakcja
Katarzyna Kolowca-Chmura

Korekta
Katarzyna Kierejsza

DTP i opracowanie graficzne okładki
Stefan Łaskawiec

Wydanie I, Kraków 2016

ISBN 978-83'7966'028-5

www.iuvi.pl
www.facebook.com/WydawnictwoIUVI
biuro@iuvi.pl



Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Motto

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

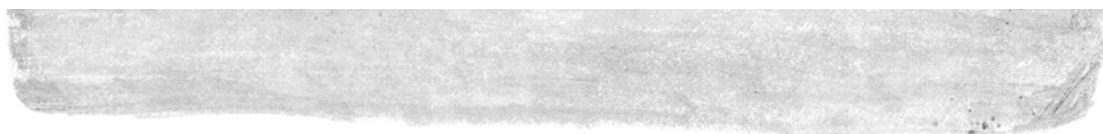
33

34

Podziękowania

*Mojemu agentowi Stevenowi Maikowi,
który powiedział: „Pax”
S.P.*





*To, że coś nie dzieje się tutaj,
nie znaczy, że nie dzieje się wcale.*



Lis wcześniej niż chłopiec wyczuł, że samochód zwalnia, bo wszystko wyczuwał pierwszy. To wzbierało w opuszkach, w kręgosłupie, we wrażliwych włoskach na przednich łapach. Po wibracjach poznał, że droga stała się bardziej wyboista. Poderwał się z kolan chłopca i skierował nozdrza ku smugom woni wpływającym przez okno. Wiedział, że wjeżdżają do lasu. Intensywny zapach sosen – drewna, kory, szyszek i igieł – niczym ostrze noża wrzynał się w powietrze, ale gdzieś pod nim ukrywały się łagodniejsze wonie koniczyzny, dzikiego czosnku i paproci oraz setek innych rzeczy, z którymi lis nigdy wcześniej się nie zetknął, a pachniały zielenią i rozbuchaniem.

Teraz chłopiec też coś wyczuł. Przyciągnął do siebie swojego liska i mocniej ścisnął rękawicę bejsbolową.

Niepokój chłopca zaskoczył lisa. Już wcześniej kilka razy podróżowali samochodem i wtedy chłopiec był spokojny albo radośnie podniecony. Lis trącił pyszczkiem rękawicę, chociaż nie znosił zapachu skóry. Chłopca zawsze to bawiło. Wkładał wówczas rękawicę lisowi na głowę, udawał, że się z nim siłuje, i dzięki temu zapominał o własnych troskach.

Dzisiaj jednak chłopiec podniósł swojego przyjaciela i mocno wtulił twarz w jego biały kołnierz.

W tym momencie zwierzak zorientował się, że chłopiec płacze. Obrócił się, żeby zobaczyć jego twarz. Tak, płakał, ale zupełnie bezgłośnie – a to było dla lisa czymś nowym. Od bardzo dawna nie widział łez na twarzy chłopca, ale dobrze pamiętał: te krople zawsze były poprzedzone krzykiem,

jakby ten hałas miał przyciągnąć uwagę do zbliżającej się fontanny słonej wody z oczu.

Zlizał łzy z policzków chłopca. Coraz mniej z tego wszystkiego rozumiał. Nie czuł zapachu krwi. Wysunął się z objęć chłopca, żeby uważniej się mu przyjrzeć, zaniepokojony, że mógł nie zauważyć jakiegoś zranienia, chociaż do tej pory węch nigdy go nie zawiodł. Nie, ani śladu krwi; nawet drobnego siniaka czy wysięku szpiku z pękniętej kości – nic, z czym lis już wcześniej się zetknął.

Samochód skręcił w prawo i umieszczona z tyłu walizka przesunęła się. Lis węchem wyczuwał, że są w niej ubrania chłopca i rzeczy z jego pokoju, których najczęściej dotykał: fotografia z biurka i drobiazgi ukrywane w dolnej szufladzie. Nacisnął łapą na róg z nadzieją, że pokrywa uchyli się na tyle, by mało wrażliwy nos chłopca wyłowił zapach tych przedmiotów. Był pewien, że to sprawi chłopcu przyjemność. Wtedy jednak samochód znowu zwolnił, tak że teraz ledwie się posuwał. Chłopiec pochylił się i ukrył twarz w dłoniach.

Serce lisa zabiło szybciej, włoski na ogonie uniosły się. Jego gardło podrażnił ostry zapach zwęglonego metalu pochodzący z nowych ubrań ojca chłopca. Skoczył do okna i skrobnął łapą po szybie. Czasami w domu, kiedy tak robił, jego chłopiec usuwał podobną szklaną przegrodę. Lis zawsze czuł się lepiej bez tej przezroczystej ściany.

Teraz jednak chłopiec wciągnął go z powrotem na kolana i błagalnym tonem odezwał się do ojca. Lis rozumiał już wiele ludzkich słów i teraz usłyszał jedno z nich: „NIE”. Słowo to często łączyło się z jednym z dwóch znanych mu imion: jego własnym lub chłopca. Nasłuchiwał uważnie, ale tego dnia było to tylko „NIE”, powtarzane w kółko z błaganiem w głosie.

Samochód zatrzymał się tak gwałtownie, że za szybą wzbił się tuman kurzu. Ojciec sięgnął ponad oparciem i powiedziawszy coś łagodnym tonem, który zupełnie nie pasował do silnej woni kłamstwa, złapał lisa za kark.

Chłopiec nie protestował, więc i lis nie protestował. Zwisał potulnie w garści mężczyzny, choć teraz odczuwał już tak silny strach, że w każdej chwili gotów był wyrwać się i uciec. Nie chciał sprawić przykrości swoim ludziom. Ojciec otworzył drzwi samochodu i szedł po kamieniach i trawie w kierunku lasu. Chłopiec wyszedł z auta i pobiegł za nim.

Mężczyzna postawił lisa na ziemi, a ten natychmiast odskoczył poza jego zasięg. Nie odrywał wzroku od obu ludzi. Ze zdumieniem zauważył, że są już niemal jednakowego wzrostu. Chłopiec ostatnio bardzo urósł.

Mężczyzna wskazał ręką las. Chłopiec dość długo przyglądał się ojcu, a z jego oczu znowu pociekły łzy. W końcu otarł twarz podkoszulkiem i skinął głową. Sięgnął do kieszeni dżinsów i wyjął starego plastikowego żołnierzyka – ulubioną zabawkę lisa.

Lis zwiększył czujność, gotów w każdej chwili rozpocząć znajomą zabawę. Jego chłopiec rzucił zabawkę, a on ją wytropił – co chłopiec zawsze uważał za wspaniały wyczyn. Lis znajdzie więc zabawkę i poczeka z nią w pysku, aż chłopiec do niego podejdzie, by mu ją odebrać i rzucić jeszcze raz.

Jak było do przewidzenia, chłopiec uniósł żołnierzyka i cisnął nim w las. Ulga, jaką poczuł lis – przyjechali tu tylko po to, by się pobawić! – sprawiła, że stracił czujność. Pognał w stronę lasu, nie oglądając się na ludzi. Gdyby się obejrzał, zobaczyłby, jak chłopiec wyrывa się ojcu i zasłania twarz rękami, i zawróciłby. Czegokolwiek potrzebował jego chłopiec – ochrony, rozrywki, czułości – lis gotów był mu to ofiarować.

Zamiast tego jednak ruszył za zabawkę. Odnalezienie jej okazało się odrobinę trudniejsze niż zwykle, gdyż las pełen był różnych świeżych zapachów. Ale tylko odrobinę, bo przecież na zabawce zachował się zapach jego chłopca. Ten zapach lis odnalazłby wszędzie.

Żołnierzyk leżał twarzą w dół na grubym korzeniu orzecha, jakby położył się tam z rozpaczy. Mocno dociskał do policzka kolbę karabinu, którego lufa zagrzebana była w liściach. Lis odkopał zabawkę pyskiem i chwycił ją w zęby, a potem usiadł na tylnych łapach i czekał, aż chłopiec go odnajdzie.

Cichy las trwał nieruchomo. Jedyne, co się poruszało, były smugi światła słonecznego przeświecające przez sklepienie z listowia jak przez zieloną szybę. Lis wyciągnął szyję. Ani śladu chłopca. Poczuł ukłucie niepokoju przebiegające wzdłuż kręgosłupa. Puścił zabawkę i szczeknął. Nie było odpowiedzi. Szczeknął jeszcze raz i tak jak wcześniej odpowiadała mu cisza. Jeśli to była jakaś nowa gra, to stanowczo mu się nie podobała.

Podniósł żołnierzyka i ruszył z powrotem. Kiedy wybiegał z lasu, nad jego głową z wrzaskiem przeleciała sójka. Lis zatrzymał się

niezdecydowany.

Tam czekał jego chłopiec. Ale tutaj były ptaki! Całymi godzinami potrafił obserwować ptaki ze swojego legowiska. Dreszcz go przeszywał, gdy patrzył, jak suną po niebie zuchwale niczym błyskawice, które widywał w letnie wieczory. Wolność w ich ruchach zawsze go urzeżała.

Sójka znowu zaskrzeczała, teraz już z głębi lasu, i odpowiedział jej chór ptasich głosów. Lis wahał się jeszcze chwilę, zaglądając między drzewa, czy nie mignie mu barwna smuga.

Wtedy usłyszał dobiegający z tyłu dźwięk zatraskiwanych drzwi. Po nim następny. Rzucił się na łeb na szyję, nie zważając na kolce drapiące go po pysku. Usłyszał warkot silnika. Zatrzymał się na skraju drogi.

Jego chłopiec opuścił szybę i wyciągnął ręce. Kiedy samochód oddalał się, obryzgiwany strumieniem żwiru, ojciec wykrzyknął imię chłopca:

– Peter!

A chłopiec wykrzyknął drugie z dwóch imion znanych lisowi:

– Pax!



Awięc było ich mnóstwo. – Peter słyszał, jak głupio to brzmi, ale nie mógł tego nie powtórzyć. – Mnóstwo. – Wsunął dłoń między plastikowe żołnierzyki przechowywane w zniszczonej puszcze po ciastkach. Wszystkie takie same, tylko w różnych pozycjach: stojące, klęczące i leżące na brzuchu z karabinami dociśniętymi do zielonych policzków. – Zawsze myślałem, że miał tylko jednego.

– Nie. Wiecznie się o nie potykałem. Miał ich chyba setki. Małą armię. – Dziadek uśmiechnął się, słysząc, jak to zabrzmiało, ale Petera to jakoś nie rozbawiło. Odwrócił głowę i wpatrywał się uważnie w ciemność za oknem, jakby dostrzegł coś na podwórzu. Przesunął grzbietami palców po linii szczęki, tak jak jego ojciec testował kilkudniowy zarost, i dyskretnie otarł łzy, które napłynęły mu do oczu. Jakie dziecko płacze po czymś takim?

Zresztą dlaczego on w ogóle płacze? Ma dwanaście lat i od dawna nie płakał, nawet gdy złamał kciuk, próbując złapać gołą ręką wysoką piłkę rzuconą przez Josha Hourihana. To bolało, ale on tylko klął pod nosem, czekając z trenerem na prześwietlenie. Nie chciał być mięczakiem. Jednak tego dnia płakał już drugi raz.

Wydobył z puszeki jednego żołnierzyka i przypomniał mu się dzień, w którym znalazł takiego samego w biurku ojca.

– Co to jest? – zapytał wtedy.

Tata wyciągnął rękę i odebrał od niego figurkę. Wyraz jego twarzy złagodniał.

– Hm, ile to już czasu... Kiedyś to była moja ulubiona zabawka.

– Mogę go sobie wziąć?

Tata rzucił mu żołnierzyka.

– Pewnie.

Peter postawił go na parapecie obok łóżka, twarzą w stronę okna, jakby bronił dostępu do pokoju. Nie minęła jednak godzina, a zwędził go Pax, co bardzo rozbawiło Petera – tak samo jak on lis zapragnął mieć tę zabawkę, gdy tylko ją zobaczył. Wrzucił żołnierzyka z powrotem do puszki i już miał ją zamknąć, gdy zauważył wystającą spośród figurek krawędź pożółkłej fotografii.

Wyciągnął ją. Jego tata w wieku dziesięciu, może jedenastu lat, jedną ręką obejmujący psa, który wyglądał jak collie wymieszany z setką innych ras. Taki grzeczny pies, o którym każdy chciałby opowiadać swoim dzieciom.

– Nie wiedziałem, że tata miał psa – powiedział, podając zdjęcie dziadkowi.



– To Książę. Najgłupsze stworzenie na świecie, wiecznie się plątał pod nogami. – Mężczyzna przyjrzał się zdjęciu uważniej i podniósł wzrok na Petera, jakby po raz pierwszy coś zauważył. – Masz takie same czarne włosy

jak twój tata. – Poglądził łysinę na skraju siwej czupryny okalającej czubek jego głowy. – Ja też kiedyś takie miałem. I zobacz, też był taki chudy jak ty, jak ja... i te odstające uszy. Mężczyźni w naszej rodzinie... niedaleko pada jabłko od jabłoni.

– Chyba tak. – Peter zmusił się do uśmiechu, ale tylko na chwilę. „Plątać się pod nogami”. Tego wyrażenia użył tata Petera. „Ten lis nie może się dziadkowi plątać pod nogami. Dziadek nie rusza się już tak szybko jak kiedyś. Ty też schodź mu z drogi. Nie jest przyzwyczajony do obecności dzieci”.

– Wiesz, wybuchła wojna i poszedłem walczyć tak jak mój ojciec. Jak teraz twój ojciec. Powinność wzywa, a my w tej rodzinie nie pozostajemy głusi na zew obowiązku. Tak jest, niedaleko pada jabłko od jabłoni. – Zwrócił zdjęcie chłopcu. – Twój ojciec i ten pies. Byli nierozłączni. Prawie już zapomniałem.

Peter włożył fotografię z powrotem do puszki i mocno wcisnął pokrywkę. Następnie wsunął puszkę pod łóżko, gdzie ją znalazł. Znowu wyjrzał przez okno. Nie chciał słuchać o obowiązku. I nie chciał już więcej słuchać o jabłkach i jabłoniach.

– O której zaczyna się tutaj szkoła? – zapytał, nie obracając się.

– O ósmej. Kazali ci przyjść trochę wcześniej, żebyś się przedstawił wychowawcy. Pan Mirez czy Ramirez... jakoś tak. Kupiłem ci trochę rzeczy. – Mężczyzna wskazał ruchem głowy kołonoratnik, podniszczony termos i garść mocno skróconych używaniem ołówków spiętych grubą gumką.

Chłopiec podszedł do biurka i włożył to wszystko do plecaka.

– Dziękuję. Jadę autobusem czy idę pieszo?

– Pieszo. Twój tata chodził do tej szkoły i nigdy niczym nie jeździł. Idź ulicą Jesionową do końca, skręć w prawo w Szkolną i tam już zobaczysz: duży budynek z cegły. Ulica Szkolna, nie da się nie trafić. Jeśli wyjdiesz przed wpół do ósmej, będziesz miał sporo czasu.

Peter skinął głową. Miał ochotę zostać sam.

– Dobrze. Wiem już wszystko. Chyba się położę.

– W porządku – odparł dziadek, nie starając się nawet ukryć ulgi w głosie. Wyszedł, mocno zamykając za sobą drzwi, jakby chciał powiedzieć: „Możesz zajmować ten pokój, ale reszta domu należy do mnie”.

Peter stał przy drzwiach i nasłuchiwał oddalających się kroków. Po minucie usłyszał brzęk naczyń w zlewie. Wyobraził sobie dziadka w ciasnej

kuchni, gdzie przed chwilą jedli w milczeniu kolację. Tak mocno czuć tam było smażoną cebulą, że chłopiec pomyślał, iż ten zapach pozostanie tu o wiele dłużej niż dziadek. Po setkach lat szorowania kuchni przez kolejne rodziny w tym domu nadal będzie się utrzymywał ten cierpki zapach cebuli.

Słyszał, jak dziadek idzie korytarzem do swojej sypialni, potem krótki trzask włączanego telewizora i ściszenie dźwięku, tak że rozemocjonowany głos prezentera wiadomości stał się ledwie słyszalny. Dopiero wtedy Peter zdjął adidas i położył się na wąskim łóżku.

Sześć miesięcy – może więcej – życia w tym miejscu z dziadkiem, który zawsze sprawiał wrażenie, że za chwilę wybuchnie.

– A właściwie co go ciągle tak denerwuje? – kiedyś, dawno temu, Peter zapytał tatę.

– Wszystko. Życie – odpowiedział tata. – Po śmierci twojej babci zrobił się jeszcze gorszy.

Kiedy zmarła mama Petera, chłopiec z niepokojem obserwował zmiany, jakie zachodziły w ojcu. Na początku była tylko przerażająca cisza. Z czasem jednak jego twarz w każdej chwili mogła się wykrzywić, a dłonie zacisnąć w pięści, jakby tylko szukał pretekstu, żeby wybuchnąć.

Peter nauczył się, jak nie stać się takim pretekstem. Nauczył się schodzić ojcu z drogi.

Zapach stęchłego tłuszczu i cebuli osaczał go ze wszystkich stron, sączył się ze ścian i z łóżka. Chłopiec otworzył okno.

Do środka wpłynęło chłodne kwietniowe powietrze. Pax nigdy jeszcze nie został sam na dworze, chyba że w swoim kojcu. Peter próbował sobie przypomnieć, jak wyglądał jego lis w chwili rozstania. Prawdopodobnie nie biegł za samochodem zbyt długo. Obraz ślizgającego się na żwirze zwierzęcia, kompletnie zdezorientowanego, był nie do zniesienia.

Peter coraz bardziej się niepokoił. Cały dzień podczas podróży czuł, jak ten lęk w nim narasta. To zawsze było niczym wąż – czekający w ukryciu, gotowy popełznąć po kręgosłupie, syczący znajome szyderstwo. *Nie jesteś u siebie. Coś złego się stanie, bo nie jesteś na swoim miejscu.*

Obrócił się na bok i wyciągnął puszkę spod łóżka. Wyjął z niej zdjęcie ojca swobodnie obejmującego białą-czarnego psa. Jakby nawet przez myśl mu nie przeszło, że mógłby go stracić.

Nierozłączni. Nie umknął jego uwadze ton dumy, która zabrzmiała w głosie dziadka, gdy to mówił. Pewnie, że miał powód do dumy – wychował

syna, który był lojalny i odpowiedzialny. Który wiedział, że dziecko i jego zwierzę powinni być nierozłączne. Nagle to słowo zabrzmiało w uszach chłopca jak oskarżenie. On i Pax, czy w takim razie oni byli nierozłączni?

Okazało się, że nie. Czasami Peter rzeczywiście miał takie dziwne wrażenie, że on i Pax stanowią jedno. Po raz pierwszy poczuł to, kiedy zabrał maleńkiego Paxa na spacer. Szczeniak dostrzegł ptaka i szaleńczo wyrывał się na smyczy, drząc, jakby go prąd poraził. Wtedy Peter zobaczył tego ptaka oczami Paxa – cudowny zygzak światła, nieosiągalną wolność i prędkość. Sam poczuł ciarki na skórze i drżenie całego ciała, a na ramionach pieczenie, jakby wyrastały mu skrzydła.

Dziś po południu to się znów wydarzyło. Gdy samochód odjeżdżał, Peter czuł się tak, jakby to jego pozostawiono w lesie. Był przerażony.

Znowu łzy napłynęły mu do oczu. Otarł je szybkimi pociągnięciami dłoni. Tata mówił, że trzeba to zrobić.

– Nadchodzi wojna. To oznacza, że wszyscy muszą coś poświęcić. Ja muszę iść służyć... to mój obowiązek. A ty musisz wyjechać.

Oczywiście gdzieś podświadomie się tego spodziewał. Rodziny dwóch jego kolegów spakowały się i wyjechały, kiedy tylko zaczęły krążyć pogłoski o ewakuacji. Nie spodziewał się natomiast całej reszty. Tego, co było najgorsze.

– I ten lis... i tak już pora, żeby wrócił na łono natury.

Kojot zawył tak blisko, że Peter aż podskoczył. Po sekundzie odpowiedział mu inny, potem kolejny. Chłopiec usiadł na łóżku i zatrzaskał okno, ale było już za późno. Skomlenia i wycia wraz z tym, co ze sobą niosły, były już w jego głowie.

Peter miał tylko dwa przykre wspomnienia o swojej mamie. Przechowywał też wiele dobrych i często je przywoływał, kiedy potrzebował pocieszenia, choć obawiał się, że od nadmiernego używania mogą wyblaknąć. Te złe wspomnienia zakopał jednak bardzo głęboko i robił, co w jego mocy, by tam pozostały. Teraz kojoty wdzierały się do jego głowy i wygrzebywały jedno z nich.

Kiedy miał jakieś pięć lat, zastał raz mamę spoglądającą z przerażeniem na grządkę krwistoczerwonych tulipanów. Połowa z nich stała na baczność, a połowa walała się po ziemi zasypanej płatkami.

– Królik. Pewnie uważa te świeże łodyżki za przysmak. Mały diabeł.

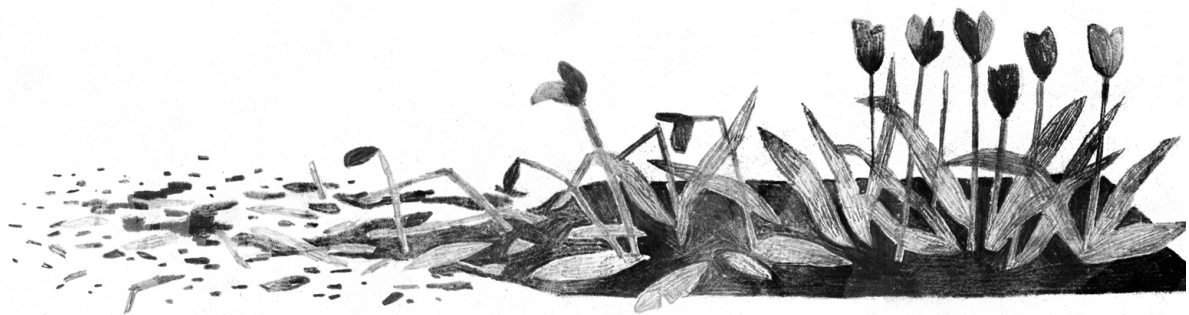
Tego wieczoru Peter pomagał ojcu zastawić pułapkę.

– Ale nie skrzywdzimy go?

– Nie. Tylko go złapiemy i wywieziemy. Niech sobie zżera cudze tulipany.

On sam włożył do pułapki marchewkę, a potem błagał ojca, żeby pozwolił mu spędzić tę noc w ogrodzie na czuwaniu. Tata odmówił, ale nastawił mu budzik. Gdy ten zadzwonił, Peter pobiegł do mamy i wyprowadził ją za rękę przed dom, żeby pokazać jej niespodziankę.

Pułapka leżała przewrócona na bok na dnie świeżo wydrapanej dziury co najmniej metr dalej. Wewnątrz był mały królik, martwy. Na jego ciele nie było żadnych śladów, ale klatka była podrapana i wgnieciona, a ziemia dookoła zryta pazurami.



– Kojoty – stwierdził tata, podchodząc do żony i syna. – Musiały go śmiertelnie przerazić, próbowały dostać się do niego. A nikt z nas się nawet nie obudził.

Mama otworzyła pułapkę i wyjęła martwe stworzenie. Uniosła je do oczu.

– To były tylko tulipany. Kilka tulipanów.

Peter zobaczył marchewkę z lekko nadgryzionym końcem i odrzucił ją jak najdalej od siebie. Potem mama włożyła mu w dłoń ciało królika i poszła po szpadel. Chłopiec przesunął palcem po uszkach zwierzęcia, które rozwijały się niczym liście paprotki, i po jego łapkach, cudownie małych, po gładkim futerku i karku, jeszcze wilgotnym od łez mamy.

Kiedy wróciła, mama pogładziła go po twarzy, która płonęła z poczucia winy i wstydu.

– Nic się nie stało. Nie wiedziałeś.

Właśnie że coś się stało. Jeszcze długo potem gdy Peter zamykał oczy, widział kojoty. Ich pazury drapiące piach, rozdziawione szczęki. Zobaczył się tam, gdzie powinien być tamtej nocy: na straży w ogrodzie. Wciąż od nowa widział się w myślach, jak robi to, co powinien: wychodzi ze śpiwora,

znajduje kamień i rzuca. Widział kojoty uciekające w ciemność, widział, jak sam otwiera pułapkę i wypuszcza królika.

Przy tym wspomnieniu wąż lęku uderzył tak gwałtownie, że Peterowi zabrakło tchu. Nie było go tam, gdzie powinien być tamtej nocy, kiedy kojoty zabiły królika, i nie było go tam, gdzie powinien być teraz.

Gwałtownie zachłusnął się powietrzem i raptownie usiadł. Przedarł zdjęcie na pół i jeszcze raz na pół i wrzucił strzępy pod łóżko.

Pozostawienie Paxa *nie było* czymś, co trzeba było zrobić.

Wyskoczył z pościeli – stracił już dużo czasu. Wygrzebał z walizki podkoszulek z długim rękawem i polar, potem jeszcze dodatkową zmianę bielizny i skarpetek. Wcisnął do plecaka wszystkie te rzeczy z wyjątkiem polara, którym obwiązał się w pasie. Wsunął scyzoryk do kieszeni džinsów. Portfel. Zastanawiał się chwilę, czy wziąć ciężkie trapery czy adidas, i w końcu wybrał te pierwsze.

Rozejrzał się po pokoju z nadzieją, że znajdzie latarkę lub cokolwiek przypominającego sprzęt turystyczny. To był kiedyś pokój taty, ale widać było, że dziadek wyniósł stąd prawie wszystko oprócz kilku książek na półkach. Puszka po ciastkach wyraźnie go zaskoczyła – widocznie ją przeoczył. Peter przesunął palcami po grzbietach książek.

Atlas. Wyciągnął go, zdumiony tym szczęśliwym zbiegiem okoliczności, i kartkował, dopóki nie doszedł do mapy przedstawiającej trasę, którą przebyli wraz z ojcem.

– Będiesz niecałe pięćset kilometrów stąd. – Ojciec kilka razy próbował przełamać panującą między nimi ciszę. – Jak tylko dostanę przepustkę, przyjadę. – Peter wiedział, że do tego nigdy nie dojdzie. Na wojnie nie dawano przepustek.

Zresztą to nie tata był tym, za kim Peter już tęsknił.

Wtem zobaczył coś, z czego wcześniej nie zdawał sobie sprawy: szosa wiła się wokół długiego pasma gór. Gdyby poszedł na przełaj, zaoszczędziłby wiele czasu, a przy tym zmniejszyłby ryzyko, że zostanie złapany. Już miał wyrwać kartkę, gdy nagle uświadomił sobie, że nie może zostawić dziadkowi tak oczywistej wskazówki. Przyjrzał się więc mapie uważnie i odstawił atlas na miejsce.

Pięćset kilometrów. Wyglądało na to, że idąc na skróty, mógł ściąć około stu pięćdziesięciu kilometrów, zostałoby zatem trochę ponad trzysta. Gdyby

pokonywał co najmniej pięćdziesiąt kilometrów dziennie, mógłby przebyć tę drogę w jakiś tydzień.

Zostawili Paxa przy końcu drogi dojazdowej do ruin starego kamiennego młyna. Peter wybrał to miejsce, bo mało kto tamtędy jeździł – Pax nie znał się na ruchu drogowym – i dlatego że dookoła ciągnęły się lasy i pola. Wróci tam za siedem dni i odnajdzie liska czekającego na miejscu. Nie chciał nawet myśleć o tym, co może się stać z oswojonym lisem w ciągu siedmiu dni. Nie, Pax będzie czekał przy drodze, w tym samym miejscu, w którym go zostawili. Na pewno będzie głodny i przerażony, ale poza tym cały i zdrowy. Peter zabierze go do domu. Zostaną tam. I niech no tylko ktokolwiek spróbuje jeszcze raz go stamtąd zabrać. Teraz już wiedział, co trzeba zrobić.

On i Pax. Nierozłączni.

Znowu się rozejrzał, opanowując pragnienie natychmiastowej ucieczki. Nie mógł sobie pozwolić na to, by coś przeoczyć. Łóżko. Ściągnął koc, rozgrzebał pościel i poklepał poduszkę, aby wyglądała, jakby na niej spano. Wyjął z walizki zdjęcie mamy, które zwykle trzymał na biurku – zrobione w jej ostatnie urodziny; trzyma w ręku latawiec, który zbudował dla niej Peter, i uśmiecha się, jakby nigdy w życiu nie dostała lepszego prezentu – i włożył do plecaka.

Następnie wyciągnął drobiazgi, które w domu ukrywał w dolnej szufladzie. Jej rękawice ogrodnicze, wciąż pobrudzone ziemią, której dotykała ostatniego dnia, pudełko jej ulubionej herbaty, która już dawno straciła miętowy zapach, grube podkolanówki w paski, które nosiła zimą. Dotykał każdej z tych rzeczy, żałując, że nie może zabrać ich wszystkich. W końcu wybrał najmniejszy drobiazg – złotą bransoletkę z emaliowanym feniksem, którą nosiła na co dzień – i umieścił w plecaku obok zdjęcia.

Ostatni raz obrzucił wzrokiem pokój. Zobaczył piłkę i rękawicę do bejsbola, więc je także wcisnął do plecaka. Nie ważyły dużo, a chciał je mieć przy sobie, kiedy wróci do domu. Poza tym z nimi po prostu czuł się lepiej. W końcu otworzył drzwi i po cichu wyszedł do kuchni.

Położył plecak na dębowym stole i przy słabym świetle lampki znad kuchenki zaczął pakować zapasy. Paczka rodzynek, krakersy, na wpół opróżniony słoik masła orzechowego. Wyjął z lodówki garść paluszków serowych i dwie pomarańcze. Nalał wody do termosu, po czym przeszukiwał szuflady, aż znalazł zapalki. Zawinął je w folię aluminiową. Pod zlewem natrafił na dwie wyjątkowo cenne zdobycze: rolkę mocnej taśmy klejącej

i paczkę wytrzymałych worków na śmieci. Brezent byłby lepszy, ale worki też go ucieszyły – wziął dwa i zapiał plecak.

W końcu sięgnął po kartkę z notesu przy telefonie i zaczął pisać: „DROGI DZIADKU”. Przyglądał się tym słowom przez chwilę, jakby były w obcym języku, a potem zmiął papier i zaczął od nowa. „WYSZEDŁEM WCZEŚNIE. CHCIAŁEM DOBRZE ZACZAĆ SZKOŁĘ. DO ZOBACZENIA WIECZOREM”. Tej notatce także przyglądał się przez chwilę, zastanawiając się, czy przebija z niej to poczucie winy, które go dręczy. W końcu dopisał: „DZIĘKUJĘ ZA WSZYSTKO. PETER”, wsunął kartkę pod solniczkę i wyszedł.

Na zewnątrz na kamiennej ścieżce włożył bluzę i kucnął, żeby zawiązać buty. Wyprostował się i zarzucił plecak na ramiona. Rozejrzał się. Dom, który opuszczał, wydawał się mniejszy niż wtedy, gdy Peter tu przybył, jakby już powoli odchodził w przeszłość. Po drugiej stronie ulicy wzdłuż horyzontu sunęły chmury i nagle spośród nich wyłonił się księżyc, oświetlając chłopcu drogę.



Pax był głodny i zziębnięty, ale obudziło go wrażenie, że musi się ukryć. Zamrugał i cofnął się. Coś, co przypominało pręty kojca i dawało mu poczucie bezpieczeństwa, kruszyło się z trzaskiem. Obrócił się i zobaczył zaschnięte łodygi trojeści, pomiędzy które wcisnął się kilka godzin wcześniej.

Szczeknął, by przywołać Petera, i wtedy sobie przypomniał: jego chłopiec odszedł.

Pax nie był przyzwyczajony do samotności. Urodził się jako jeden z czwórki rodzeństwa, lecz jego ojciec zniknął, zanim szczenięta poznały jego zapach, a niedługo potem któregoś ranka matka nie wróciła do domu. Jedno po drugim jego bracia i siostra umierali, aż w końcu w zimnej norze było już tylko jedno serce – jego – i wtedy zjawił się Peter.

Od tamtej pory za każdym razem gdy jego chłopiec zniknął, Pax niecierpliwie krążył w swoim kojcu aż do jego powrotu. A w nocy zawsze skomlał, żeby dostać się do domu, gdzie mógł się wsłuchiwać w oddech swojego człowieka.

Pax kochał tego chłopca, czuł się za niego odpowiedzialny i ochraniał go. Kiedy nie mógł tego robić, cierpiał.

Otrzeptał się z kropli deszczu i ruszył w stronę drogi, nawet nie rozciągając zesztywniałych mięśni. Wyteżał węch w poszukiwaniu śladu chłopca.

Nie wyczuwał go nigdzie – w nocy wiatr przegnał resztki jego zapachu. Jednak pośród setek woni unoszących się z poranną bryzą wyczuł coś, co przypominało mu chłopca: żołądźcie. Peter często nabierał ich całe garście

i obsypywał nimi grzbiet Paxa, a potem zaśmiewał się w głos, gdy lis zrzucał je z siebie i rozgryzał, by dostać się do mięszu. W tym momencie znajomy zapach wydał mu się obiecujący i Pax ruszył w jego stronę.

Żołędzie były porozrzucane wokół zwałonego przez piorun dębu o kilka susów na północ od miejsca, w którym ostatnio widział chłopca. Rozgryzł kilka z nich, lecz wewnątrz znalazł jedynie pomarszczone, zwilgotniałe grudki. Następnie usadowił się na zwałonym pniu i nasłuchiwał dźwięków dobiegających od drogi.

Czekając, językiem czyścił i suszył sobie futro, a jednocześnie napawał się resztkami zapachu chłopca, który jeszcze tlił się między włosami. Potem zajął się przednimi łapami i dokładnie oczyścił liczne zadrapania na poduszczykach.

Zawsze gdy się niepokoił, Pax rozgrzebywał ziemię w swoim kojcu. Zdierał sobie wtedy łapy na chropowatych kamieniach, lecz nie potrafił się temu oprzeć. W minionym tygodniu rozkopywał ziemię niemal codziennie.

Po oczyszczeniu łap podwinął je pod siebie i czekał. Poranne powietrze pulsowało odgłosami wiosny. Zaniepokoiły go już poprzedniego wieczoru. Trzepot ciemności przy najmniejszym ruchu nocnych zwierząt, nawet odgłosy drzew – szelest liści, pulsowanie soków, napinanie się rosnącej kory – wciąż na nowo wprowadzały go w popłoch, gdy tak czekał na powrót Petera. W końcu kiedy świt zaczynał srebrzyć niebo, Pax zapadł w niespokojny sen.

Teraz znowu usłyszał te same dźwięki. Wrażliwe uszy lisa co rusz stawały dęba, a wtedy on podrywał się, by zbadać źródło tych odgłosów. Za każdym razem jednak przypominał sobie o chłopcu i od nowa rozpoczynał czekanie. Ludzie mają dobrą pamięć, więc wrócą w to miejsce. Tyle że oni polegają jedynie na wzroku – bo inne zmysły mają bardzo słabo rozwinięte – więc gdyby go tu nie zobaczyli, mogliby znowu odejść. Pax postanowił pozostać przy drodze i ignorować wszelkie pokusy, łącznie z silnym pragnieniem wyruszenia na południe, dokąd pchał go instynkt nakazujący wracać do domu. Postanowił pozostać w tym miejscu, dopóki chłopiec go nie znajdzie.

W górze krążył sęp. Leniwy łowca wypatrujący nieruchomych kształtów padliny. Gdy zauważył rudą sylwetkę lisa, nieruchomą, lecz niewydającą woni rozkładu, obniżył lot, by się temu przyjrzeć.

Pax instynktownie się zatrwożył, widząc zarys sunącej powoli ciemnej postaci na tle jasnego nieba. Zeskoczył z pnia i zaczął grzebać w ziemi.

Gleba zdawała się odpowiadać mu odległym warczeniem, niczym mrużące serce. Lis wyciągnął szyję, w jednej chwili zapominając o niebezpieczeństwie od strony nieba. Kiedy ostatnim razem widział swojego chłopca, ta droga pulsowała w taki sam sposób. Pobiegł zwirowaną ścieżką dokładnie w miejsce, w którym ludzie go porzucili.

Wibracje zamieniły się w ryk. Pax uniósł się na tylnych łapach, by łatwiej go było zauważyć. Źródłem dźwięków jednak nie był samochód chłopca. W ogóle nie był to samochód. To, co lis ujrzał, wydało mu się tak duże jak dom, w którym mieszkali jego ludzie.

Ciężarówka była zielona. Nie barwy roślin dookoła, lecz w odcieniu oliwkowym, jaki przybiera śmierć, gdy opada na drzewa. Tego samego koloru był żołnierz, którego lis znalazł między łodygami trojeści. Pojazd wydzielał woń oleju i ten sam zapach zwęglonego metalu, który wydobywał się z ubrań ojca chłopca. Wzbijając chmurę pyłu i kaskadę kamieni, ciężarówka przejechała obok lisa, a za nią następna i następna, i jeszcze jedna.

Pax odskoczył od drogi. Sęp wzbił się wyżej i jednym silnym machnięciem skrzydeł zmienił kierunek lotu.



To, że nie poszukał latarki dziadka, było pierwszym błędem w przygotowaniu wyprawy. Księżyc oświeślał Peterowi drogę przez jakieś dwie godziny, zanim zniknął za grubą, warstwą chmur. Chłopiec szedł w ciemnościach jeszcze godzinę, nim w końcu się poddał. Rozerwał boki jednego z worków na śmieci, by uzyskać długą matę, a z drugiego zrobił sobie pelerynę chroniącą go przed zimnym kapuśniaczkiem. Położył się przy rowie, z rękawicą pod głową. Powiedzieć „spał” byłoby grubą przesadą, a kiedy pierwsze promienie słońca musnęły jego powieki, natychmiast obudził się zmarznięty i przemoczony z tej niespokojnej drzemki, w którą, udało mu się zapaść.

Pierwsze jego myśli dotyczyły Paxa – gdzież on jest w tej chwili? Czy jemu także jest zimno i mokro? Czy się boi?

– Już idę – powiedział na głos, zwijając foliowe worki. – Trzymaj się.

Zjadł paluszek serowy i kilka krakersów, popił to długim łykiem wody, po czym zasznurował buty i wyszedł na drogę.

Był obolały i zesztywniały, ale przynajmniej jego niepokój nieco zelżał. Prawdopodobnie nie przeszedł więcej niż jedenaście, dwanaście kilometrów, lecz miał przed sobą jeszcze cały dzień, zanim dziadek wróci do domu i zacznie coś podejrzewać.

Według mapy w atlasie musiał przejść jeszcze około trzydziestu kilometrów, zanim dotrze do głównej drogi. Potem może skrócić na zachód w poszukiwaniu skrótu w dowolnym miejscu, które będzie wyglądać obiecująco. Dzisiaj będzie spał w głębi lasu, z dala od cywilizacji; najtrudniejsza część podróży będzie już za nim.

Żałował, że nie zwracał większej uwagi na drogę, kiedy jechał z ojcem poprzedniego dnia – błąd numer dwa – ale pamiętał jedynie jakąś senną miejscinę zaraz za zjazdem z autostrady, a potem już tylko lasy i raz na jakiś czas samotne gospodarstwa.

Szedł pięć pełnych godzin. Na piętach zrobiły mu się pęcherze, ramiona bolały od dźwigania plecaka, lecz każdy krok przybliżał go do Paxa i domu, którego nigdy nie powinien był opuszczać. Ta świadomość dodawała mu sił. Wczesnym popołudniem dotarł do grupy budynków tworzących coś w rodzaju miejskiego rynku.

Miał wrażenie, że każda mijana osoba przygląda mu się podejrzliwie i zastanawia się, czemu nie jest w szkole, którą minął wcześniej. Kiedy kobieta prowadząca dziecko zatrzymała się i wpatrywała się w niego z uwagą, Peter udał, że ogląda wystawę sklepu z narzędziami.

Zobaczył w szybie własne odbicie i cały jego dobry nastrój się ulotnił. Włosy miał skołtunione z liśćmi, bluzę umazaną błotem, a nos zaczerwieniony od opalenizny, która pod koniec dnia mogła się zamienić w oparzenie słoneczne. Chłopiec patrzący na niego z szyby wyglądał na uciekiniera – i to niezbyt dobrze przygotowanego.

Czuł, że kobieta rusza w jego stronę, ale nim zdążył odejść, na jego ramię padł czyjś cień.

– Potrzebujesz czegoś, chłopcze?

Podniósł głowę. Mężczyzna w niebieskiej koszuli z logo sklepu stanął z papierosem w drzwiach. Miał obwisły brzuch i rzadkie siwe włosy, lecz coś w jego spojrzeniu przypominało jastrzębia wypatrującego ofiary, którego Peter kiedyś widział na szczycie cedru. Skinął w kierunku wystawy.

Peter podążył wzrokiem za tym gestem – zobaczył worki nasion i narzędzia ogrodnicze.

– Nie, ja tylko... yyy... czy ma pan latarki?

Mężczyzna przechylił głowę i obserwował chłopca, zaciągając się papierosem. Znowu przypominał jastrzębia. W końcu skinął głową.

– Alejka numer siedem. Co to, dzisiaj nie ma szkoły?

– Przerwa. Muszę się pospieszyć.

Mężczyzna zgasił papierosa i wszedł za Peterem do środka. Kręcił się w pobliżu, gdy chłopiec wybierał najtańszą latarkę i zestaw baterii, a po przyjęciu zapłaty szedł za nim aż do wyjścia.

Na zewnątrz Peter odetchnął z ulgą. W zasadzie dopiero teraz zauważył, że cały czas wstrzymywał oddech. Wepchnął zakupy do plecaka i ruszył w stronę skrzyżowania.

– Hej, chłopcze!

Peter znieruchomiał.

Sprzedawca szedł za nim. Wskazał kciukiem kierunek za swoimi plecami.

– Szkoła jest tam.

Peter machnął ręką i uśmiechnął się w taki sposób, by wyglądać na roztargnionego, po czym zawrócił. Na rogu obejrzał się za siebie. Mężczyzna wciąż go obserwował.

Rzucił się biegiem przed siebie. Czuł strużki potu spływające mu po plecach. Nie przestawał biec, póki nie dotarł do szkoły. Tam skierował się na parking.

Chciał tylko ukryć się na kilka minut – może przykucnąć między samochodami – i obmyślić sposób ucieczki. Jednak za parkingiem i zabudowaniami dojrzał coś dużo bardziej kuszącego.

Boisko do bejsbola ze świeżą wiosenną trawą. A wzdłuż linii trzeciej bazy, zwrócona tyłem do budynku szkoły, osłonięta wiatą pusta ławka rezerwowych.

Peter stał na szczycie wzniesienia i zastanawiał się. Jego wewnętrzna walka trwała zaledwie minutę. Oczywiście chciał iść dalej, nie marnować czasu. Istniała jednak możliwość, że sprzedawca wezwał policję. Dalsza wędrówka była ryzykowna. Mógł nadrobić w nocy czas spędzony na odpoczynku, bo teraz miał już latarkę. W dodatku nagle poczuł się zmęczony – wprost padał z nóg.

Najważniejsze jednak było to, że boisko wyglądało tak przyjemnie, przytulnie, jakby samo się prosiło o wizytę. Peter zawsze dobrze się czuł na boisku bejsbolowym. Pomyślał, że to może być jakiś znak – raczej nie wierzył w znaki, ale po tych kojotach z ostatniej nocy nie był już tego taki pewien. Poprawił plecak i zbiegł ze wzgórza.

W osłoniętej strefie zawodników natychmiast otoczyły go znajome zapachy skóry, potu i starej gumy do żucia, jak gdyby z czułością brały go w objęcia. Peter szybko przebrał się w świeże ubrania i wtarł we włosy garść ceglastoczerwonej gliny – nie chciał wyglądać jak chłopak, którego opis mogła mieć policja. Napełnił termos pod kranem, wypił do dna

i ponownie nalał wody. Układając się do snu pod ławką, uśmiechnął się na myśl o tym, że Pax wybrałby na odpoczynek to samo miejsce – osłonięte, a jednocześnie stanowiące dobry punkt obserwacyjny.

Godzina, nie więcej – potem ominie szkołę i znowu wejdzie na drogę. Tyle wystarczy, żeby policja – jeśli została zaalarmowana – straciła zainteresowanie. Wsunął sobie rękawicę pod głowę.

– Tylko godzinka – mruknął. – Nawet nie zamknę oczu.



To mój teren.

Pax był tak zdumiony, że omal nie spadł z pnia, na którym drzemał. Czuwał cały dzień i nie widział nic większego od pasikonika, a tu nagle zjawiała się lisica o jaskrawym futrze. Nigdy wcześniej nie widział innego lisa, a mimo to był pewien: młodszy, mniejszy i rodzaju żeńskiego, ale to lis. Instynkt mówił mu też, że jej sztywno postawione uszy i ogon oznaczają, iż oczekuje od niego uległości.

Ja tu poluję.

Zapragnął uciec do swojego prymitywnego legowiska i mocno przywrzeć do łodyg trojeści, tak jak zrobiłby to w swoim kojcu. Wziął się jednak w garść – co jeśli chłopiec wróci, a jego tu nie będzie? Opuścił uszy, żeby pokazać, że nie stanowi zagrożenia, ale nie odejdzie.

Lisica zbliżyła się i Pax poczuł jej zapach – znajomy jak własny, a jednocześnie obcy. Ona wciągnęła powietrze i nastroszyła się, gdy wyczuła na nim zapach ludzi. Natychmiast obudził się w niej brak zaufania.

Pax urodził się z tym samym instynktem, ale brak zaufania nie idzie w parze ze stale okazywaną, bezgraniczną dobrocią, zwłaszcza u stworzeń, które jeszcze nie znają świata. Miał zaledwie szesnaście dni – osierocony kłębuszek ciemnego futra, z nie do końca otwartymi oczkami – kiedy ten cichy, tyczkowaty chłopiec zabrał go do domu. Bardzo szybko lisek obdarzył swojego człowieka zaufaniem.

Lisica przysunęła bliżej ostro zakończony nos, by lepiej obwąchać intruza, i znowu się nasrożyła.

To zapach mojego chłopca. Widziałaś go?

Pax opisał najważniejsze cechy swojego człowieka: nagie, okrągłe uszy, długie nogi, tak nieprawdopodobnie wysokie, że aż dziw, że się nie przewracał podczas biegu; czarne kręcone włosy, które rosły do różnych długości, a potem znowu były krótkie.

Nie ma tutaj ludzi, ale się zbliżają.

W tym momencie głowa Nastroszonej poderwała się, jakby pociągnięta niewidzialnym sznurkiem. Jej uszy stanęły na sztorc i skierowały się ku delikatnemu szmerowi w pobliskiej kępie turzycy. Zaczęła poruszać zadem, przygotowując się do ataku. Wyskoczyła wysoko, z łapami przy czarnym nosie, i zanurkowała w trawę, mignawszy białą końcówką ogona.

Pax usiadł prosto, zaniepokojony. Po chwili z trawy wyłoniła się głowa Nastroszonej ze szczurem w pysku. Lisica wyskoczyła z zarośli, przegryzła kark zwierzęcia i rzuciła zdobycz na ziemię.

Osierocony jeszcze jako osesek Pax nigdy nie jadł surowej, upolowanej zwierzyny. Zapach krwi obudził w nim apetyt, a zarazem ciekawość. Ostrożnie zrobił krok w stronę szczura. Nastroszona zawarczała i Pax wycofał się na bezpieczną odległość.

Dźwięk miażdżonych kości wywoływał u niego coraz silniejsze uczucie głodu. Pax pomyślał o swojej wygodnej misce, przyjemnych poczęstunkach z ręki Petera i o najwspanialszej nagrodzie: maśle orzechowym. Musiał odnaleźć chłopca. Chłopiec go nakarmi.

Zanim zdążył zapytać o zbliżających się ludzi, Nastroszona podniosła to, co zostało ze szczura – tylną łapę z udem i długim ogonem – i oddaliła się ze zdobyczą zwisającą z jej szczęk. Pax obserwował, jak sunie między kępami trawy niczym pochodnia migocąca ogniem i bielą. Odchodziła. Nagle dopadło go wspomnienie samochodu ludzi oddalającego się wśród gradu kamyków bijących spod kół.

Na skraju lasu, tuż przed zanurzeniem się w paprocie, lisica zatrzymała się, by obrócić głowę i jeszcze raz spojrzeć na Paxa. W tym momencie na zwalonym dębie coś chrupnęło. Zaraz potem spośród obeschniętych liści wyskoczyła czerwona plama futra, przeleciała nad zaroślami i wylądowała na grzbiecie Nastroszonej.

Pax przywarł do ziemi. Słyszał skowyt lisicy, gdy walczyła z napastnikiem, lecz brzmiało to bardziej jak oznaka irytacji niż strachu. Uniósł głowę. Nastroszona rzuciła się na futrzaną kulkę i mocno ją kąsała.

Pax ze zdumieniem zauważył, że pod łapami lisicy leży mniejsza i chudsza wersja jej samej.

Oniemiał. Nigdy by nie przypuszczał, że lisy mogą latać jak ptaki, których szybowanie było dla niego nieosiągalnym marzeniem.

Mały lisek obrócił się na grzbiet i wystawił brzuch na znak uległości. To zdawało się jeszcze bardziej rozzłościć Nastroszoną. Teraz pomiędzy jej szczeknięcia wdzierały się ciosy i poszturchiwania. Pax zbliżył się do nich zaintrygowany.

Chudy lisek wyczuł nieznany ludzki zapach i spojrzał z niepokojem ponad karkiem Nastroszonej. Na widok Paxa jego oczy rozszerzyły się, a on sam gwałtownie się poderwał.

Przyjazny! – zakomunikował Paxowi. – Brat, ale nie ze wspólnego miotu z lisicą. Bawić się!

Nastroszona obnażyła zęby i warknęła na brata.

Niebezpieczny. Trzymaj się z daleka.

Pax zignorował ostrzeżenie i odpowiedział na powitanie.

Przyjazny. Ty LATAŁEŚ! PTAK?

Mały lis wskoczył z powrotem na pień zwalonego dębu. Jedna z gałęzi sterczała w górę. Lisek zwinnie się po niej wdrapał. Spojrzał w dół, by się upewnić, że nowo poznany go obserwuje.

Pax położył się i wsunął łapy pod pierś, choć niełatwo mu było się powstrzymać przed wskoczeniem na drzewo i wypróbowaniem tego na własnej skórze. Pewnie, że wspinał się po ściankach swojego kojca, ale nigdy nie był wyżej niż ich wysokość. W podnieceniu niespokojnie ruszał kitą.

Lisica odsunęła się o kilka kroków i przywarła do ziemi. Obróciła się na bok, by czujnie obserwować brata. Jej miłość do niego była teraz wyraźnie wyczuwalna.

Był najślabszy w miocie. Jest mały, ale twardy. Nie chcę go przy sobie, kiedy poluję. Ale i tak łązi za mną.

Podrzuciła głowę i warknęła na Paxa, jakby miała do niego pretensję o to, że jej brat zabawia się w tak niebezpieczny sposób.

Chuderlawy lisek przesunął się po gałęzi, wykorzystując ogon do utrzymywania równowagi. Po chwili przyciął się i skoczył ponad głowami leżących na ziemi lisów. Wylądował w kępie łośnianu przy drodze i zaraz wyskoczył stamtąd jak z procy, cały w rzepach. Biegał w kółko jak szalony,

jakby ból dostarczał mu dodatkowej dawki radosnej energii, która uchodziła z niego przez łapy, a w końcu rzucił się na ziemię i zaczął się tarzać.

Lisica skoczyła na niego.

Za blisko drogi!

Wyciągając rzępy z sierści brata, besztła go za ten lekkomyślny skok. Pax jednak był zachwycony – malec przeleciał dobrych pięć dużych skoków bez dotykania łapami ziemi. Postanowił, że któregoś dnia sam tego spróbuje.

Kiedy Chuderlak wreszcie się podniósł, opuścił głowę i trącił siostrę nosem. Ona powaliła go z powrotem, tym razem wyraźnie się drocząc, i usiadła na nim, przygważdżając go do ziemi. Opierał się bez przekonania, bo wyraźnie nie chciał jej denerwować, a ona zaczęła mu czyścić futro.

Pax umościł się w bezpiecznej odległości od nich. Po chwili, kiedy mały lisek został już należycie spacyfikowany, a irytacja lisicy wyparowała, Nastroszona sięgnęła po przyniesioną część szczura i rzuciła bratu pod nogi. Położyła się i zaczęła lizać swoje łapy, a potem czyścić sobie nimi mordkę.

Pax zaczął ostrożnie czołgać się w ich stronę, tak nisko przy ziemi, że tarł brzuchem po trawie. Towarzystwo tych dwojga lisów przyciągało go i nie zważał na to, czy jest przez nie mile widziany, czy nie.

Nastroszona rozciągnęła się w słońcu. Jej wilgotne policzki – mocno kontrastujące z białą gardłą – lśniły niczym drewno stołu o barwie dyni, przy którym ludzie Paxa jadalі posiłki.

Pax przeniósł wzrok na Chuderlaka, który akurat obwąchiwał miejsce jego noclegu. Futro małego liska miało identyczną barwę jak jego siostry, ale brakowało mu tej intensywności. Jego sierść była rzadka z gęstszymi kępkami tu i ówdzie, kości biodrowe sterczały ostro. Nagle maluch cofnął się i zaraz potem na coś zapolował.

Plastikowy żołnierz poszybował w górę i po chwili znalazł się pod łapą liska. Chuderlak powtórzył to raz i jeszcze raz, i jeszcze. Pax robił to samo, kiedy był szczeniakiem. Podszedł teraz do małego i przyłączył się do zabawy, a Chuderlak przyjął to tak, jakby bawili się razem od urodzenia.

Nastroszona podniosła się.

Przynieś to tu.

Jej brat przez chwilę ją ignorował, jakby oceniał granice jej cierpliwości, ale w końcu podbiegł do niej i złożył zabawkę przy jej łapach.

Na widok żołnierzyka Nastroszona wydała gardłowy charkot.

Człowiek. Zostaw to. Do domu. Już! – rozkazała bratu.

Chuderlak nachylił się w stronę Paxa i rozprostował przednie łapy.

Nastroszona doskoczyła do brata i uszczypnęła go.

On śmierdzi ludźmi. Uważaj.

Paxa zdumiał obraz ludzi, który przedstawiła małemu: wyjący wiatr, para lisów próbujących przegryźć coś, co przypominało Paxowi jego kojec – stalowe, ale ze szczękami i kłami zamiast prętów. Metalowe szczęki i śnieg dookoła umazane krwią.

Nastroszona odchyliła głowę, by ocenić sytuację na niebie i powąchać wiatr, który niósł groźbę burzy z południa.

Do domu!

Chuderlak opuścił ogon i ruszył za siostrą. Po chwili jednak obrócił się i spojrzał na Paxa zapraszająco.

Pax wahał się. Nie chciał oddalić się od miejsca, do którego wrócić jego ludzie. Tymczasem zbliżały się ciemne chmury i w tej chwili gdzieś w dali rozległ się huk pioruna. Wiedział, że jego chłopiec nie opuści schronienia podczas burzy. Nie chciał nawet myśleć o tym, jak bardzo zmoknie na poboczu. Sam.

Chwycił w pysk plastikowego żołnierzyka i ruszył za dwoma lisami.

Nastroszona obróciła się, czując jego obecność.

Tylko jedną noc, Cuchnący Ludźmi.

Zgodził się. Gdy burza minie, wróci po własnym zapachu do tej drogi. Wtedy znajdą go jego ludzie. A gdy już odnajdzie chłopca, nigdy więcej go nie opuści.



Peter rozpoznał te dźwięki, nim jeszcze całkiem się obudził: kroki gromady wypuszczonych ze szkoły dzieci, ich okrzyki, uderzenia rozochoconych pięści w rękawice. Wygramolił się spod ławki i chwycił swoje rzeczy. Za późno – dwudziestu chłopców wraz z trenerem zbiegało ze wzniesienia. Z góry, z parkingu, obserwowała ich grupka dorosłych; niektórzy byli w mundurach. Najlepszym wyjściem było dołączyć do kilkunastu dzieciaków, które już się porozsiadały na trybunach po dwoje, troje, i wmieszać się między nie, gdy będą wychodzić.



Wspiął się na najwyższy poziom widowni i położył plecak obok siebie. Zwyczajny chłopak oglądający trening – trudno o coś bardziej typowego – a jednak serce podeszło mu do gardła.

Trener zaczął wyrzucać piłki. Zawodnikami byli na ogół typowi gracze, jakich można się spodziewać na boisku: umięśnieni i hałaśliwi. Jednak uwagę Petera przyciągnął najbardziej niepozorny z nich, drobny chłopiec w jasnej kamizelce i wyblakłym czerwonym podkoszulku, na pozycji łapacza. Podczas gdy pozostali kręcili się po boisku jak marionetki, on stał nieruchomo, z dłońmi na wysokości talii, ze wzrokiem wbitym w kij trzymany przez trenera. W chwili gdy drewno zetknęło się ze skórzaną piłką, wyskoczył. Jakimś sposobem udawało mu się łapać każdą piłkę, która zjawiała się w jego strefie, chociaż był tak niski, że wyglądał jak ten niechciany młodszy brat, który snuje się za starszymi i trudno się go pozbyć.

Peter wiedział, że on sam też nie wygląda na kogoś, kogo można by się spodziewać na boisku. Najmniej pewnie czuł się w szatni, gdzie zawodnicy poklepywali się po ramionach i gadali o bzdurach. Jednak boisko bejsbolowe było jedynym miejscem, w którym wiedział, że jest tam, gdzie powinien, że urodził się po to, by się tu znaleźć.

Tego uczucia nigdy nawet nie próbował nikomu opisywać – częściowo dlatego że wydawało mu się czymś zbyt osobistym, ale przede wszystkim dlatego że nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Najbliższe sedna było określenie „nabożne”, gdzieś w pobliżu plasowało się słowo „spokój”, ale żadne z nich nie oddawało w pełni tego, co miało wyrażać. W ciągu jednej szalonej minuty Peter poczuł, że ten łapacz świetnie rozumie ów nabożny spokój i że sam w tym momencie to odczuwa.

Trener zajął pozycję miotacza i podawał piłki. Pałkarze odbijali wysokie i niskie podania, a zawodnicy z zapola w końcu zaczęli uważać, a przynajmniej patrzeć we właściwym kierunku. Łapacz pozostawał tym, który przyciągał wzrok – wyglądał jak podłączony do przewodów elektrycznych, skupiony na grze.

Peter dobrze znał ten rodzaj koncentracji – zdarzało się, że oczy mu wysychały, bo zapominał mrugać, tak był skupiony na ruchach wszystkich zawodników – i wiedział, że to przynosi rezultaty. Tak jak ten chłopak w czerwonym podkoszulku Peter *władał* swoim terytorium na boisku. Kochał to terytorium aż do najdrobniejszego źdźbła trawy i zapachu pyłu. Najbardziej jednak kochał ogrodzenie za sobą, które dokładnie określało, co

należy do jego obowiązków, a co nie. Piłka wpadła w wyznaczony obszar – powinien ją chwycić; przeleciała ponad nim – przestawała być jego zmartwieniem. Jasne i proste.

Często żałował, że odpowiedzialność poza boiskiem sportowym nie ma takich wyraźnych granic.

Kiedy zmarła mama Petera, chłopiec przez jakiś czas chodził na terapię. Jako siedmiolatek nie chciał z nikim rozmawiać, a może po prostu nie potrafił opisać tej straty słowami.

Terapeutka – kobieta o łagodnym spojrzeniu, z długim, srebrnym warkoczem – twierdziła, że to jak najbardziej w porządku. I przez cały czas sesji Peter wyciągał z pudła z zabawkami małe autka i ciężarówki – musiało ich tam być ze sto; później doszedł do wniosku, że terapeutka chyba wykupiła dla niego cały sklep z zabawkami – i zderzał je ze sobą parami. Kiedy kończył, zawsze mówiła to samo: „To musiało być dla ciebie bardzo trudne. Twoja mama wsiada do samochodu, żeby jechać na zakupy, jak każdego zwyczajnego dnia, i nigdy już nie wraca do domu”.

Peter nie odpowiadał, ale zapamiętał wrażenie słuszności tych słów i całej tej godziny – jakby w końcu znalazł się tam, gdzie powinien, i jakby nie istniało nic ważniejszego od rozbijania zabawkowych samochodów i wysłuchiwanie, że to musiało być dla niego trudne.

Aż któregoś dnia terapeutka powiedziała coś jeszcze.

– Peter, czy czujesz złość?

– Nie – odpowiedział szybko. – Nigdy.

Kłamstwo. Potem wstał z podłogi i sięgnął po zielonego cukierka do mosiężnej miski przy drzwiach, tak jak robił pod koniec każdej sesji. Taka była umowa między nim a terapeutką: kiedy miał dość, mógł w każdej chwili wziąć cukierka i tym samym zakończyć sesję. Na zewnątrz kopnął go do rowu, a w drodze powrotnej powiedział tacie, że już tam nie wróci. Ojciec się nie sprzeciwiał. W zasadzie wyglądało na to, że poczuł ulgę.

Peter jednak czuł coś zupełnie innego. Czy miła terapeutka cały czas wiedziała, że tamtego dnia był wściekły i że zrobił coś okropnego? Że za karę mama nie zabrała go na zakupy? I czy winiła go za to, co się stało?

Kilka miesięcy później sprowadził do domu Paxa. Zauważył przejechanego lisa na poboczu drogi. Tak niedawno obserwował trumnę z ciałem mamy opuszczaną do grobu, że poczuł potrzebę pogrzebania tego zwierzęcia. Kiedy rozglądał się za odpowiednim miejscem, znalazł lisią norę,

a w niej trzy zimne, sztywne ciałka i jedną małą kulkę szarego futra, wciąż ciepłą i oddychającą. Włożył Paxa do kieszeni bluzy i zaniósł do domu. Tam powiedział – nie spytał, lecz *powiedział* :

– Zatrzymam go.

– Dobrze, dobrze. Na jakiś czas – odparł tata.

Szczeniak skomlał żałośnie całą noc, a Peter, słuchając go, myślał, że gdyby mógł znowu odwiedzić tę terapeutkę o łagodnym spojrzeniu, roztrzaskiwałby o siebie zabawkowe samochody cały dzień i całą noc, bez końca. Nie dlatego, że był wściekły. Po prostu żeby wzbudzić zainteresowanie.

Wspomnienia o Paxie sprawiły, że znajomy wąż niepokoju zacisnął się wokół piersi Petera. Chłopiec czuł, że musi ruszać, by nadrobić stracony czas. Trener zarządził przerwę i gracze schodzili z boiska, zostawiając sprzęt i części odzieży w boksie dla zawodników. Kiedy boisko opustoszało, Peter zszedł z trybun i zarzucił plecak na ramiona. Ruszył wzdłuż linii boiska i wtedy dojrzał łapacza.

Zawahał się. Powinien iść, próbować wmieszać się w tłum maruderów opuszczających teren szkoły. Rozumiał jednak, że drużyna pozostawiła tego dzieciaka, żeby pozbierał sprzęt i wracał sam, i dobrze wiedział, co się wtedy czuje. Podniósł dwie piłki i podał je chłopcu.

– Cześć.

Chłopak wziął piłki z niepewnym uśmiechem.

– Cześć.

– Niezła gra. To ostatnie podanie było dobre.

Chłopak odwrócił wzrok i kopnął w piach, lecz Peter widział, że ta uwaga sprawiła mu przyjemność.

– No, gracz na pierwszej bazie dobrze sobie poradził.

– Nie, to ty podałeś tę piłkę. Ten na pierwszej bazie miałby szczęście, gdyby udało mu się złapać katar. Bez obrazy.

Chłopiec szeroko się uśmiechnął.

– No. To bratanek trenera. A ty grasz?

Peter skinął głową.

– Na środkowym polu.

– Jesteś tu nowy?

– Och... ja tu nie mieszkam... ja... – Peter wskazał głową gdzieś mniej więcej na południe.

– Hampton?

– Tak, Hampton, właśnie.

Chłopiec przestał się uśmiechać.

– Węszysz przed sobotnim meczem? Gnojek. – Splunął i ruszył w stronę szatni.

Gdy już znalazł się poza terenem szkoły, Peter pogratulował sobie szybkiej reakcji, która pozwoliła mu zachować w tajemnicy drogę ucieczki. Mimo to nie był z siebie zadowolony. Właściwie czuł się podle.

Odegnął od siebie to uczucie – jak to mówił o uczuciach jego tata? Że żaden z nich pożytek, bo chleba za nie nie kupisz? – i spojrzał na zegarek. Czwarta piętnaście. Stracił ponad trzy godziny.

Przyspieszył kroku, ale kiedy znowu znalazł się na placu w centrum miasta, przeszedł na przeciwną stronę niż sklep z narzędziami i z duszą na ramieniu maszerował równym krokiem obok biblioteki, dworca autobusowego i baru. Potem odliczył tysiąc kroków, nim zaryzykował podniesienie głowy.

Znowu spojrzał na zegarek. Czwarta pięćdziesiąt. Dziadek prawdopodobnie kończy pracę. Peter wyobraził go sobie, jak idzie do zdezelowanego niebieskiego chevroleta i wkłada kluczyk do stacyjki.

Ten obraz tak go przeraził, że omal nie pozbawił tchu. Chłopiec wspiął się na niewysokie drewniane ogrodzenie i skoczył w niskie krzaki. Pokonał dobre dziesięć kroków, nim dotarł do zarośli wyższych od niego i niepokój ustąpił na tyle, że Peter mógł znowu normalnie oddychać. Ruszył równolegle do drogi. Teraz trudniej było iść, ale po kwadransie dotarł do autostrady.

Nisko pochylony zbliżył się do wjazdu na autostradę i gdy akurat nic nie jechało, pobiegł poboczem, wspiął się na ogrodzenie z metalowej siatki i z mocno bijącym sercem opadł po drugiej stronie. Udało się.

Wielkimi susami gnał między drzewa, wypatrując miejsca, w którym mógłby skręcić na zachód. Po kilku minutach znalazł je: ubita droga biegnąca prostopadle do szosy. Prawdę mówiąc, była to tylko ścieżka, którą poruszały się furmanki, ale biegła we właściwym kierunku i umożliwiała wędrówkę nawet w nocy. Skręcił w nią.

Las po bokach stawał się coraz gęstszy i tylko ptasie śpiewy i szmyrgnięcia wiewiórek przerywały panującą tu ciszę. Peter uświadomił sobie, że przez jakiś czas może nie mieć kontaktu z cywilizacją. Ta myśl nieco go uspokoiła.

Jednak po kilku minutach droga skręciła i zaczęła biec wzdłuż pastwiska z kwitnącymi powyginanymi drzewami owocowymi. Pole otaczał kamienny murek, a w odległym rogu stała niska szopa. Wewnątrz nie paliły się żadne światła, w pobliżu nie było samochodu. Mimo to serce Petera zamarło. Szopa wyglądała na świeżo pomalowaną, a kilka dachówek miało różowy odcień świeżego drewna. To była droga do czyjegoś domu. Mało tego, ta droga mogła prowadzić do większej, której stary atlas nie pokazywał. Tak czy inaczej, nie był to skrót przez góry.

Peter zdjął plecak i wsunął się w wąską szczelinę w kamiennym murze. Był zmęczony i głodny. Ściągnął buty i skarpetki. Na piętach miał pęcherze. Wiedział, że kiedy pękną, będą piekielnie bolały. Wygrzebał z dna plecaka dodatkową parę skarpet i nałożył je na pierwszą parę. Oparł głowę o chropawy kamień, wciąż nagrzwany słońcem, które teraz wisiało nad drzewami i zalewało całe pole brzoskwiniowym blaskiem.

Wyjął rodzynki i zjadał po jednej, popijając łyčzkami wody. Następnie wyjął z opakowania dwa paluszki serowe i cztery krakersy. Jadł szybko, śledząc słońce nad sadem, zdumiony odkryciem, że obserwuje jego opadanie. Jak to możliwe, że przeżył dwanaście lat i nigdy tego nie widział?

Zasnurował buty. Kiedy się podnosił, zobaczył jelenia wybiegającego z lasu. Peter wstrzymał oddech, gdy sad zapełniał się zwierzętami – w sumie było ich czternaście. Zaczęły skubać trawę, a kilka z nich zainteresowało się liśćmi z dolnych gałęzi drzew.

Chłopiec znowu przykucnął. Najbliższe ze zwierząt, łania z patykowatym, cętkowanym jelonkiem u boku, obróciło głowę i spojrzało wprost na niego. Peter powoli uniósł dłoń, by dać mu znak, że nie chce nikomu zrobić krzywdy. Łania zasłoniła sobą jelonka, ale po chwili znowu opuściła głowę i zajęła się skubaniem trawy.

Nagle w przejrzyste powietrze zmierzchu wdarł się zgrzyt piły dobiegający zza szopy. Przestraszone stado pognało do ciemniejszego w dali lasu, migając białymi ogonami. Łania przed odejściem rzuciła jeszcze Peterowi ostatnie spojrzenie, mówiące: *Wy, ludzie. Wszystko niszczyście ...*

Peter uciekł. Na autostradzie połowa pojazdów miała teraz włączone światła i chłopak odnosił wrażenie, że wszystkie są wycelowane prosto w niego. Zszedł z asfaltu.

Grunt pod nogami był grząski i pachniał torfem. Peter właśnie rozważał, czy zaryzykować użycie latarki, kiedy stopa z głośnym chlupotem ugrzęzła

mu w błocie. Chwycił się gałęzi i wyciągnął nogę, ale było za późno – czuł zimną wodę z bagna chlupoczącą w butach. Zaklął pod nosem. Za mało skarpetek – kolejny błąd. Oby ostatni podczas tej wyprawy.

Prawą stopą zaczepił o korzeń. Upadając, usłyszał odgłos pękającej kości – łagodny, stłumiony trzask – i jednocześnie poczuł ostre ukłucie. Długą chwilę siedział, dysząc ciężko i znosząc silny ból. W końcu uwolnił nogę i rozwiązał but, przy każdym ruchu sycząc z bólu. Zdjął przemoczone skarpetki i zaniemówił na widok tego, co zobaczył – stopa puchła tak szybko, że Peter dosłownie widział, jak nabrzmiewa.

Wciągnął skarpety z powrotem, niemal wyjąc przy tym z bólu, a potem zacisnął zęby i włożył stopę do buta, zanim spuchła jeszcze bardziej. Doczołgał się do drzewa i podciągnął do pionu. Wypróbował, czy da radę stanąć, i znowu omal nie zemdlał. Nigdy jeszcze nie czuł tak straszliwego bólu – w porównaniu z tym złamany kciuk był jak ukąszenie komara.

Peter nie mógł chodzić.



Pax napawał się przyjemnym dotykiem ciepłego ciała przytulonego do niego. Na wpół przebudzony wciągnął powietrze, by poczuć kojący zapach swojego chłopca. Zamiast człowieka jednak wyczuł lisa.

Wtedy całkiem się obudził. Wtulony w jego futro, pochrapując, spał brat lisicy. Chuderlak zakwilił przez sen i nakrył sobie pysk kitą.

Pax gwałtownie się poderwał. Nie miał doświadczenia w okazywaniu dominacji, lecz ta sytuacja nie pozostawiała mu wyboru.

Wracaj do siebie!

Chuderlak próbował wtulić się w pierś Paxa, ale ten uszczypnął go w kark.

Mały lisek natychmiast oprzytomniał i stanął na nogi. Nie pochylił głowy na znak uległości i nie wykonał żadnego ruchu, by odejść.

Baw się – zapraszał.



W innych okolicznościach Pax przyjąłby z zadowoleniem towarzystwo przyjaźnie nastawionego kompana. Nie chciał jednak wplątać się znowu w spór z Nastroszoną, a właściwie to nie chciał już niczego poza powrotem do swoich ludzi.

Przyniósł plastikowego żołnierzyka, którego wcześniej ukrył, i rzucił go na ziemię – podarunek dla małego – a następnie znowu dał sygnał, że lisek musi odejść. Chuderlak posłał mu jeszcze ostatnie błagalne spojrzenie, po czym chwycił zabawkę w pysk. Pax odprowadzał go wzrokiem, aż lisek wsunął się do nory oddalonej o kilka długości ogona.

Gdy wcześniej rozszalała się burza – krótka, lecz gwałtowna, rozdzierająca płachtę nieba strzępiastymi szczelinami – Pax pobiegł ku opuszczonej norze niedaleko schronienia, które zajmowali Nastroszona z bratem. Wtedy jednak nie przyglądał się okolicy. Teraz, w bladym świetle księżyca, poświęcił chwilę, by się rozejrzeć.

Zbocze wzgórza było skierowane na południe. Korzenie drzew wyglądały jak brązowe knykcie zaciśniętych pięści wczepionych w piaszczystą glebę. Pośród nich Pax dojrzał trzy wejścia do nor.

Na wzgórzu, na północ i zachód, w kierunku szosy ciągnął się las. W dole rozpościerała się rozległa trawiasta dolina. To było idealne miejsce: z tego punktu można było dojrzeć zbliżające się drapieżniki, a linia drzew osłaniała

lisy od północnych wiatrów. Łąka pachniała bogactwem żyjących na niej stworzeń.

Kiedy Pax pojął to wszystko, napięcie, które stale mu towarzyszyło, zelżało. Tak samo poczuł się jako szczeniak, gdy po tym jak trzy razy odsunął miskę z jedzeniem w najdalszy kąt pokoju chłopca, Peter w końcu zrozumiał, że powinien ją tam zostawić. Z dała od zimnej ściany północnej, w miejscu z widokiem na drzwi, którymi wchodził ojciec, czasami rozgniewany. Tak było bezpiecznie.

Tutaj jednak Pax nie był bezpieczny. Nastroszona ostrzegła go, że na tej łące żyje starszy lis ze swoją partnerką. Ma już jednego rywala z zewnątrz i na pewno nie będzie tolerował obecności innego samotnego samca. Wtem Pax dostrzegł jakieś poruszenie w dole – z krzaków w połowie wysokości zbocza wyłonił się silny samiec alfa z czarno-szarym futrem i oznaczył młode drzewko obok siebie. Zaraz potem zaczął się czyścić, ale po chwili, wciąż z łapą przy uchu, nagle wystawił pysk pod wiatr. Pax szmyrgnął niczym z procy w górę zbocza i dał nura w leśne zarośla.

Z łatwością wyczuwał własny zapach, chociaż wcześniej mocno padało. Zatrzymując się jedynie po to, by raz na jakiś czas szybko zlizać wodę z liści, podążał za tym zapachem z powrotem do drogi.

Tam wyłowił wciąż unoszącą się w powietrzu woń konwoju wojskowego z poprzedniego dnia. Nie było śladu żadnych innych pojazdów. Usadowił się ponownie na pniu zwalonego dębu i czekał.

Ranek przyniósł bzyczenie migoczących chmur owadów i świergot ptaków, lecz żadnych odgłosów ruchu drogowego. W miarę jak słońce nabierało mocy, osuszało krople deszczu zwisające z wszystkich zielonych pędów.

Pax poczuł głód, ale gorsze było pragnienie – nie pił nic, odkąd opuścił dom ludzi. Piekło go w gardle, język miał opuchnięty, zgrubiały. Przy każdej zmianie pozycji kręciło mu się w głowie. Setki razy docierała do jego nozdrzy cienka smużka zapachu wody, ale nigdy nie przyszło mu na myśl, by opuścić swój posterunek. Jego ludzie tutaj wrócą. Wbił pazury w drewno i z natężeniem nasłuchiwał odgłosów pojazdu na cichej drodze. Minęła godzina, potem kolejna. Pax przysypiał, budził się i wspominał, przysypiał, budził się i wspominał. Wreszcie wiatr przyniósł wiadomość, że coś się zbliża.

Lis. Samiec, którego widział wcześniej, ten, przed którym ostrzegła go Nastroszona. W jego niespiesznych ruchach nie było ani wahania, ani

marnotrawstwa energii. Sposób, w jaki szare futro układało się na jego ciele, świadczył o tym, że lis był stary. Gdy się zbliżył, Pax zobaczył, że nawet jego oczy były zasnuwane szarą barwą starości.

Szary zaprezentował własny zapach i ułożył się na trawie obok zwałonego pnia. Nie zajął miejsca wyżej, co znaczyło, że nie stanowi zagrożenia.

Masz na sobie zapach ludzi. Ja też z nimi mieszkałem... kiedyś. Zbliżają się.

Nagła nadzieja ożywiła Paxa.

Widziałeś mojego chłopca? – Opisał Petera.

Szary jednak nie widział żadnych ludzi, od kiedy mieszkał z nimi w młodości. To było w innym miejscu – w suchej, kamienistej krainie długich zim i nisko wiszącego słońca, daleko stąd.

Z zachodu zbliżają się ludzie. Niosą wojnę. Wrony ich widziały i nie wspominały o żadnym małym chłopcu.

Ta wiadomość przygnębiła Paxa. Zachwiał się i omal nie spadł z pnia.

Potrzebujesz wody. Chodź za mną.

Pax wahał się. Jego ludzie mogli się zjawić w każdej chwili. Jednak pragnienie domagało się zaspokojenia.

Czy to blisko? Będę stamtąd słyszał drogę?

Tak. Strumień płynie poniżej drogi. Chodź za mną.

Zachowanie Szarego – stanowcze, ale pozbawione gróźb – uspokoiło Paxa. Zeskoczył ze swojego punktu obserwacyjnego i ruszył za starym lisem.

Wkrótce dotarli do głębokiej rozpadliny, z której unosił się zapach wody i tego wszystkiego, co żyje w wilgoci. Pax pochylił się i ujrzał srebrny strumyk toczący się po czarnych kamieniach, połyskujących między zielonymi trzcinnami i fioletowymi kwiatami. Szary zaczął ostrożnie zsuwać się po brzegu. Kuszony zapachem wody Pax wyprzedził go i ruszył wprost do szczeliny. W połowie drogi stracił równowagę i ześlizgnął się na sam dół.

Kiedy się pozbierał, rozejrzał się zdumiony. Woda spadała z góry, jakby z ogromnego kranu, większego nawet niż ten, który napelniał wielką białą wannę chłopca. Pax zanurzył głowę. Woda była zimna, miała posmak metalu, sosny i mchu. Wpływała do jego pyska, jakby była żywą istotą. Szczypała w dziąsła, zwilżała gardło i pysk. Pił i pił, i nie odchodził, póki nie poczuł, że jego brzuch już więcej nie pomieści.

Szary dołączył do niego, napił się, a potem zaprosił Paxa, by odpoczął wraz z nim.

Pax przechylił głowę, by wsłuchać się w dźwięki dochodzące od drogi.

Muszę być przy drodze, kiedy moi ludzie po mnie przyjdą.

Szary wyciągnął się na ziemi.

Zarażeni wojną wczoraj zamknęli drogę.

Pax przypomniawszy sobie pojazdy, które mijają go poprzedniego dnia, te, które pachniały jak nowe ubrania ojca chłopca. Prawdą było, że od tamtej pory nikt już tędy nie przejechał. To jednak nie miało znaczenia.

Mój chłopiec wróci tu po mnie.

Nie. Wrony twierdzą, że droga jest zamknięta.

Pax chodził po kamieniach, w zamyśleniu mocno machając ogonem. W końcu odpowiedział:

Pójdę do mojego chłopca, do naszego domu.

Gdzie jest wasz dom?

Pax przez chwilę się obracał, by zdobyć pewność, chociaż to nie pozostawiało wątpliwości – czuł przyciąganie swojego domu tylko z jednego kierunku.

Południe.

Szary nie wyglądał na zaskoczonego.

Tam są wielkie ludzkie kolonie. Kiedy zarażeni wojną tu przybędą, moja rodzina będzie musiała się przenieść bliżej tych kolonii albo iść na północ, w góry. Opowiedz mi o ludziach stamtąd. Jakimi będą sąsiadami.

Znowu zachowanie starego lisa ukoło niepokój Paxa. Podeszedł do samca alfa i usiadł obok niego.

Widziałem wielu z daleka, ale znam tylko dwóch.

Czy postępują fałszywie, jak ci, których ja znałem?

Pax nie zrozumiał.

Szary podniósł się na tylne łapy, ożywiony, i przedstawił zachowania, z którymi się spotykał. Człowiek odmawia pomocy głodnemu sąsiadowi, udaje, że nie ma jedzenia, chociaż jego spiżarnia jest pełna. Okazuje obojętność partnerce, którą sam wybrał. Miłym głosem zwabia owcę, by ją oddzielić od stada, a potem ją szlachtuje.

Twoi ludzie nie robią takich rzeczy?

Pax natychmiast pomyślał o ojcu jego chłopca – kiedy wyciągał go z samochodu, przemawiał głosem pełnym udawanego żalu, co Pax od razu rozpoznał po zapachu kłamstwa.

Zbliżył się do potoku. Woda tocząca się po kamieniach rozdzielała się na odrębne strugi, które kawałek dalej ponownie łączyły się w jeden srebrny warkocz. Nagle naszło go pewne wspomnienie.

Niedługo po tym jak chłopiec go uratował, kiedy Pax wciąż był płochliwym szczeniakiem, do drzwi zapukał ktoś obcy. Lisek obserwował spod stołu, jak ojciec chłopca wita kobietę z długim, srebrnym warkoczem przerzuconym przez ramię. Uśmiechał się szeroko, pokazując wszystkie zęby, co Pax zrozumiał jako: *Witam, cieszę się, że cię widzę, nie zrobię ci krzywdy*. Jednak pod tym uśmiechem jego ciało było sztywne od gniewu i strachu.

Pax nie rozumiał tych obaw – od tej drobnej kobiety nie wyczuwał nic poza dobrocią i troską. Błagalnym tonem powtarzała słowo, które lisek już wcześniej skojarzył ze swoim chłopcem: „Peter”. Podczas tej rozmowy na twarzy mężczyzny utrzymywał się powitalny pełnozębny uśmiech, a pokój wypełnił się wonią fałszu. Klatka piersiowa ojca chłopca pulsowała groźbami, gdy zamykał za gościem drzwi.

Pax zwrócił się do starego lisa.

Widziałem to. Nie w moim chłopcu, w nim nigdy. Ale jego ojciec jest taki, jak mówisz.

Stary lis jakby jeszcze bardziej się postarzał, słysząc te słowa. Z wyraźnym wysiłkiem usiadł na tylnych łapach.

Czy wciąż są bezmyślni? Byli bezmyślni, kiedy żyłem wśród nich.

Bezmyślni?

Orzą pole i bez ostrzeżenia zabijają myszy, które tam żyją. Budują tamę na rzece i pozwalają rybom wyginąć. Czy nadal są tak bezmyślni?

Któregoś dnia, kiedy ojciec Petera zamierzał ściąć drzewo, Pax widział, jak chłopiec wspiął się na nie, żeby zdjąć ptasie gniazdo i przenieść je w inne miejsce. W chłodne dni przynosił Paxowi do legowiska świeżą słomę. Zanim sam usiadł do posiłku, zawsze się upewniał, czy Paxowi nie brakuje wody i jedzenia.

Mój chłopiec nie jest bezmyślny.

Stary lis wydawał się zadowolony z takiej odpowiedzi. Jednak tylko przez chwilę.

Kiedy przyjdzie wojna, będą bezmyślni.

Co to jest wojna?

Szary zamyślił się.

Jest taka choroba, która czasami dopada lisy. Sprawia, że przestają być sobą i atakują obcych. Wojna to taka choroba, tylko u ludzi.

Pax zerwał się na równe łapy.

Ci zarażeni wojną... czy oni zaatakują mojego chłopca?

Tam, gdzie żyłem z ludźmi, kiedyś przyszła wojna. Wszystko zostało zniszczone. Wszędzie był ogień. Śmierć dosięgała nie tylko zarażonych wojną dorosłych samców, ale też dzieci, matki, stare osobniki ich własnego gatunku. Wszystkie zwierzęta. Ludzie zarażeni tą chorobą niszczą wszystko na swojej drodze.

I to się teraz zbliża?

Szary uniósł głowę i zawył tak żałośnie, że powietrze napełniło się ciężkim smutkiem.

Na zachód stąd, gdzie już jest wojna, gdzie ludzie zabijają jedni drugich, ziemia jest całkowicie zniszczona. Wrony przynoszą wieści. Rzeki są zatamowane. Gleba tak wysuszona, że nic na niej nie rośnie, nawet najbardziej odporne chwasty. Zajęce i węże, bażanty i myszy... wszystkie stworzenia wybite.

Pax skoczył na ścieżkę. Musiał znaleźć swojego chłopca. Zanim wojna nadejdzie.

Szary mówił dalej.

Czekaj. Pójdę z tobą na południe szukać nowego domu. Ale najpierw wróć ze mną.

Wrócić na łąkę? Nie. Lisica ostrzegła mnie, żebym nie wracał.

Lisica nigdy cię nie zaakceptuje, bo żyłeś wśród ludzi.

Pax przypomniał sobie scenę, która pojawiła się w rozmowie lisicy z bratem: zimny, huczący wiatr, para lisów w niebezpieczeństwie, klatka ze stalowymi szczękami, krew na śniegu. I nagle nic.

Ale ona tu nie rządzi. Wracaj ze mną. Odpoczniemy, pożywimy się i wieczorem wyruszymy.



Dźwięk, który kochał najbardziej na świecie – skrzypienie skóry uderzanej o skórę, piłki o rękawicę – był w jego śnie tak rzeczywisty, że Peter uśmiechnął się, otwierając oczy. Wtedy krzyknął zaskoczony.

Nad nim stała kobieta i rzucała piłeczkę do rękawicy. Była ubrana w połatany kombinezon z wyblakłymi bandanami przywiązanymi do szelek, włosy sterczały jej na wszystkie strony i kiwały się na boki, kiedy przechyliła głowę, by mu się przyjrzeć.

Odruchowo odsunął się po nierównych deskach i znowu krzyknął, tym razem z bólu, który poczuł w prawej stopie. Natychmiast wszystko wróciło. Przerażony szukał wzrokiem swojego plecaka. Zobaczył go za plecami kobiety; cała zawartość była rozsypana po podłodze.

Nieznajoma podeszła i mocniej rzuciła piłką, w rękawicę.

Jego piłka, jego rękawica, uświadomił sobie Peter. Piłka, która była w jego plecaku. Rękawica, na której spał.

– Hej, to moje rzeczy! Co pani tu robi? – zawołał z oburzeniem.

Kobieta odrzuciła głowę i wydała z siebie coś pośredniego między śmiechem a parsknięciem. Odłożyła rękawicę i piłkę i kucnęła, żeby się mu przyjrzeć. Pochylając się, jedną dłonią dotknęła pęku piór wiszącego na rzemyku na jej szyi.

Z tej bliskiej odległości Peter zauważył, że nie jest taka stara, jak myślał. W każdym razie niewiele starsza od jego taty. W jej włosach jaśniał siwy kosmyk, lecz skórę miała gładką. Gdy zmrużyła oczy i strzeliła palcami przy jego twarzy, przyszło mu do głowy, że może być wariatką.

– Nie. Nie, nie, nie. To do *mojej* szopy się włamałeś, więc to ja powinnam zapytać, co ty tutaj robisz.

Peter cofał się przerażony. Wariatka czy nie, stojąca nad nim kobieta miała za sobą ścianę pełną toporków i sierpów, a on nie miał nawet dwóch stóp zdatnych do biegania.

– No dobrze. Skręciłem wczoraj nogę. Przechodziłem obok i musiałem się zatrzymać, więc... ale naprawdę zaraz sobie pójdę.

– Nie tak prędko. Jak to „przechodziłeś obok”? To jest teren prywatny, w dodatku na odludziu.

Kobieta wyprostowała się i Peter jeszcze bardziej się cofnął.

– Ja... szedłem na skróty do domu z... – przypomniał mu się trening, który oglądał poprzedniego dnia; wskazał na piłkę i rękawicę – ...z treningu.

– Szedłeś do domu z treningu przez mój teren? W takim razie zastanawia mnie, czemu nie masz przy sobie kija. – Machnęła ręką w kierunku jego rzeczy. – Dlaczego niesiesz taśmę klejącą, worki na śmieci i bransoletkę, ubrania, jedzenie i wodę... ale kija nie. Co, chłopcze?

Sposób, w jaki powiedziała „chłopcze” – miękko i rozciągając sylaby – uświadomił mu, że kobieta mówi ze śpiewnym akcentem. Ledwie wyczuwalnym, jakby kiedyś w dzieciństwie ludzie wokół niej mówili językiem zbliżonym do śpiewu.

– Ja... yyy... zostawiłem go. Kij bejsbolowy jest ciężki i niewygodnie się go nosi.

Kobieta znowu pokręciła głową. Tym razem wyglądała na oburzoną. Podciągnęła lewą nogawkę kombinezonu. Poniżej kolana jej nogę zastępował drewniany kołek. Szturchnęła nim Petera.

– A co powiesz na to? To dopiero jest ciężkie, chłopcze. Solidna sosna. Ale noszę ją ze sobą, co nie?

Spojrzała na swoją protezę i chyba dojrzała coś, co jej się nie spodobało. Wyciągnęła nóż z pokrowca przy pasie i zestrugała jakąś drzazgę mniej więcej w miejscu, w którym noga miałaby kostkę. Potem się wyprostowała i znowu spojrzała na Petera, kierując w jego stronę nóż.

– No więc jeszcze raz, bo teraz już jestem bardzo ciekawa: jeżeli byłeś na treningu, to czemu nie masz przy sobie kija?

Peter podniósł wzrok na twarz kobiety, a następnie opuścił go z powrotem na nóż. Długie, złowrogo wygięte ostrze połyskiwało w słońcu. To musiała

być wariatka. Może jeszcze gorzej. Serce łomotało mu w piersi, w ustach czuł suchość, ale zdołał odpowiedzieć.

– Nie mam kija.

Kobieta lekko się uśmiechnęła i zmrużyła oczy.

– Już lepiej. Tak, to brzmi bardziej prawdopodobnie. Jak się nazywasz?

Peter podał swoje imię.

– A więc Peterze bez Kija, co się stało z twoją stopą? Peter nie spuszczał oczu z noża, gdy odwijał bluzę ze stopy. Ból, który poczuł przy tym niewielkim ruchu, zaskoczył go. Przeszył go dreszcz i po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że jest mu zimno.

– Skręciłem ją.

Kobieta kucnęła, dziwacznie wyginając drewnianą nogę. Peter odwrócił wzrok.

– Nie ruszaj się.

Nim zdążył się zorientować, co się dzieje, wsunęła chłodne ostrze noża w jego skarpetkę i rozcięła ją jednym szybkim ruchem. Peter zacisnął wargi, żeby nie krzyknąć. Jego stopa była tak ciemna i spuchnięta, że wyglądała jak bakłazan.

– Tak szedłeś?

Peter wskazał na gałąź obok siebie.

– Odłamałem to i podpierałem się. – Jego palec drżał. Opuścił rękę.

Kobieta znowu skinęła głową. Objęła dłońmi jego piętę.

– Gotów?

– Nie! Niech pani nie dotyka!

Ona jednak zaczęła obmacywać mu stopę, wydając głośne komendy.

– Porusz paluchem. Teraz wszystkimi palcami. I stopą, w obie strony. – Peter krzywił się z bólu, ale robił wszystko, co mu kazała.

– Masz szczęście – powiedziała, kładąc jego stopę na bluzie. – Złamanie piątej kości śródstopia bez przemieszczenia. To złamanie najbardziej zewnętrznej kości stopy.

– Szczęście? Co to za szczęście złamać sobie kość?

Kobieta odsunęła się, nagłym ruchem umieściła obok niego drewnianą nogę i wbiła w nią nóż.

– No nie wiem... zobaczmy... co to za szczęście: złamać *tylko jedną* kość...

– Dobrze, rozumiem. Przepraszam.

Kobieta wyciągnęła nóż z drewnianej protezy i wycelowała go w Petera.

– Jesteś młody. Jakies sześć tygodni gipsu i będziesz zdrow jak ryba.

– Skąd pani to wszystko wie? Jest pani lekarzem albo kimś takim?

– Byłam sanitariuszką. W innym życiu. – Podniosła się i spojrzała na Petera, jakby właśnie coś zrozumiała. – Ucieczka. – Skrzyżowała ręce na piersi i przechyliła głowę. – Mam rację? Uciekasz?

– Nie! Nie, ja tylko... wędrowałam.

Zasłoniła sobie uszy dłońmi i zmarszczyła czoło.

– Oj, przepraszam, nie usłyszałam. Włączył się mój wykrywacz kłamstw. Spróbuj jeszcze raz: uciekasz z domu? Mam rację?

Peter westchnął ciężko.

– Nie do końca.

– To co do końca robiłeś wczoraj wieczorem, przechodząc przez moją posesję z ubraniami i zapasami w plecaku, Peterze bez Kija?

– Właściwie to nie uciekam z domu, ale do domu.

– O, to zasadnicza różnica. Mów dalej.

Peter spojrzał za okno ponad blatem roboczym. Przestrzeń jasnego porannego nieba przecinały wysokie sosny, a w ich gałęziach głośno przekomarzały się wrony. Gdyby miał do opowiedzenia coś, co wydostałoby go z tej szopy i pomogło znaleźć się ponownie na drodze do Paxa, opowiedziałby to. Chętnie zapomniałby o całym wczorajszym dniu, o złamaniu piątej kości śródstopia i w ogóle. Ale jeśli nawet taka opowieść istniała, Peter nie potrafił jej wymyślić. Oparł się o ścianę.

– Wojna. Zbliża się do naszego miasteczka. Zajmą rzekę. Mój tata musiał iść do wojska. Mama nie żyje, jesteśmy tylko my. Więc zawiózł mnie...

– Ile lat ma ten twój tata?

– Co? Trzydzieści sześć. A dlaczego?

– No to nie musiał nic robić. Jeśli jest pobór, to dotyczy młodych, od osiemnastu do dwudziestu lat. Takich, którym łatwo zrobić pranie mózgu. Więc jeżeli twój ojciec poszedł do wojska, to zrobił to na ochotnika. To był jego wybór. Trzymajmy się prawdy od samego początku. Taką mamy tu zasadę.

– Dobrze. Jasne. Sam postanowił pójść do wojska. I zawiózł mnie do dziadka, i...

– I nie podobało ci się u niego.

– Nie o to chodzi. Tylko... może pani to odłożyć?

Kobieta spojrzała w dół i ze zdziwieniem zauważyła nóż w swojej dłoni.

– Oj, Vola, co za maniery! – zbesztła sama siebie. – Zapomniałyśmy już, jak należy traktować gości! – Rzuciła nóż na blat. – No, mów dalej.

– A więc. Miałem lisa. *Mam* lisa. Wypuściliśmy go do lasu. Zostawiliśmy go przy drodze. Tata powiedział, że tak trzeba, ale ja nie powinienem był się na to zgodzić.

Od chwili kiedy odjechali z tamtego miejsca, Peter zadreślał się tym, że powinien był powiedzieć ojcu tak wiele rzeczy. Teraz to wszystko wylewało się z niego potokiem słów.

– Wychowałem go od szczeniaka. Ufał mi. Nie da sobie rady sam w lesie. Nie ma znaczenia, że „to tylko lis”... tak nazywa go mój tata... „tylko lis” jakby był gorszy od psa czy innego zwierzęcia.

– No tak. Byłeś wściekły i uciekłeś.

– Nie byłem wściekły. Nie jestem. Tylko mój lis... on beze mnie nie przeżyje. Chcę tam wrócić i go zabrać.

– No to teraz już nie wrócisz. Zmiana planów.

– Nie. Muszę go znaleźć i zabrać do domu. – Peter obrócił się na kolana i aż syknął z bólu, który poczuł w stopie. Chwycił kij i przez sekundę próbował ustać, lecz zaraz opadł z powrotem.

– I co? Nadal chcesz tam iść? Jak daleko stąd go zostawiliście?

– Trzysta kilometrów. Może więcej – powiedział Peter.

Vola parsknęła.

– Tak nie zrobisz nawet trzech kilometrów. W tym stanie byłbyś tylko przynętą dla niedźwiedzi... o ile nie zamarzłbyś już pierwszej nocy. Nie jesteś w stanie ruszać się tak energicznie, żeby ogrzać organizm.

Oparła się o blat i owijała sobie bandanę wokół palca. Peter widział, że kobieta się nad czymś zastanawia. Teraz nie wyglądała już na wariatkę, lecz na osobę głęboko zamyśloną. Może zmartwioną. Po chwili doszła do jakichś wniosków.

– Na pewno ktoś będzie cię szukał. Nie mogę wziąć tego na siebie. Musisz stąd odejść. Ale nie mogę cię odesłać w tym stanie... już i tak mam sporo na sumieniu. Opatrzę ci tę stopę i dam ci coś na ból, coś, co legalnie można dać dziecku, a potem...

– Nie jestem dzieckiem. Mam prawie trzynaście lat.

Vola wzruszyła ramionami.

– ...a potem odejdiesz. Niedaleko stąd jest warsztat samochodowy. Zadzwonisz do tego swojego dziadka, niech po ciebie przyjedzie.

– Nie wrócę tam. Pójdę po mojego lisa.

– Nie, nie dasz rady. Nie możesz obciążać tej złamanej stopy, dopóki kość się nie zrośnie... co najmniej sześć tygodni. Może wtedy znowu spróbujesz.

– Sześć tygodni? Nie, to będzie za późno. Mój lis...

– Nie zapominaj, chłopcze, że ja wiem co nieco o chodzeniu na jednej nodze. Żeby się przemieszczać, zanim kość się zrośnie, musiałbyś się nauczyć dźwigać ciężar ciała na ramionach i barkach. Do tego trzeba wzmocnić zupełnie inne grupy mięśni. To prawie niemożliwe u dorosłego, a co dopiero u dziecka...

– Nie jestem dzieckiem!

Vola machnęła ręką, by go uciszyć.

– Teraz wrócisz do domu i wyleczysz złamaną kość. Ale najpierw zabandażuję ci stopę i zrobię coś lepszego do chodzenia niż ta gałąź. – Odsunęła się od blatu i wyszła z szopy.

Peter obserwował, jak kobieta oddała się ścieżką między sosnami, kulejąc tak mocno, że odnosiło się wrażenie, iż jej ruchom towarzyszy silny ból. Potem podczołgał się po podłodze i wrzucił swoje rzeczy z powrotem do plecaka. Złapał się blatu i podciągnął do pionu. Od tego wysiłku zakręciło mu się w głowie; musiał mocno zacisnąć palce na blacie, by się nie przewrócić. W tej pozycji stopa silnie pulsowała i Peterowi wystarczyła niepewna próba, by się przekonać, że nie zdoła przejść kilku kroków. Vola obiecała, że zrobi mu opatrunek. Wtedy będzie w stanie iść. Będzie musiał.

Usiadł na blacie i czekał.

Poprzedniej nocy nie widział całego wnętrza szopy, chociaż miał latarkę. Teraz ogarnął wszystko wzrokiem. Podłoga była schludnie zamieciona, przy drzwiach stały worki nasion i nawozów. Wnętrze pachniało sianem i drewnem. Nie czuć było zapachu żadnych zwierząt, chociaż gdzieś w pobliżu gdakały kurczaki.

Całą ścianę zajmował blat roboczy. Leżały na nim drobne narzędzia i kawałki drewna. Naprzeciwko, w cieniu obok jasnego prostokąta drzwi, pomarszczone grube płótno okrywało jakieś wiszące na ścianie przedmioty.

Znowu przeszył go dreszcz, tym razem nie z powodu zimna. Te osłonięte wybrzuszenia wyglądały jak ludzkie głowy. W szopie na ścianie mogły się

znajdować najróżniejsze rzeczy, ale te kształty przywodziły na myśl tylko jedno: ludzkie głowy.



Poczuł suchość w gardle, serce zerwało się do galopu. Jaki był głupi i nierozważny! Ta szalona kobieta chyba pozwoli mu odejść... Czemu miałyby go nie wypuścić?... Ale czy na pewno? Znalazł nóż, który zostawiła, i zacisnął palce na jego gładkim trzonku. Decyzja o tym, co się z nim stanie, należała do Voli, ale to nie znaczyło, że nie mógł się bronić. Wsunął nóż do kieszeni akurat w chwili, gdy ona stanęła w drzwiach.

– Wypij to. – Podała mu kubek i postawiła obok niego miszkę. Peter powąchał zawartość kubka.

– Cydr. Z dodatkiem kory wierzbowej, więc wypij wszystko.

– Kora wierzbowe?

– Naturalna aspiryna.

Odstawił kubek. Nie miał zamiaru pić eliksirów tej wariatki.

– Jak chcesz. – Vola podniosła miszkę i zaczęła mieszać palcem zielony maź.

– Co to jest?

– Kompres. Arnika na obrzęk i żywokost na złamaną kość. – Gestem dała mu znak, żeby położył nogę na blacie.

Kompres przyjemnie chłodził rozgrzaną, napiętą skórę. Odwiązała bandanę od szelki spodni i owinęła mu nią stopę. Całość przytrzymała drugą chustką. Potem wyprostowała się i otarła ręce o kombinezon.

– Ile masz wzrostu?

– Metr sześćdziesiąt. A co?

Nie odpowiedziała. Pogrzebała w stercie drewna, wyjęła kilka długich, cienkich drągów, podeszła do pieńka i zaczęła je piłować. W szopie zapachniało świeżymi trocinami. Kiedy przybiła krótkie deseczki w poprzek dłuższych kijów, Peter zrozumiał. Kule. Robiła dla niego parę kul. Nóż, który jej ukradł, palił go w udo.

W ciągu kilku minut Vola wyprofilowała górne powierzchnie i przymocowała oparcia na dłonie. Przymierzyła kule do jego sylwetki, a następnie w obu odpiłowała z dołu po kilka centymetrów.

Później wyciągnęła z kąta starą oponę. Podeszła do blatu. Obrzuciła Petera wzrokiem. Poczuł pieczenie policzków, kiedy zwróciła się w jego stronę.

– Zabrałeś mój nóż? – Jej głos brzmiał groźnie, jak iskra gotowa wybuchnąć wielkim płomieniem i zerwać dach całej tej szopy.

Znowu zaczęło mu szumieć w głowie, serce podskoczyło do gardła. Wyjął nóż z kieszeni.

– Dlaczego?

– Bo... No dobra, bo bałem się, że pani może mnie zabić.

– Zabić? – Przyglądała mu się surowo. – Co? Bo mieszkam sama w lesie? To znaczy, że jestem morderczynią?

Peter wskazał na ścianę z ostrymi narzędziami.

– Moje narzędzia? Mam osiem hektarów drzew, o które muszę dbać. I jestem stolarzem. Myślałeś, że to jakaś broń?

Spojrzał w bok zawstydzony.

– Patrz na mnie, chłopcze!

Obrócił głowę z powrotem.

– Może masz rację – powiedziała, wbijając w niego wzrok. – Może coś zauważyłeś. Może jestem... – Powoli uniosła rękę, zacisnęła palce w pięść przed jego twarzą i gwałtownie je rozczapierzyła. – *Bum!* Groźna. O tak... bez ostrzeżenia!

Peter wzdrygnął się.

– Nie, przepraszam. Myliłem się.

Vola machnęła ręką i odwróciła się. Odcieła z opony cztery paski, owinęła nimi górne poprzeczki i uchwyty kul i w milczeniu przymocowała do drewna szpagatem. Wyciągnęła kule przed siebie.

Peter wsunął je sobie pod pachy i opuszczył się na podłogę. Poczuł wielką ulgę, gdy stanął pionowo z bezpiecznie podkurczoną chorą nogą.

– Oprzyj cały ciężar na dłoniach. Podpieraj się; nie wiś. Postaw kule, a potem kołyszącym ruchem wsuwaj się między nie.

Peter zaczął jej dziękować, ale Vola znowu mu przerwała.

– Na końcu mojej drogi jest szosa. Skręć w lewo i jakieś czterysta metrów dalej będzie stacja benzynowa. Stamtąd już się wydostaniesz. – Pomogła mu spakować plecak, po czym odwróciła się do niego plecami, chwyciła drewniany klocek i zaczęła go heblować, jakby Peter przestał istnieć.

Zrobił krok w kierunku drzwi. Zachwiał się, ale utrzymał równowagę.

– To był skok – odezwała się Vola, nie patrząc w jego stronę. – Mówiłam, masz się kołysać. A teraz zmiataj stąd.

Przez chwilę się nie ruszał. Nie wiedział, dokąd pójdzie, ale był pewien, że nie wróci do dziadka. Vola obróciła się, nachyliła ku niemu i znowu wykonała ten gest z otwieraniem dłoni przed samymi oczami.

– No idź już, póki jesteś bezpieczny.



Zbliżając się do łąki z góry, od strony lasu, Szary gwałtownie się zatrzymał i uniósł nos.
Jeszcze raz. – Wystawił pysk na wiatr, by dokładniej zbadać ten zapach. – *Teraz czuć wyraźniej.*

Pax, już wcześniej niezdecydowany, zatrzymał się niepewnie.

Szary pobiegł na skraj lasu.

Samotny podważa moją pozycję. Chce tego terytorium, ale ten pokaz siły jest skierowany do młodej lisicy – ona tej zimy wybierze sobie partnera.

Pax podszedł do niego i objął wzrokiem widok w dole. Na łące znajdowały się cztery lisy: Nastroszona i Chuderlak obok siebie; ich uszy nieufnie nachylone w kierunku pozostałych dwóch, które stały na wprost, na półce skalnej w połowie stoku. Jednym z przybyszów była lisica, ciemniejsza od Nastroszonej, z dużym brzuchem mieszczącym młode. Drugim był duży samiec o bujnym płowym futrze. Sierść na jego grzbiecie była zjeżona, lewe ucho rozdarte.

Szary szczechnął, by dać o sobie znać. Jego rywal zeskoczył ze skały i rozchlapując krew z ucha rzucił się ku łące.

Szary pognał w dół zbocza, a Pax za nim. Gdy stary lis mijał Nastroszoną i Chuderlaka, zdawało się, że sama jego obecność podziałała na nich uspokajająco, jakby był niewidzialną dłonią gładzącą ich po grzbietach. Na widok Paxa Chuderlak aż zatańczył z radości, ale Nastroszona syknęła.

Pax biegł za Szarym. Gdy ten wspiął się na półkę i usadowił obok swojej partnerki, Pax usiadł u podnóża i czekał, okazując w ten sposób szacunek.

Lisica powitała Szarego z czułością. Po chwili podzieliła się z nim wiadomościami.

Dziś rano wiał wiatr z zachodu. Przyniósł zapach ognia. Wkrótce musimy się stąd wynieść. – Spojrzała na Paxa. – *Ten obcy pachnie ludźmi.*

Nastroszona i Chuderlak podeszli bliżej, wyczekując odpowiedzi Szarego.

On wraca do ludzi, z którymi żył na południu. Pójdę z nim poszukać miejsca na nową siedzibę. Teraz odpoczniemy i wieczorem wyruszamy.

Stojąca za Paxem Nastroszona warknęła i lis znowu zapragnął biec przed siebie. Jego chłopiec... znowu poczuł silną potrzebę odszukania swojego chłopca. Instynkt jednak podpowiadał mu, że najpierw musi odpocząć i się posilić. Przytaknął, a wtedy Szary z partnerką zniknęli wśród zielonych traw.

Chuderlak jednym susem przyskoczył do Paxa. Upuścił na ziemię plastikowego żołnierzyka, zapraszając w ten sposób kolegę do zabawy. Nastroszona wskoczyła między nich i odrzuciła zabawkę.

Ludzie. Pamiętaj o niebezpieczeństwie.

Mały lisek pobiegł po żołnierzyka i przyniósł go w zębach, szczerząc się wyzywająco.

Pax czuł, że Chuderlak jest teraz w większych tarapatach niż przedtem i że to on stał się tego przyczyną. Wyczuwał to bardzo często w stosunkach swojego chłopca z ojcem i jedną z jego strategii w takich momentach było zniknąć, jeśli to miało ochronić chłopca przed gniewem mężczyzny. Cofnął się, lecz to nie zadowoliło Nastroszonej.

Trzymaj się z dala od Cuchnącego Ludźmi – ostrzegła brata. – *Pamiętaj o niebezpieczeństwie.*

Pax zrobił krok naprzód.

Moi ludzie nie są niebezpieczni.

To wyraźnie zaniepokoiło Chuderlaka, jakby Pax stanął do rywalizacji. Mały lisek rzucił się w górę zbocza, ku wejściu do nory, ale jego siostra była szybsza. Zagrodziła mu drogę, a gdy próbował zmienić kierunek, przytrzymała go ciężką łapą, aż wreszcie znieruchomiał pokonany.

Wszyscy ludzie są niebezpieczni...

Sierść Paxa zjeżyła się w reakcji na obraz przywołany przez Nastroszoną: wiatr, zimny, wyjący, niosący groźbę śniegu. Pax rozpoznał

ten wiatr – historia, którą zamierzała przypomnieć, kończy się krwią na śniegu i zimnymi stalowymi szczękami.

Nastroszona warknęła groźnie i rozpoczęła opowieść.



Peter zatrzymał się przy wgłębieniu w murze, skąd wcześniej obserwował jelenie.

Zdażył już poznać na własnej skórze, co to pot i krew, i to dosłownie – rozdarł o drzazgę delikatną skórę u podstawy kciuka. Ręce mu drżały z wysiłku wkładanego w utrzymywanie ciężaru własnego ciała przez tych kilka minut, dłonie pocierały się o gumowe uchwyty, a pulsowanie w prawej stopie przypominało huk piorunów, ale w tym wszystkim nie było nic niewłaściwego. Nawet perspektywa powrotu do ponurego domu dziadka nie była niewłaściwa.

Niewłaściwy był kierunek, w którym szedł.

Krążył w kółko. Dźgał kulą grunt i kołysał się, dźgał i kołysał się, aż wreszcie znowu stanął w drzwiach szopy Voli. Wyprostował się.

– Nie.

Vola gwałtownie podniosła głowę. Rzuciła mu zagniewane spojrzenie, ale Peter dostrzegł w jej twarzy coś jeszcze: strach.

– Nie wracam – powiedział stanowczo. – Czy mi pani pomoże, czy nie, mam zamiar odnaleźć mojego lisa.

– Mam ci pomóc?

Peter podkuśtykał do blatu i podciągnął się.

– Niech mnie pani naucz. Mówiła pani o ruchach ramion, o ćwiczeniu mięśni. Pani nauczyła się chodzić na jednej nodze, proszę i mnie nauczyć. Była pani sanitariuszką. Niech mi pani złoży kość. Proszę. Zrobię, cokolwiek pani mi każe. – Podniósł kubek z cydrem i wypił wszystko, żeby

okazać zaufanie. – Potem sobie pójdę. Ale nawet bez pani pomocy zabiorę go stamtąd.

Vola oparła dłonie na biodrach i pochyliła głowę, by uważnie mu się przyjrzeć.

– Oswojony lis zostawiony w dziczy? Zdajesz sobie sprawę, że może już nie żyć, co?

– Tak, wiem. I to byłaby moja wina. Jeśli nie żyje, muszę go zabrać do domu i pogrzebać. Tak czy inaczej, znajdę mojego lisa i sprowadzę, gdzie jego miejsce.

Vola przyglądała mu się w taki sposób, jakby widziała go pierwszy raz w życiu.

– No więc jak to jest? Wracasz do domu czy do swojego zwierzaka?

– To to samo – odparł Peter z przekonaniem, sam zaskoczony tą odpowiedzią.

– I zrobisz to, choćby wszyscy próbowali cię powstrzymać? Bo w głębi duszy uważasz to za słuszne? – Zacisnęła dłoń i uderzyła się w pierś. – Tu, w głębi serca. Mam rację?

Peter zwlekał z odpowiedzią, ponieważ ta kobieta – może szalona, może nie – zadała to pytanie w taki sposób, jakby od tego zależał los świata. Jednak jego odpowiedź byłaby identyczna, gdyby udzielił jej natychmiast albo myślał nad nią całe życie. Uderzył się we własną pierś i poczuł bicie serca.

– Tak. Właściwie o niczym innym nie jestem tak mocno przekonany.

Kobieta skinęła głową.

– Masz dwanaście lat. To chyba wystarczający wiek, by znać samego siebie. Nie będę się w to mieszać. A więc dobrze.

– Pomoże mi pani?

– Pomogę. – Wyciągnęła rękę, by przypieczętować obietnicę. – Pod trzema warunkami.



Mój brat urodził się w drugim miocie naszej matki. Przyszli na świat na początku sezonu. W zeszłym roku, późną wiosną. Padał śnieg i nie topniał; ziemia pod śniegiem była zamrożona. Ja mieszkałam w pobliżu i pomagałam polować. Nasi rodzice i ja całymi dniami szukaliśmy pożywienia, bo szczeniaki były ciągle głodne. Ale nigdy nie wystarczało.

Dwoje szczeniąt z jego miotu zmarło tego samego dnia. Matka chciała podejść bliżej farmy. Na ludzkich farmach zawsze były tłuste myszy w ciepłych stodołach. Na ludzkiej farmie były jajka w zagrodach dla kur.

Ojciec nie chciał ryzykować.

Kiedy się okazało, że jej trzeci szczeniak nie ma sił stanąć na łapach, matka sprzeciwiła się woli ojca.

Chuderlak uniósł głowę i spojrzał na Nastroszoną prosząco.

Lisica zignorowała jego prośbę.

Poprowadziła najsilniejsze z młodych... moją siostrę... i mnie na farmę ludzi.

Chuderlak przysunął się do Paxa i wcisnął nos w jego kark. Lisica natychmiast trzepnęła go łapą w pysk, lecz Pax zauważył, że nie użyła pazurów. Chuderlak przewrócił się na ziemię.

Na śniegu wokół stodoły było wiele śladów ludzi i zwierząt. W powietrzu unosił się zapach gryzoni. Nasza mama ruszyła do szczeliny między deskami, a my w odległości kilku ogonów za nią. Już prawie dobiegła, kiedy z ziemi z nagłym trzaskiem wystrzeliły metalowe szczęki. Mama wrzasnęła. Pułapka uwięziła jej przednią łapę. Im bardziej się wyrywała, tym głębiej metal wrzynał się w ciało. Była gotowa odgryźć sobie łapę, żeby się

wyzwolić. Kiedy tylko próbowaliśmy się do niej zbliżyć, rozkazywała nam się cofnąć.

Wtedy zjawił się tata. Szedł naszym śladem. Odegnał mnie i moją siostrę w zarośla i polecił tam zostać. Potem ruszył na pomoc mamie.

Obraz, który przedstawiła, pokazywał dwa lisy związane starą miłością i świeżym strachem, strachem tak ogromnym, że oczy słuchaczy zapadały się w głąb czaszek, i tak namacalnym, że Pax czuł jego ostrą woń.

Chuderlak zaczął skomleć tak żałośnie, że Pax zapragnął go pocieszyć, ale Nastroszona ostrzegła, by trzymał się z dala.

Wtedy przyszedł człowiek. Miał kij. Rodzice krzyknęli do nas, żebyśmy uciekały. Zostałyśmy. Widziałyśmy to. Człowiek podniósł kij i na naszych oczach z mamy i taty bryznęły krew i futro, i rozgniecione kości, które zasypały śnieg.

Chuderlak zaskomlał i znowu cofał się w kierunku nory, a Nastroszona ponownie go zatrzymała.

Siostra i ja długo nie mogłyśmy odejść od rodziców. Zrobiło się ciemno i przyszedł nowy dzień, a my wciąż ukrywałyśmy się w stercie drewna obok stodoły. W końcu odeszłyśmy stamtąd, ale tej nocy zaczął padać śnieg. Śnieg tłumił wszystkie dźwięki i zapachy. Zabłądziłyśmy i wpęłżyłyśmy pod niskie gałęzie sosny. Otuliłam swoim ciałem siostrę, która była dużo mniejsza. Rano już nie żyła. Kiedy śnieg przestał padać, zorientowałam się, że schroniłyśmy się pod wielką sosną na szczycie naszego stoku. Byłyśmy tak blisko domu.

Obraz, który przekazała słuchaczom w tym momencie – zamrożone ciało jej siostry pod rozłożystą sosną – wyraźnie ją wyczerpał.

Dlaczego nie mamy żadnej rodziny, bracie?

Chuderlak zwrócił się do Paxa i powiedział:

Przez ludzi nie mamy rodziny.

Nastroszona wyzywająco wbiła wzrok złotych oczu w Paxa.

Gdyby mógł, chętnie sprawiłby, aby poczuła każdą dawkę dobroci każdego z tych dni, które spędził ze swoim chłopcem. Jednak nienawiść, którą żywiła do ludzi, była głęboka i uzasadniona. W tej sytuacji mógł jej jedynie zaoferować współczucie. Nastroszona odwróciła się i nakazała bratu iść do nory.



Wchodzisz czy nie, bo muchy wlatują!
Peter opuścił plecak. Podparty na kulach odnalazł punkt równowagi i wpatrywał się w drewniany dom.

– Te drzewa rosły tutaj.

To nie było pytanie, ale Vola skinęła potakująco głową i wskazała na wzgórze.

– Świerk. Z tego grzbietu. Jak drewniane klocki... o tym myślisz?

– Tak jakby. – Ale nie była to prawda. Peter wyciągnął rękę, by dotknąć jednego z bali. Jakie to uczucie zrobić coś tak... tak doniosłego? Ścinać drzewa i patrzeć, jak spadają na tle czystego błękitnego nieba, toczyć je na polanę, czuć, jak dłonie kleją się od żywicy o intensywnym zapachu, a potem ułożyć je na miejscu, nacinać, kłaść jeden na drugim... tak jak klocki, którymi najchętniej bawił się w przedszkolu, te stare w wysokim kartonowym pudle... żeby w końcu powstał *dom*. – Pani go zbudowała?

– Nie. Już tu był. No, wchodź. Nie mam całego dnia.

Peter wciąż się nie ruszał.

– Jakie to warunki? Mówiła pani, że dowiem się, kiedy tu dojdziemy.

Vola westchnęła i postawiła stopę na granitowy kamień tworzący pierwszy stopień schodów. Puściła zewnętrzne siatkowe drzwi. Podniosła słoik z nasionami i natychmiast otoczyła ją chmara ptaków z okolicznych drzew. Napełniła karmnik zawieszony na narożnej krokwi, po czym obróciła się twarzą do Petera.

– Po pierwsze, nie chcę, żeby ktokolwiek tu przychodził. Nie bez powodu żyję samotnie. Napiszesz do dziadka, cokolwiek przyjdzie ci do

głowy, bylebym miała pewność, że nikt się tu nie zjawi. Zresztą i tak powinienś powiadomić rodzinę, że żyjesz, a nie leżysz martwy w jakimś rowie.

Peter cofnął się tak gwałtownie, że omal się nie przewrócił. Wywołał tym ruchem ostry ból w stopie, ale tylko zagryzł wargę i zaraz powiedział:

– Nie. Przyjechałby tu po mnie. Nie.

– To pierwszy warunek. Nie podlega negocjacjom.

Nabrała ziaren ze słoika i wyciągnęła otwartą dłoń.

Od razu na jej palcu usiadła sikorka. Kiedy wydziobała wszystkie ziarna, wzbila się w powietrze, przepłoszona ruchem ręki Voli. Kobieta zwróciła się do Petera:

– Po drugie, powiesz mi, po co nosisz tę bransoletkę.

Chłopiec spojrzał na swój plecak i poczuł ścisnięcie serca na myśl, że miałyby zdradzić swoje prywatne sprawy.

– Czemu?

– Bo mnie zaciekawileś. I wiele można się dowiedzieć o żołnierzu na podstawie tego, co zabiera ze sobą na wojnę.

– Ale nie jestem żołnierzem. Ja tylko idę do domu.

– Czyżby? A mnie się wydaje, że wyruszyłeś walczyć o coś w miejscu, gdzie toczy się wojna. Ale niech ci będzie, nie jesteś żołnierzem. Warunek drugi i tak pozostaje w mocy: kiedy zapytam, powiesz mi, dlaczego zabrałeś ze sobą tę bransoletkę. Dlaczego akurat to. Prawda to zasada, której się tu trzymamy. Zgoda?

Peter skinął głową. Jego prawa stopa pulsowała intensywnie, lewa noga bolała od zwiększonego obciążenia, koszula była przemoczona od potu po przekuśtykaniu niecałych stu metrów od szopy do domu, lecz on się nie poddawał.

– A po trzecie?

– Pomożesz mi w czymś. Nie patrz tak na mnie. Nie martw się, potrzebuję drugiej osoby do realizacji czegoś, to wszystko. Ale jeszcze nie mogę ci powiedzieć, co to jest. – Podniosła jego plecak. – Do środka. Czas odciążyć twoją stopę. I podejrzewam, że jesteś głodny, panie nie do końca uciekający z domu Peterze bez Kija.

Nagle Peter poczuł silny głód. Mimo to wciąż się wahał. Obrócił się, by spojrzeć na góry, które w blasku słońca miały przydymioną niebieską barwę. Gdzieś tam był Pax. Wciąż zbyt daleko.

Vola podeszła do niego z tyłu. Poczuł jej dłoń na ramieniu.

– Wiem, o czym myślisz – powiedziała. – Ale jeszcze nie jesteś w stanie iść.



W chacie było jasno i delikatnie pachniało dymem. Vola stuknęła w blat sosnowego stołu i Peter usiadł. Otuliła go kocem, po czym wyszła i po chwili wróciła z torebką foliową pełną kostek lodu. Umieściła jego stopę na krześle i obłożyła lodem. Lnianą ściereczką starła krew z jego dłoni. W końcu podała mu deskę do krojenia z leżącymi na niej chlebem i nożem.

Peter położył ją przed sobą.

– Jak długo to potrwa?

– Zależy od ciebie. – Wskazała na chleb. – Co to? Ręk też nie możesz używać? Pokrój.

– Jak długo?

– Będiesz mógł iść, kiedy dasz radę maszerować po nierównym terenie na tych kulach osiem godzin dziennie. Około dwóch tygodni, jak sędzę. Sześć kromek.

– Pani nie rozumie. On nie przeżyje!

Vola opuściła głowę i spojrzała na niego ze złością. Gwałtownym ruchem uderzyła kciukiem w ścianę za jego plecami.

– Numer jedenaście.

Peter obrócił się. Na ścianie wisiała cała masa kart katalogowych.

– „Prąd Zatokowy przepłynie przez słomkę, jeżeli owa słomka będzie ułożona zgodnie z kierunkiem prądu, a nie przeciwprądów” – przeczytał na głos tekst z kartki z napisaną na niej liczbą 11. – Co to ma znaczyć?

– To znaczy, że należy się odpowiednio ustawić.

– Ustawić?

– Zorientować się, jak sprawy stoją, i pogodzić się z sytuacją. Masz złamaną stopę. Złamaną. Umowa polega na tym, że zostajesz tu, dopóki nie stwierdzę, że jesteś gotów do drogi. Mówiłam ci, że mojego sumienia nie wzruszysz. Masz więc wybór: zostać tutaj, dopóki nie pozwolę ci odejść, albo już teraz wracać do dziadka. Zmieniłeś zdanie w tej sprawie?

– Nie, ale...

– Czyli zgadzasz się, he? A teraz pokrój ten *djableman* chleb.

Peter próbował jeszcze dyskutować, lecz w końcu zamilkł. Nie miał zamiaru zostać tu na dwa tygodnie, ale bycie posłusznym i przydatnym wydawało się w tej sytuacji najbezpieczniejsze.

Pochylił głowę nad chlebem i zaczął kroić sześć grubych, równych kromek, podczas gdy Vola wrzuciła kawałek masła na żeliwną patelnię i zapaliła pod nią ogień. Nie oglądając się, kiwnęła ręką w kierunku półki nad blatem.

– Wybierz coś sobie.

Słoiki z przetworami ustawione w trzech szeregach lśniły niczym tęczą płynnych klejnotów rozciągnięta na całej długości półki. Peter czytał drukowane litery na etykietach: WIŚNIE, ŚLIWKI, POMIDORY, CZARNA JAGODA, JABŁKA, DYNIA, GRUSZKI, ZIELONY GROSZEK, BURAKI, BRZOSKWINIE. Za półką zwisały korale suszonego czosnku i małych papryczek.

– Pani to wszystko uprawia?

Vola skinęła głową, wciąż zwrócona do niego plecami.

– Te drzewa wzdłuż kamiennego murku, te kwitnące, co to jest?

– Przy samym murku? Brzoskwinie.

Wskazał słoik na końcu.

– Brzoskwinie – powiedział. – Poproszę.

Vola otworzyła słoik i podała mu widelec.

– Eee... tu jest jakaś gałązka czy coś.

Vola sięgnęła do słoika, włożyła patyczek do ust, wyssała z niego syrop i wrzuciła patyk do zlewu.

– O Boże. – Wywróciła oczami. – To cynamon. Jedz. – Spojrzała z uznaniem na pokrojony przez niego chleb. – Jaki ser: cheddar czy szwajcarski?

– Chyba cheddar.

Vola wyprostowała się.

– Chyba? To nie wiesz na pewno?

Wzruszył ramionami i nabrał na widelec kawałek brzoskwini. Smakowała tak złościście i słonecznie, jak wyglądała.

Vola sprawiała wrażenie, że chce jeszcze coś powiedzieć, ale zacisnęła usta, obróciła się na drewnianej nodze i wybiegła tylnymi drzwiami. Po chwili wróciła z kawałkiem sera i bez słowa zabrała się za robienie grzanek. Peter słyszał, jak skwierczą, gdy dociskała je do rozgrzanej patelni.

Rozejrzał się po wnętrzu chaty. Nie było duże, ale też nie brakowało tu miejsca. Słońce wpadało przez czyste okna, zalewając drewniane ściany miodowym blaskiem. Przy kamiennym kominku stały dwa fotele w niebieskie paski, a między nimi zasypany książkami pień, który służył za stolik. Na małych beczkach ustawione były lampki, z belek pod dachem zwisały kolejne.

Półka kominka była wypełniona zdjęciami, na ścianach wisiało kilka obrazów, a obok fotela stał koszyk z włóczką. Przez otwarte drzwi przy kominku Peter dojrzał krawędź łóżka schludnie okrytego kapą w żółtą kratę. To był zaskakująco normalny dom jak na wariatkę, ale czegoś tu brakowało. Wtedy chłopiec zauważył, jak tu cicho – właściwie żadnych dźwięków poza śpiewem ptaków na zewnątrz i masłem skwierczącym na patelni – ale nie o to mu chodziło. Niezupełnie.

– Zaraz – powiedział, gdy nagle go olśniło. – Tu nie ma prądu.

Kobieta obróciła grzanki.

– O ile mi wiadomo, to nie jest przestępstwo w tym kraju. W każdym razie jeszcze nie.

Peter próbował ułożyć sobie w myślach, co by stracił, gdyby żył bez prądu, ale było tego za wiele. Wyłowił ostatni kawałek brzoskwini i widelec brzęknął o pusty słoik. Vola wciąż była do niego odwrócona plecami, więc podniósł słoik, żeby wypić syrop.

– Ale zaraz... Skąd pani bierze lód?

– Mam lodówkę na tarasie. Na gaz. Tak samo kuchenkę i ogrzewanie wody. Mam wszystko, czego potrzebuję. – Położyła na stole dwa niebieskie talerze. Zapach jedzenia sprawił, że Peterowi ślina napłynęła do ust. Czekał jednak, bo czuł, że Vola jeszcze nie skończyła. – Mam nawet więcej, niż potrzebuję. – Usiadła. – Mam tu spokój.

– Bo jest tak cicho?

– Nie. Bo jestem dokładnie tu, gdzie powinnam, i robię dokładnie to, co powinnam. To jest spokój. Jedz.

Peter wgryzł się w grzankę. Ser był gorący, ciągnący się, chleb przyrumieniony i chrupiący.

Z przyzwyczajenia odłamał kawałek i już miał opuścić rękę, kiedy przypomniał sobie, że pod stołem nie ma lisa. Pomyślał o tym, czy Pax tęskni za nim tak samo mocno jak on w tej chwili za swoim liskiem.

– Nie czuje się pani tu samotna?

– Spotykam się z ludźmi. Bea Booker, bibliotekarka. Robert Johnson, kierowca autobusu. Mam... widuję ludzi. – Wstała, przyniosła patelnię i nałożyła kolejną grzanekę na jego talerz. – Jedz.

Peter jadł, myśląc o tym, co powiedziała o spokoju. Kiedy skończył, zlizął okruszki z palców.

– Co to znaczy, że robi pani dokładnie to, co powinna? Pracuje pani?

– Jasne, że pracuję! Ten ogród ma dwadzieścia arów, a sad dwa razy tyle. Dzisiaj będę sadzić fasolę i okrę. Może się zabiorę za wymianę uszczelki w pompie studziennej. Zawsze jest tu mnóstwo roboty.

– Ale nie ma pani pracy zawodowej, nie zarabia pani pieniędzy? Jak kupuje pani rzeczy? Na przykład wszystkie te narzędzia w szopie? Albo... – rozejrzał się po wnętrzu chaty – to wszystko?

Vola oparła się o blat, a potem wyciągnęła przed siebie drewnianą nogę i stuknęła w nią łopatką.

– Mój kraj płaci mi co miesiąc małą rekompensatę za tę nogę.

Wrzuciła łopatkę do zlewu i potrząsnęła głową.

– *Djableman* transakcja... Okazuje się, że moja noga nie miała dla nich wielkiej wartości. Szkoda, że nie powiedzieli mi tego wcześniej, zanim wysłali mnie na zwiad na pole minowe. Bo ja lubiłam swoją nogę. To była dobra noga, może nie jako obiekt podziwu, ale działała, jak trzeba. Zniosła mnie do sąsiedniego miasteczka, kiedy Deirdre Callanan i ja podpaliłyśmy szopę jej ojca w szóstej klasie, skopała uśmiech z facjaty Henry'ego Valentine'a, kiedy rok później próbował mnie złapać za tyłek. Służyła mi, jak mogła. Noga to ogromna cena. Nie ma dnia, żebym nie marzyła o jej odzyskaniu.

– Dlaczego nie ma pani takiej, która by lepiej...?

Kobieta znowu wystawiła nogę i podwinęła nogawkę, odsłaniając drewniany kołek.

– Dali mi protezę... skomplikowane urządzenie. Sam wygląd diabelnie mnie przerażał. Zrobiłam więc sobie własną. Jest ciężka i toporna, ale na wojnie robiłam straszne rzeczy. Myślę, że zasłużyłam na to, żeby wlec ze sobą coś takiego.

– Wyrzuciła ją pani? Protezę? Tak po prostu ją pani wyrzuciła? – Peter wyobraził sobie zdumioną minę kogoś, kto zbiera śmieci.

– Nie, pewnie że nie. Noszę ją. Czasami. Teraz jest w ogrodzie jako strach na wróble. Najwyraźniej przeraża ptaki tak samo jak mnie.

Odsunęła się od blatu i wcisnęła na głowę zniszczony słomkowy kapelusz, jakby nagle sobie przypomniała o pracy w ogrodzie.

– Wróć przed zmierzchem. Ubikacja jest za tymi dwoma cedrami, a w kuchni jest wanna. Wymyj się. Możesz używać całego tarasu. Właściwie to będziesz musiał się podzielić miejscem z François. Trzymaj nogę w górze.

– Kim jest François?

Krótkie szczeknięcie oznaczające śmiech Voli ponownie przeraziło Petera. Kiwnęła głową w stronę tylnych drzwi, prowadzących na taras.

– Pewnie już gdzieś tam drzemie, leniwy stary złodziej. – Podeszła do drzwi, wyjrzała i pokiwała głową. – Chodź, zobacz.

Peter wstał z krzesła i wsparł się na kulach. Vola przytrzymała drzwi i ruchem ręki wskazała pojemnik na drewno. Peter zobaczył parę wpatrzonych w niego oczu w ciemnej otoczce. Wygiął szyję, żeby mieć lepszy widok, a wtedy szop przechylił łebek, jakby go naśladował.

– Oto François Villon, nazwany tak od jednego z najsłynniejszych złodziei w dziejach świata. Ten prawdziwy był poetą i miał taki urok, że za każdym razem kiedy go aresztowali, jakiś wielbiciel go ułaskawiał.

Peter uśmiechnął się szeroko. Kucnął, żeby lepiej się przyjrzeć.

– Hej, czu, czu, czu! – zawołał łagodnie, tak jak co rano witał Paxa. Szop przez chwilę gapił się na niego leniwie, a potem najwyraźniej uznał go za mało interesujący widok i zamknął oczy.

– Jest dziki czy oswojony?

Vola wykonała ruch ręką, jakby odganiała namolne komary.

– Zostawiam drzwi na taras otwarte. Wchodzi sobie, kiedy chce, i niezły z niego kompan. Karmię go, ale nie muszę, bo sam dobrze sobie radzi. Mamy porozumienie co do kurnika: on zostawia moje kury w spokoju, a ja raz na jakiś czas daję mu jajko. Jest kompanem. To najlepsze słowo.

Pokazała mu belkę biegnącą pod sufitem.

– Jutro możesz się kilka razy podciągnąć. Ale dzisiaj oszczędzaj nogę i trzymaj ją w górze, najlepiej powyżej serca. – Wskazała lodówkę. – Co jakiś czas okładaj ją lodem. Chcę, żeby opuchlizna trochę zmałała, żebym mogła dzisiaj założyć gips. Co kilka godzin wymieszaj sobie łyżkę kory wierzby z wodą. To zmniejszy ból.

Peter pokiwał głową, a potem wyczerpany położył się na hamaku zawieszonym pod belkami.

Vola już wychodziła, lecz jeszcze zatrzymała się w drzwiach i obróciła, by spojrzeć na niego z uwagą. Skrzyżowała ręce na piersi, jej twarz przybrała tajemniczy wyraz.

– Co?

– Tak się zastanawiam – powiedziała. – Leżysz tu na tarasie. Jak myślisz, o czym to świadczy? Jesteś dziki czy oswojony?



Kiedy Pax się obudził, było późne popołudnie. Ból brzucha, który odczuwał od kilku dni, jeszcze się nasilił, a kiedy lis próbował się podnieść, wszystkie jego mięśnie ogarnęło drżenie i na moment stracił równowagę.

Z ciekawością przyglądał się swoim kończynom, szukając na nich obrażeń. Kiedyś, gdy był chory, jego chłopiec na siłę wepchnął mu tabletkę do gardła. Potem Pax miał przytępione zmysły i zwolnione reakcje. Teraz czuł się tak samo.

Opadł na chłodny piach i obserwował, jak w dole Szary i jego partnerka wyłaniają się z ukrycia, w którym odpoczywali, węchem oceniają sytuację, załatwiają się i wyruszają na poszukiwanie pożywienia. Nastroszona wyskoczyła z nory obok Paxa, zatrzymała się tylko na chwilę, żeby nakazać bratu pozostanie na miejscu, i również pobiegła na polowanie.

W dniu, w którym wsiadł ze swoim chłopcem do samochodu, Pax już rano odczuwał niepokój i nie zjadł posiłku. Teraz minęły więc trzy pełne dni, od kiedy jadł ostatni raz. Chociaż nigdy wcześniej nie widział śmierci, rozumiał, że to właśnie go czeka, jeśli nie znajdzie pożywienia. Ta myśl nie wywołała wielkiego lęku i szybko go opuściła. Po chwili jednak – gdy przypomniał sobie, że ma za zadanie odnaleźć chłopca i zapewnić mu bezpieczeństwo – zmusił się do wstania: najpierw zaparł się przednimi łapami, a dopiero potem rozprostował tylne.

Wkrótce zaczął myśleć trzeźwiej. Mijał kryjówki, których używali Chuderlak i Nastroszona. Wyczuł tam zapach dziczyzny zakopanej w miękkiej ziemi, ale te zapasy były oznaczone intensywnym ostrzegawczym odorem, więc ich nie ruszył. Kawałek dalej leżały obgryzione szkielety,

pozostawione na pastwę padlinożerców niższego rzędu. Pax zaczął grzebać w porzuconych kościach. Jedynie na szczurzym ogonie zachowały się jeszcze resztki mięsa. Zbyt już zepsute i za bardzo żylaste nawet dla wron pełne były robaków.

Pochylił głowę nad tymi szczątkami. Rozwarł szczęki, lecz smród go odrzucił. Nie, to się nie nadawało do jedzenia.

Cofnął się o kilka kroków i zanurzył pysk w kępie świeżej koniczyny. Żuł młode pędy, by pozbyć się przykrego zapachu z czułych nozdrzy. Przełknął przeżute roślinki i niepewnie sięgnął pyskiem po kolejne. Jedzenie przynosiło ulgę ściśniętemu żołądkowi, lecz było to złudne wrażenie – koniczyna nie dawała sił. Po kilku takich kęsach znowu naszała go wyraźna myśl: musi znaleźć swojego chłopca.

W tym momencie usłyszał w trawie jakiś szelest. Nim jego ospałe zmysły zdążyły zareagować, poczuł, jak zwała się na niego potężny ciężar.

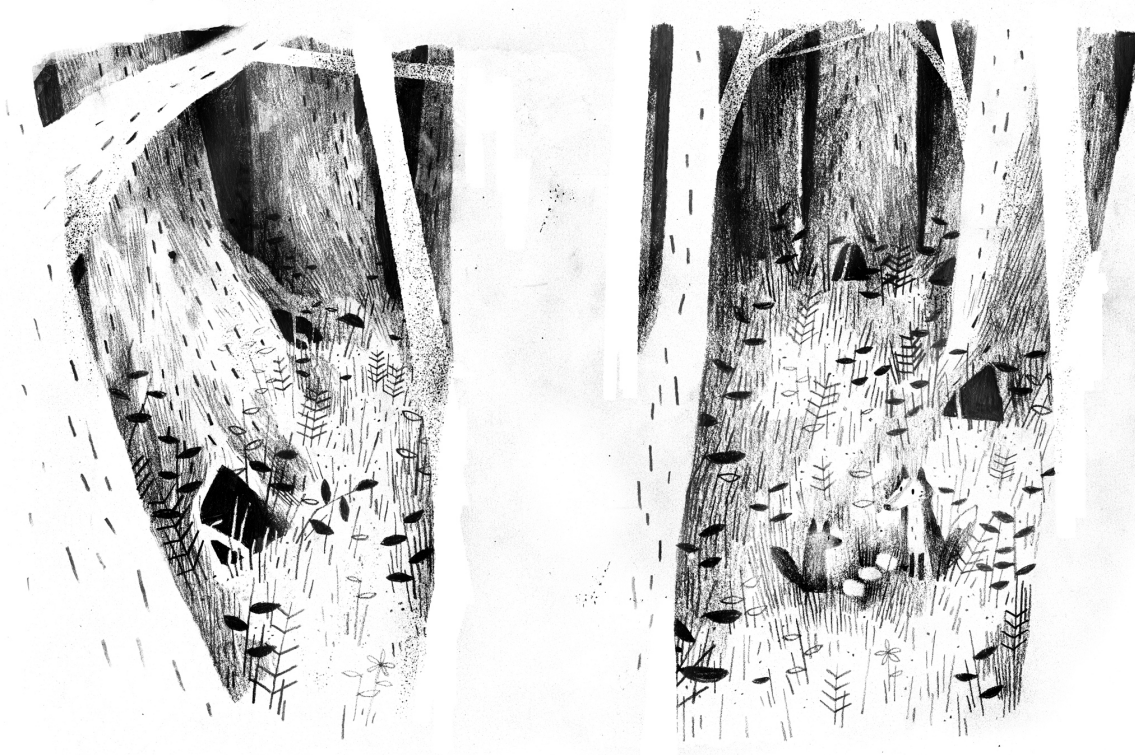
To Chuderlak go zaatakował i aż zawył zachwycony własną zasadzką. Gdy Pax nie zrobił nic, by go z siebie zrzucić, mały lisek bacznie się mu przyjrzał. Pax leżał nieruchomo, zbyt słaby, by odegnąć intruza, podczas gdy Chuderlak obwąchiwał go i lizał.

Chory?

Pax zamknął oczy, bo raziło go słońce, i nie odpowiedział.

Chuderlak odbiegł i po kilku minutach wrócił z robakiem w pysku. Rzucił go Paxowi pod łapy.

Pax wzdrygnął się, ale wcześniejsze myśli znowu dały o sobie znać. Musi znaleźć swojego chłopca. Może uniknąć śmierci, jeśli będzie jadł. Podniósł robaka i rozgryzł go. Zebrało mu się na wymioty, bo nie był przyzwyczajony do smaku żywego mięsa.



Chuderlak wykopał następnego robaka i znowu rzucił go Paxowi. Tym razem Pax podniósł się i zrobił kilka kroków, lecz zaraz upadł.

Chuderlak podbiegł do niego.

Jedz. – Trącił go nosem.

Pax wykrzeszał z siebie resztki stanowczości.

Idź sobie.

Młodszy lis wpatrywał się w starszego przez chwilę, po czym obrócił się i zniknął w trawie. Pax z ulgą położył głowę na łapach. Nie miał teraz sił, by się spierać. Chuderlak jednak wrócił niebawem z czymś okrągłym w pysku. Upuścił swój podarunek, a ten się natychmiast roztrzaskał.

Jajko. Ten zapach przywołał wyraźne wspomnienie. Kiedyś, gdy był jeszcze bardzo młody i badał wszystko, co znajdowało się na kuchennym blacie u ludzi, znalazł twardą, białą kulę. Trącił ją, podejrzewając, że to jedna z zabawek chłopca, a ona stoczyła się na podłogę i rozbiła, uwalniając smakowitą zawartość.

Gdy zlizywał ostatnie krople, wszedł ojciec Petera i przegonił go silnym uderzeniem w bok. Cios zabolął mocno, ale jajko było tego warte. Od tamtej pory zawsze kiedy Pax zostawał sam w domu, odbywał wyprawy badawcze do kuchni w poszukiwaniu tych przysmaków. Kilka razy mu się poszczęściło.

Jajko przepiórcze, które przyniósł Chuderlak, było mniejsze, jego nakrapianą skorupkę oblepiała zaschnięta trawa i pachniało inaczej niż te jedzone przez ludzi. Ale nie było mowy o pomyłce. Jajko.

Pax wstał. Chuderlak cofnął się, żeby umożliwić mu wychłęptanie żółtka. Pax zlizął z trawy każdą najdrobniejszą kropelkę, a potem podniósł głowę, pragnąc wyrazić swoją wdzięczność.

Chuderlak zniknął, ale po chwili wrócił, niosąc w pysku kolejne dwa jajka. Pax pożarł je natychmiast. Chuderlak zniknął i wracał jeszcze dwa razy. Pax jadł bez ustanku, aż w końcu, czując, jak siedem jajek rozpycha mu ściśnięty żołądek, opadł na piach przed lisimi norami i zamknął oczy.

Młodszy lisek skoczył na powyginany korzeń nad kryjówkami. Wypreżył się i kiedy Pax spał, to wymizerowane chuchro trzymało nad nim straż.



Peter rozpoznał kroki Vola – stuknięcie twardego drewna, a po nim łagodniejsze stąpienie obutej nogi – i wrzucił szczapy z powrotem do pojemnika na drewno. Stał w drzwiach chaty, obserwując, jak Vola nalewa wodę do zlewu.

– Oszczędzałeś nogę?

– Raczej tak. – Właściwie wstawał kilkanaście razy, żeby podciągać się na belce, i przez pół godziny podnosił drewniane kłody. Bolały go ramiona, stopa też dawała o sobie znać, kiedy nie była uniesiona, ale przecież nie mógł nic nie robić, wiedząc, że Pax wciąż pozostaje sam gdzieś tam daleko.

Vola zaczęła mydlić dłonie, nie obracając się.

– Napisałeś ten list?

Peter przyciągnął kule do boków. Czuł się bezpieczniej, kiedy miał je pod pachami.

– Tak, ale...

– Żadnych ale. Pisziesz raz na tydzień. Mój znajomy kierowca autobusu, o którym ci mówiłam, Robert Johnson... rozmawiałam z nim już, będzie je wysyłał z różnych miejsc na trasie autobusu. Pierwszy warunek, pamiętasz?

Peter spróbował obrócić się gwałtownie, zachwiał się, lecz utrzymał równowagę. Spróbował jeszcze raz – poszło lepiej.

– W porządku?

– Tak.

– Dobrze. – Vola powiesiła ściereczkę do naczyń na kołku, podeszła do kominka i zaczęła targać gazetę na podpałkę.

– W takim razie przejdźmy do drugiego warunku. Ta bransoletka, którą masz w plecaku. Domyślałam się, że należała do twojej matki. Dlaczego ją zabrałeś? Czemu akurat to?

Ciało Petera natychmiast zeszytniało, jak zawsze gdy ktoś pytał go o mamę, jakby to znieruchomienie było konieczne do podjęcia decyzji, czy powinien o niej rozmawiać, czy nie. Obcych na ogół nie dopuszczał do tego tematu, więc sam był zdumiony, gdy uścisk jego dłoni na kulach nieco zelżał, a krtań się rozluźniła.

– Zawsze ją nosiła. Kiedy byłem mały, układała rękę tak, żebym mógł się bawić tą bransoletką. Nie pamiętam tego, ale widziałem na zdjęciu. Pamiętam za to, jak mi o tym opowiadała. O tym wisioru. To feniks. Taki ptak. Jest czerwono-złoto-fioletowy, w barwach wschodu słońca, i...

– Powstaje z popiołów. Wiem, co to feniks.

– Tak. Ale z *własnych* popiołów. Ta część była dla mojej mamy bardzo ważna.

– Z własnych popiołów?

– Kiedy czuje, że jego życie dobiega końca, buduje sobie gniazdo wysoko na drzewie, z dala od wszystkiego. – Nagle przyszło mu do głowy, że chata Voli jest jak takie gniazdo. Pokręcił się po izbie, żeby się rozejrzeć. Tak. Ukryte, chronione gniazdo, otoczone drzewami. Z dala od wszystkiego. Obrócił się z powrotem w stronę Voli, która układała podpałkę. Miał nadzieję, że nie czytała w jego myślach. – No więc feniks wkłada do gniazda swoje ulubione rzeczy... zdaje się, że w tej historii jest mirra i cynamon. Wtedy gniazdo się zapala i stare ciało ptaka płonie. A z popiołów dawnego ptaka powstaje nowy. Moja mama uwielbiała tę historię. Mówiła, że to znaczy, że choćby nie wiadomo jak trudna była sytuacja, zawsze możemy się odrodzić.

Vola milczała. Przyłożyła zapalniczkę do potarganego papieru i obserwowała, jak płonie. W blasku ognia jej twarz wydawała się smutna. Dorzuciła dwie szczapy, potem trzecią.

– Idź wypróbować te kule na zewnątrz, póki jeszcze jest jasno – powiedziała, nie podnosząc głowy.

Peter otworzył drzwi frontowe i z ulgą wyszedł na schody. Nie miał pojęcia, co powiedział źle. Żyjąc samotnie w lesie, Vola na pewno mogła zdziwić. Ale miała rację – musiał ćwiczyć na zewnątrz. Stracił już cały dzień, pełną dobę. Może rzeczywiście potrzebował czasu na trening

i dojście do siebie, ale postanowił, że kiedy tylko to będzie możliwe, odejdzie.

Opuścił uporządkowane podwórze i ruszył ku plątaninie powyginanych korzeni i zarośli. Obejście chaty trwało niemiłosiernie długo. Drugie okrążenie było nieco szybsze, a przy piątym czuł się już niemal komfortowo, chociaż wchodząc z powrotem do wnętrza, spływał potem.

W chacie panowała cisza przerywana jedynie trzaskaniem ognia. Vola siedziała w fotelu i szyła coś żółtego. Ta cisza i to, jak zachodzące słońce zdawało się nurzać chatę w spokoju, jakby wszystko na świecie było w należyтым porządku, nagle wydało mu się wielką, drwiną.

Nic na świecie nie było w porządku – właśnie minął kolejny dzień, kiedy Pax był gdzieś tam sam. Zbliżała się kolejna noc, którą biedny zwierzak spędzi na zimnie. Pewnie do tego jeszcze głodny i przerażony. A jeśli nie znalazł wody?

Ruszył ze złością przez izbę. W połowie drogi zaczepił kulą o dywanik i musiał wbić drugą w ścianę, żeby nie zwalić się na lampę.

– Krótsze kroki. Po jakimś czasie to złapiesz.

– Po jakimś czasie? Za jakiś czas mój lisek tam zdechnie. – Odrzucił kule i opadł na krzesło przy kuchennym stole. – Zresztą jaki to ma sens? Jak to niby ma się udać?

Vola przerwała szycie.

– Co to, wyglądam ci na szklaną kulę? – Wyszła na taras i wróciła z torebką lodu. Umieściła nogę Petera na krześle i obłożyła ją lodem. – Nie znam odpowiedzi na twoje pytania.

Widok bezużytecznej stopy przypomniawszy mu o wszystkim, czego nie był teraz w stanie robić. Odwrócił wzrok.

– Czemu? Czy nie powinna pani być mądra i w ogóle? Bo żyje pani sama na odludziu z tymi... z tym wszystkim. – Skierował kciuk w mozaikę notatek na tablicy za jego plecami. – Te filozoficzne zapiski? Powinna pani mieć jakąś wiedzę tajemną, co nie? Znać jakieś czary czy coś w tym stylu.

Nie poznawał sam siebie, nie przypuszczał, że potrafi być taki bezczelny. Czuł się, jakby w jego wnętrzu nastąpiło krótkie spięcie i przepaliły się jakieś obwody, jakby jego odruchy wyskakiwały bezpośrednio z niego, z pominięciem mózgu. Znowu znajdował się nie tam, gdzie powinien, a teraz jeszcze przez tę stopę nie miał jak dotrzeć we właściwe miejsce. Tymczasem Pax wciąż był sam gdzieś daleko.

Vola wyjęła z szafki wiadro i wstawiła je do zlewu.

– Te filozoficzne zapiski... – Nie wyglądała na bardzo obrażoną – ... Próbuję uporać się z własnym życiem. Nie znam odpowiedzi na twoje pytania.

– A kto je zna? Tylko niech mi pani nie mówi, że mój tata, bo on w tym momencie jest raczej poza zasięgiem. – *I dlatego, że to wszystko przez niego.* Peter zacisnął zęby, żeby tego nie powiedzieć, i zmusił się do oddychania powoli. Nie złościł się. Był tylko sfrustrowany. Każdy by był. Nagle poczuł, że się za chwilę rozpłaczę. Co się z nim ostatnio dzieje? Zasłonił oczy pięściami.

Vola wykonała ruch, jakby chciała do niego podejść, lecz widocznie zmieniła zamiar. Odchyliła się i oparła o kuchenny blat.

– Jesteś zły – powiedziała po prostu, jakby stwierdzała, że ma ciemne włosy albo że słońce zachodzi.

– Nie jestem. – Ale z trudem rozprostował palce i odliczył dziesięć powolnych oddechów, jak to robił zawsze w chwilach złości. Bo co jeżeli jest taki jak jego tata, z tym przeraźliwym rodzajem gniewu, który potrafi się zagotować w każdej chwili i skrzywdzić wszystkich stojących mu na drodze? Późniejsze przeprosiny nigdy nie naprawiły wyrządzonych krzywd.

Zacisnął mocno powieki, by powstrzymać napierające łzy.

– Nie jestem zły. Tylko... nie miałem na to wpływu. Nie chciałem wojny, nie chciałem, żeby tata poszedł do wojska. Nie chciałem opuszczać domu ani jechać do dziadka. A już na pewno nie chciałem opuścić zwierzęcia, którym opiekowałem się przez pięć lat.

– Jesteś dzieckiem. Niewiele masz do powiedzenia. Ja też byłabym zła. *Djableman* zła.

– Mówiłem już, że nie jestem zły! – Peter pociągnął nosem, żeby opanować nagły szloch, który przez to przekształcił się w dziwaczny śmiech. Znowu to krótkie spięcie. – Pani uwielbia to słowo.

– Jakie?

– *Djableman*. Co to jest... jakieś przekleństwo? Ciągłe pani to powtarza. – Jego obwody były już kompletnie przepalone. – Gdybyśmy byli w drugiej klasie, powiedziałbym, że tak pani kocha to słowo, że powinniście się pobrać!

Zaskrzeczała głośno, jak wrona.

– Masz rację! – powiedziała. – Powinnam paść na moje *djableman* zrujnowane kolano i zaproponować temu słowu małżeństwo.

– Właśnie! – zgodził się Peter, teraz już niemal w stanie hysterii. – Powinna pani włożyć *djableman* pierścioneł na jego *djableman* palec! – Otarł twarz i spojrzał na Volę, która podeszła i usiadła na wprost niego.

– Mój dziadek przeklinał w swoim ojczystym języku. To doprowadzało moją babcię do szału, bo ona nie znała tego języka. Za to śpiewała po włosku przy gotowaniu, więc... – Sięgnęła dłonią do wisiora z piór. – Noszę w sobie cechy wielu narodów – zakończyła cicho.

Potem zamilkła na chwilę, lecz nie spuszczała wzroku z chłopca. Peter czuł, że w tej ciszy mówią sobie coś ważnego. Coś o długim, ciemnym tunelu, który się wokół niego zaciskał.

– Miałem nadzieję, że znajdę Paxa za tydzień, może dziesięć dni. – Opuścił wzrok na swoją stopę. – Ale teraz...

– Pax? Tak się nazywa? To znaczy „pokój”, wiesz?

Wiedział o tym. Wiele osób mu to mówiło.

– Ale nie dlatego tak go nazwałem. Pierwszego dnia, kiedy go przyniosłem do domu, zostawiłem go na chwilę, dosłownie na minutę, żeby mu zorganizować coś do jedzenia. Kiedy wróciłem, nie mogłem go znaleźć. Wpełzł do mojego plecaka i zasnął. Na plecaku była naszywka z napisem: „Paxton”. Miałem wtedy siedem lat i uznałem, że Paxton to dobre imię. W dodatku Pax ma w wymowie „s” na końcu, tak samo jak w słowie „lis”. Ale teraz...

– Ale teraz co?

– Teraz jest całkiem sam z powodu wojny. Porzuciłem go przez wojnę. Wojnę, nie pokój. Jak to nazwać? Ironia? Nieważne, teraz to imię brzmi okropnie. Możliwe, że on tam zginie przez tę wojnę.

– Może tak, może nie. Może przeżyć. Jest wiosna. Wszędzie dużo jedzenia.

Peter pokręcił głową.

– Lisy uczą swoje młode polować w wieku mniej więcej ośmiu tygodni. Ja go znalazłem dużo wcześniej... miał może dwa tygodnie, tak mówił weterynarz. Mógłby przebiec obok całego tuzina myszy podanych mu na tacy i pewnie nie umiałby ich złapać. Zawsze dostawał gotową karmę i resztki, które pozwalałem mu zwinąć.

– Jakiego rodzaju resztki? Coś, co może znaleźć w lesie?

Peter wzruszył ramionami.

– Szaleje na punkcie masła orzechowego. Lubi hot dogi. Przepada za jajkami. Nie, zdechnie z głodu, chyba że natknie się na jakichś ludzi na pikniku. Może znajdzie wodę i może wytrzyma z tydzień bez jedzenia, ale potem... – Podparł głowę rękami. – To przeze mnie. Nie chciałem tego wszystkiego, ale się nie sprzeciwiłem. Nie wiem, dlaczego się nie sprzeciwiłem.

A przecież dobrze to wiedział. Kiedy tata po raz pierwszy wydał rozkaz dotyczący Paxa, Peter zebrał się na odwagę i powiedział: „Nie, nie zrobię tego”. Jednak oczy ojca zapłonęły tym gwałtownym gniewem, jego głowa poderwała się, a dłoń zatrzymała się w ostatnim momencie, w chwili kiedy Pax zaczął warczeć ostrzegawczo.

Pięści Petera uniosły się i ten gniew, który poczuł do ojca, przeraził go bardziej niż sama groźba.

Teraz przypomniał sobie słowa dziadka: „W naszej rodzinie niedaleko pada jabłko od jabłoni” i znowu ogarnął go strach, aż zrobiło mu się niedobrze. Opuścił wzrok na podniszczony sosnowy stół, by ukryć tę haniebną wiadomość, która zdawała się płonąć na jego twarzy.

Vola położyła obie dłonie na jego głowie. Peter znieruchomiał. Oprócz sporadycznych sytuacji, gdy tata z dumą potrzasał jego barkami albo kiedy poszturchiwali się z kolegami, nikt go nie dotykał, odkąd mama zmarła. Vola czekała cierpliwie, jakby wiedziała, że on potrzebuje czasu. Potem uścisnęła mocno.

Było to dziwne zachowanie z jej strony, lecz Peter jej nie odepchnął, nie poruszył się, nawet nie oddychał. Bo w tym momencie jej silny uścisk był jedyną rzeczą, dzięki której jeszcze się nie rozkleił.

– Teraz już i tak po wszystkim – powiedziała.

Podniosła się.

– Może nie znam odpowiedzi na twoje pytania, ale wiem o tobie jedno. Musisz jeść, i to dużo. Masz dwanaście lat, spałeś na zimnie i musisz wyleczyć złamaną kość. Teraz założę ci gips. Potem zacznę gotować, a ty zaczniesz jeść i żadne z nas nie przestanie, póki ty tak nie zdecydujesz. Rozumiesz?

Nagle żołądek Petera zamienił się w głęboki, burczący krater.

– Tak jest. Rozumiem.

Vola pogrzebała pod zlewem i wyciągnęła worek gipsu. Peter obserwował, jak wsypuje część do wiaderka i zalewa wodą. Następnie sięgnęła po to, co szyła.

– Stopa do góry.

Wsunęła mu poduszkę pod kolano i naciągnęła na nogę pikowany rękaw, coś jak skarpeta bez palców.

Rozpoznał materiał w żółtą kratę. Spojrzał w stronę sypialni, żeby się upewnić.

– Pocięła pani swoją narzutę?

– Zawsze mogę zrobić nową. A tobie potrzebna wyściółka. – Sięgnęła po inną część narzuty i zaczęła ją drzeć na paski i zanurzać w gipsie.

– Trzymaj stopę pod kątem prostym. – Owijała poszarpanymi paskami stopę, kostkę, aż do połowy łydki. Gdy utworzyła gruby but, unieruchomiła go większą ilością gipsu. – Nie ruszaj się. Nie rusz nawet palcem.

Wyszła na taras i wróciła obładowana żywnością. Postawiła na palnikach dwie żeliwne patelnie, na każdą wrzuciła po kawałku masła i zapaliła pod nimi ogień. Wbiła dwa jajka do żółtej miski i dodała mleko, a potem płatki kukurydziane.

Peter poczuł chłodny powiew niosący zapach świeżo skopanej ziemi i smażonego masła. Spojrzał na schnący gips. Wewnątrz bezpiecznie spoczywała jego stopa owinięta w coś, co kiedyś było narzutą na łóżku Voli.

– Przepraszam. Za moje zachowanie. – Skinął głową w kierunku tablicy z notatkami.

– Aha, moje zapiski filozoficzne – powiedziała. – Peterze bez Kija, to są tylko rzeczy, które wydają mi się prawdziwe, jeśli chodzi o świat. Prawdy uniwersalne. Ważne jest to, co uważam za prawdę o mnie. Takie rzeczy trzymam gdzieś indziej, to sprawy prywatne.

– Dlaczego?

– Dlaczego są ważne czy dlaczego są prywatne?

Peter wzruszył ramionami. *I jedno, i drugie.* Odchylił się do tyłu, czekając na odpowiedź.

Vola obserwowała go, odkrawając kawałek szynki i wrzucając go na jedną z patelni. Nabrała trzy chochelki ciasta i wlała je na drugą patelnię. Rozległo się charakterystyczne skwierczenie.

– Opowiem ci historię. Kiedy skończyłam służbę w wojsku, nie pamiętałam niczego o sobie samej. Tak działa szkolenie. Nie ma tam miejsca na indywidualności, są tylko surowce, z których wyrabia się elementy jednej wielkiej maszyny. Pierwszego dnia w cywilu byłam kompletnie zagubiona. Poszłam do sklepu spożywczego, patrzyłam na to wszystko, co miałam do wyboru, i zastanawiałam się, dla kogo mam kupować te rzeczy. Czym ta osoba zaspokaja głód? Ketchup czy groszek? Fasola czy chleb? Wtedy w tym sklepie rozkleiłam się, bo nie pamiętałam o sobie niczego.

Zamknęła, zamknęła oczy.

– I co się stało? – odezwał się Peter po chwili.

– Co się stało?

– W sklepie. Co się stało w tym sklepie?

– Och... – Obróciła się w stronę kuchenki i przewróciła placki. – Masło orzechowe.

– Masło orzechowe się stało ?

Vola wyrzuciła ręce w górę.

– Masło orzechowe się stało. Na moje szczęście. Siedziałam tam na podłodze... brudne linoleum w biało-czerwoną kratę, nigdy tego nie zapomnę... i płakałam. Wiedziałam, że nie wstanę, póki nie przypomnę sobie, co lubiłam jeść.

Przełożyła placki na niebieski talerz i zawahała się. Peter pomyślał, że pewnie przypomniła sobie coś jeszcze z tamtego sklepu. Wariatka bez nogi. Nagle poczuł chęć otoczenia jej opieką. Miał nadzieję, że nikt się z niej nie śmiał i że wszystko dobrze się skończyło.

– I...

– Och, w końcu mi się udało. Przypomniłam sobie, jak moja babcia mówiła, że kiedy odkryłam kanapki z masłem orzechowym, codziennie chciałam jedną. Pozbierałam się więc z tej podłogi i kupiłam chleb i masło orzechowe. Zapełniłam swój wózek chlebem i masłem orzechowym, bo postanowiłam, że nie wrócę do sklepu, póki nie dowiem się na pewno, co jeszcze lubiłam jeść. A bałam się, że to może długo potrwać.

Nałożyła szynkę na talerz, dodała łyżkę musu jabłkowego i podała mu to wraz z białym dzbankiem syropu klonowego.

– Jedz.

Peter zalał talerz syropem i nabrał jedzenie widelcem.

– I długo to trwało, zanim pani sobie jeszcze coś przypomniała?

Vola docisnęła palec do schnącego gipsu.

– Już prawie twardy. Jeszcze chwilę się nie ruszaj. – Wróciła do kuchenki i odkroiła kolejny kawałek szynki oraz ponownie wlała ciasto na patelnię. – Tak, długo. Ludzie dookoła nazywali to PTSD, zespół stresu pourazowego. I mieli rację, że byłam chora. Ale wiedziałam, że powodem nie był udział w wojnie, niezupełnie. Chodziło o to, że na wojnie zapominałam wszystkiego, co było prawdą, o mnie. Zespół pourazowego zapomnienia, kim jestem, na to właśnie cierpiałam. Wtedy mój dziadek był już w ośrodku opiekuńczym i umierał. Poszłam do jego domu... to był też mój dawny dom, bo dziadkowie przez parę lat mnie wychowywali... żeby tam posprzątać. Kończyło się lato. Sad był strasznie zaniedbany, ale na drzewach było trochę brzoskwiń. I to był drugi szczęśliwy traf, który mi się przydarzył, po masle orzechowym. Bo nagle sobie przypomniałam: Boże, uwielbiałam te brzoskwinie! Wymykałam się z domu w nocy, żeby je zbierać. Kładłam się na trawie pod drzewami, dookoła latały świetliki, cykały świerszcze, a ja leżałam ze stertą brzoskwi na brzuchu i jadłam, aż sok spływał mi do uszu. Przypomniałam to sobie bardzo wyraźnie. Czułam zapachy, smak, słyszałam dźwięki. Ale nie mogłam zrozumieć, jak tamta dziewczyna mogła być tą samą osobą, która włożyła mundur, chwyciła za karabin i robiła te rzeczy, które ja robiłam na wojnie. Wyciągnęłam rękę i zerwałam brzoskwinę, położyłam się na trawie i wgryzłam się w miąższ, i... to było to. Znalazłam kolejny fragment dawnej siebie.

Podeszła z patelnią do stołu i nałożyła następne placki i szynkę na pusty talerz, po czym wróciła do kuchenki.

– Już wystarczy – powiedział Peter.

– Wystarczy? To już i tak koniec tej historii.

– Nie, chodziło mi o jedzenie. Już dziękuję. – Peter znowu zatęsknił za obecnością Paxa pod stołem, znowu zaniepokoił się, czy jego lis nie jest głodny. I wtedy nagle doznał dziwnego przeczucia, że nie, że przynajmniej dzisiaj Pax ma pełny żołądek. – I co potem? – zapytał, napełniając widelec. – Potem już pani wyzdrowiała?

Vola włożyła patelnię do zlewu i usiadła przy stole na wprost Petera.

– Kto lubi jeść? To tylko drobiazg. Byłam tak zagubiona, że musiałam odnaleźć *całą* prawdę o sobie. Od najdrobniejszych rzeczy do tego, co najważniejsze: w co naprawdę wierzyłam w głębi ducha?

Peter miał wrażenie, że już wie, do czego to zmierza.

– Jak wojna. Teraz jest pani przeciwko wojnie, tak?

Vola oparła brodę na splecionych palcach.

– To nie takie proste. Jestem za tym, żeby mówić całą prawdę o wojnie. O jej kosztach. Powinno się mówić prawdę o tym, jaka jest cena wojny. Długo trwało, zanim to zrozumiałam. – Rozparła się na krześle. – To tylko jedna rzecz. Musiałam się od nowa nauczyć, co wcześniej uważałam za słuszne i niesłuszne. Ale nie mogłam... świat był tak hałaśliwy, że nie słyszałam własnych myśli. Dlatego przeniosłam się do domu mojego dziadka. Postanowiłam w nim zostać, dopóki nie odkryję, kim jestem.

Peter spojrzał na brzoskwinie w słoikach, potem przypomniał sobie widok kwitnących drzew w sadzie.

– I ciągle pani tu jest – zauważył. – To jest ten dom, prawda?



Słońce mocno przypiekało przez poranną mgłę. Dwa w lisy wędrowały już od wielu godzin, ale Szary szedł wolno i często odpoczywał, więc dotarły dopiero do dna doliny. Przez większość czasu Pax z szacunkiem trzymał się boku starszego towarzysza, lecz bywały chwile, kiedy wyrywał się pędem naprzód i napawał się prędkością, po czym wracał na swoje miejsce.

Nigdy wcześniej nie biegał, nie tak prawdziwie. Poruszał się biegiem wzdłuż swojego kojca albo po podwórku, ale bieganie tutaj było czymś całkiem innym: owalne łapy, już zagojone, ledwie muskały grunt, kiedy mknął coraz szybciej przez rozległe połacie traw.

Wczorajszy posiłek oczyścił mu zmysły i wzmocnił mięśnie, ale teraz po jajkach w żołądku nie było już śladu, a zapachy dobiegające z doliny wywoływały poczucie głodu. Tam gdzie są ludzie, tam będzie jedzenie.

Jak daleko?

Dwa dni drogi. – Szary opisał miejsce ze starych kamieni, gdzie ziemia pachniała smołą i konopiami, a w pobliżu płynęła rzeka. – *Dojdziemy tam przed zmierzchem. Ludzkie osady są o jeden dzień dalej.*

Pax nie pamiętał ludzkich osad. Nie pamiętał rzeki. Pamiętał natomiast groźnie wyglądające drzwi domu chłopca. Pamiętał dęby otaczające dom, zarośnięte pozostałości po rabatce kwiatowej, na którą nie miał wstępu, i odgłosy drogi. Wyczuwał, że przy tej drodze mieszkają inni ludzie, ale nigdy ich nie spotykał. Te wspomnienia były coraz bledsze, tak samo jak wspomnienie o życiu w klatce. Nie mógł już sobie przypomnieć, jak wyglądało niebo widziane przez sześciokąt drucianej siatki.

Wciąż pamiętał swojego chłopca. Orzechowe oczy z dziwnymi okrągłymi źrenicami; sposób, w jaki Peter je zamykał, odchylając głowę i wydając dźwięk podobny do szczeknięcia, kiedy był zadowolony. Jego słona szyja, która pachniała czasami potem, a czasami mydłem. Jego dłonie, zawsze w ruchu, z zapachem czekolady, który Pax uwielbiał, i wyprawionej skóry, którego Pax nie znosił.

Dwa lisy szły dalej, a Pax zastanawiał się nad zagadką innego zapachu swojego chłopca – jego zapachu podskórnego. Było to coś pomiędzy żalem a silną tęsknotą, a brało początek z głębokiego pragnienia czegoś, czego lis nie potrafił odgadnąć.

Czasami w pokoju kryjówce chłopca ten zapach żalu-pragnienia był tak silny, że przytłaczał wszystko inne, a mimo to chłopiec nie robił nic, by zdobyć to, czego tak bardzo pragnął. Zawsze kiedy Pax wyławiał ten zapach, pędził z miejsca, w którym akurat się znajdował, by zastać chłopca rozpląszonego na łóżku i ściskającego w rękach drobne przedmioty z dolnej szuflady biurka; jego twarz była w takich chwilach silnie pomarszczona. Lis trącał go nosem w ramię albo rzucał się z pazurami na kotary, a potem udawał, że traci równowagę i przewraca się na podłogę – wszystko po to, by rozbawić chłopca. Ale kiedy ten zapach żalu-pragnienia był bardzo silny, nie działały żadne sztuczki. W takie dni Peter wyganiał Paxa z pokoju i zamykał drzwi.

Na to wspomnienie Pax znowu poczuł chęć biegu, ale tym razem nie dla przyjemności.

Ta wojna, która nadchodzi... na pewno skrzywdzi wszystkich po drodze? Nawet podrostków?

Wszystko. Ona niszczy wszystko.

Pax wysunął się naprzód, z szacunkiem, lecz ponaglająco. Musieli się spieszyć. Starszy lis przez chwilę obserwował młodszego badawczo, a potem przyspieszył kroku. Przecięli bagniste dno doliny i wspinali się po skalistych zboczach, teraz już jeden obok drugiego.

Na górze lisy zatrzymały się. Szary dyszał ciężko. Sosny wznoszące się przed nimi obiecywały długie, chłodne połączenie cienia. Jednak ten teren był silnie oznaczony zapachem, którego nie dało się nie rozpoznać – tutaj rządził rywal Szarego. Niemal natychmiast ziemia zadygotała w miarowym rytmie łap zmierzających w ich stronę. Pax i Szary nie zdążyli nawet się

przygotować, kiedy płowy lis wyskoczył z zarośli, warcząc i gwałtownie machając ogonem.

Pax cofnął się, lecz Szary spokojnie postąpił naprzód z tułowiem na tyle opuszczonym, by sygnalizować pokojowe zamiary.

Chcemy tylko tędy przejść.

Rywal zignorował pokojowe powitanie i skoczył na starego lisa. Mocno uderzył go w bok i docisnął do ziemi, po czym zatopił zęby w jego chudej szyi.

Pisk Szarego sprawił, że włosy na karku Paxa się zjeżyły, a serce przyspieszyło. Mięśnie pulsowały z taką furją, jakiej Pax doświadczył tylko raz; od niedawna żył wtedy z ludźmi i gdy ojciec podniósł rękę na chłopca, lisek bez namysłu przemknął przez pokój i wbił zęby w nogę mężczyzny. Teraz, tak jak wtedy, jego grzbiet wygiął się w łuk, a z głębi gardła wydostał się groźny pomruk.

Napastnik obrócił się zaskoczony i w tym momencie Pax natarł na niego. Tarzali się po ziemi, przednimi łapami atakując delikatne uszy, a tylnymi szukając dostępu do brzucha przeciwnika. Płowy lis był sprawniejszy, lecz Paxowi dodawał sił instynkt opiekuńczy. Gdy jego zęby odnalazły gardło rywala, tamten poderwał się i wycofał, skomląc.

Pax przyskoczył do Szarego, by go osłonić, tak jak osłaniałby swojego chłopca, wypiął pierś i warknął ostrzegawczo. Konkurent umknął jak niepyszny.

Pax strząsnął krew z licznych powierzchownych zadrapań, a potem oczyścił językiem ranę Szarego. Była głęboka. Próbował nakłonić starego lisa do powrotu.

Nie. Pójdę dalej.



Szli miarowym tempem przez rzadki las. Pax starał się nie wyprzedzać osłabionego Szarego, zadowolony, że w ogóle posuwają się naprzód. Kiedy jednak stado wron obsiadło nagie gałęzie drzewa pekanowego, Szary zawrócił i usiadł pod konarami. Wyteżył słuch.

Pax czekał niecierpliwie. Po chwili stary lis szczeknął do niego:

Wojna jest coraz bliżej.

Skąd wiesz?

Wrony. Słuchaj.

Pax przechylił głowę. Nadleciało więcej głośno skrzeczących ptaków, które opadały na dolne gałęzie i w popłochu stopniowo podlatywały coraz wyżej.

Są niespokojne.

Wrony wciskały głowy między skrzydła, stroszyły pióra, podrzucały i opuszczały dzioby, wydając trwożliwe wrzaski. Ich podniecenie działało mu na nerwy.

Uważnie nadstawił uszu. To, co wyczuł, obudziło w nim czujność: powietrze przesyccone śmiercią. Ogień i dym. Krew w rzece, rzeka czerwona od krwi, ziemia zalana krwią. Chaos.

Wszystko zepsute. Włókna drzew, chmury, nawet powietrze jest zepsute.

Tak. Wojna. Gdzie?

Pax znowu nadstawił ucha.

Zachód. Jeszcze daleko, ale coraz bliżej. A teraz mała grupa zarażonych wojną przybyła z południa, żeby dołączyć do wojny.

Z południa.

Pax chodził niespokojnie tam i z powrotem, czekając, aż Szary się podniesie. Młody lis jeszcze raz zaproponował, że pójdzie sam, ale Szary ponownie odmówił powrotu do domu. Wyruszyli więc i znowu ich tempo było wolniejsze, niż Pax by chciał. Zatrzymywali się jedynie na posiłki złożone z robaków i jagód, a na każdym takim postoju Pax szukał w powietrzu zapachu chłopca lub choćby najmniejszych śladów jego głosu. Nic. Nic.

Uniósł pysk i wydał przeciągły, żaloszny skowyt.

Od tak dawna nie widział swojego chłopca. Wcześniej nigdy nie rozstawali się na dłużej niż pół dnia. Peter często wychodził rano i Pax krążył wtedy po swoim kojcu z coraz większym niepokojem aż do popołudnia, kiedy jego chłopiec wracał, przynosząc ze sobą zapach innych młodych ludzi i dziwną woń dużego żółtego autobusu, który go przywoził. Pax sprawdzał, czy chłopcu nic nie dolega, szukał wszelkich śladów obrażeń, zanim ze spokojem oddał się zabawie.

Teraz było popołudnie. Pax znowu zaskomlał i tym razem Szary także podniósł głos, by dać wyraz tęsknocie. Kiedy jednak Pax ustawił się na ścieżce, by wznowić wędrówkę, Szary zachwiał się.

Widać było, że stary lis potrzebuje odpoczynku. Pax poprowadził go na mech w cieniu sosen. Szary położył głowę na łapach i zanim Pax skończył czyścić jego ranę, już spał.

Czuwając przy swoim towarzyszu, myślał o tym, co będzie robił ze swoim chłopcem, gdy go znajdzie: wspólne turlanie się, zabawa w polowanie, zwiedzanie trawiastego podwórza i części lasu za domem. Przypomniawszy sobie, jakimi nagrodami chłopiec go obdarzał: uśmiechał się szeroko na powitanie, głaskał po karku, głęboko zanurzając palce w jego sierść. Jakże przyjemnie było leżeć u stóp chłopca przed kominkiem.

Te myśli uspokoiły go na tyle, że zdrzemnął się, kołyszany wspomnieniem knykci Petera gładzących luźną skórę między jego łopatkami, tak żywym, że czuł drganie sierści. Wtem podmuch wiatru przyniósł woń, która natychmiast obudziła jego czujność.

Mięso. Opiekane mięso, jakie ludzie czasami grzali nad ogniem na podwórku. Jego chłopiec karmił go kawałkami tego mięsa ociekającego tłuszczem. Potem jeszcze przez wiele dni lis przeszukiwał popiół ogniska z nadzieją, że znajdzie tam przeoczone kęsy. Nawet zwęglone kości były skarbem.

Podniósł się, by wciągnąć ten zapach głębiej w nozdrza. Tak, pieczone mięso. Trącił nosem śpiącego Szarego.

Ludzie są blisko.

Po odpoczynku Szary ruszał się już żwawiej i lisy posuwały się dużymi susami. Gdy jednak podeszły bliżej ludzi, Pax pobiegł przodem. Ciało miał lekkie, pozbawione tłuszczu po kilku dniach niedojadania. Biegł jak prawdziwy lis – tułów niczym strzała przesywał powietrze z prędkością, przy której futro przyjemnie falowało. Świeżo poznana radość odczuwania pędu, niepokój z powodu zbliżającej się nocy, nadzieja na połączenie się z chłopcem – to wszystko sprawiło, że niczym kula ognia mknął między drzewami. Nie podlegał siłom grawitacji. Mógłby tak biec bez końca.

Aż wybiegł z lasu i ujrzał przed sobą szeroką rzekę. Za nią rozpościerało się puste pole, najpierw płaskie, a dalej wznoszące się ku potężnym, niszczącym kamiennym murom. Zapadał zmierzch i w odległym kącie kamiennych ruin zgromadziła się wokół ogniska grupa mężczyzn. Jedli posiłek. Za nimi widać było skupisko namiotów i kilka dużych pojazdów.

Wiatr zmienił kierunek na wschodni. Dym z pieczonego mięsa wciąż był wyraźnie wyczuwalny w powietrzu, lecz zapach ludzi docierał do Paxa

tylko w ogólnych zarysach. Lis biegał niespokojnie tam i z powrotem wzdłuż brzegu, ale choć ustawiał się na wszystkie strony, nie mógł rozróżnić poszczególnych ludzkich zapachów.

Przynajmniej wiedział, że nie ma tu jego chłopca. Żaden z ludzi nie był taki patykowaty, nikt nie poruszał się tak energicznie, nie trzymał się tak prosto z lekko pochyloną głową. Pax poczuł ulgę; pozostałe zapachy – dym, benzyna, rozgrzany metal i dziwna woń elektryczności – to była mieszanka, od której odganiałby Petera.

Szary przywłókł się z lasu i zwałił na brzeg obok Paxa. Dwa lisy wspólnie obserwowały ludzi. Ci skończyli posiłek, lecz nie odchodzili od ognia. Rozmawiali i śmiali się.

Oni są zarażeni wojną? – zapytał Pax.

Nie teraz. Teraz są spokojni. Pamiętam ten spokój. – Stary lis podwinął przednie łapy pod tułów. – *Pod koniec dnia ludzie, z którymi żyłem, zbierali się tak samo nad rzeką.*

Nagle Pax sobie przypomniał – on także widział coś podobnego. Od kilku lat już się to nie zdarzało, ale czasami pod koniec dnia jego ludzie siadywali razem na miejscu odpoczynku chłopca. Ojciec kładł na kolanach twarde pudełko, płaskie i cienkie, zrobione z wielu warstw papieru. Papier, taki jak w legowisku Paxa, ale niepotargany, z wieloma znakami. Jego ludzie oddzielali te warstwy jedną po drugiej i oglądali je uważnie. Pax pamiętał, że w tamte wieczory jego ludzie byli mocniej ze sobą związani, a on mógł zmniejszyć czujność.

W tym momencie poczuł coś dziwnego – jakby serce miało mu rozsadzić pierś.

Lisy zwróciły się w stronę ludzi. Część mężczyzn wciąż kucą przy ogniu, inni poruszali się z lampami między namiotami i sprzętem. Gdy zapadła ciemność, pozostali mężczyźni również odeszli od ogniska. Wylali resztki kawy, zasypali popiół i poznikali w namiotach.

Szary również się podniósł i na chwiejnych łapach ruszył pod górę, by szukać osłony pod rozłożystą gałęzią. Pokręcił się w kółko i wreszcie zwinął na zasypanej igliwem ziemi, wsunąwszy nos pod kitę.

Zapach mięsa sprawił, że Pax nie mógł zasnąć. Podeszedł do brzegu rzeki. Woda płynęła spokojnym nurtem. Lis opuścił głowę i pił, a potem wskoczył na kamień, omszały, lecz stabilny. Wbił wzrok w blask gasnącego żaru i podjął decyzję. Skok, plusk i znowu jego ciało robiło coś, czego nie robiło

nigdy wcześniej – płynęło. Chwilę później wychodził z wody na drugim brzegu i otrzepywał się.

Z namiotów nie dobiegał żaden dźwięk, najmniejszy odgłos ruchu. Pax skradał się po cichu przez pole. Wspiął się na wzniesienie. Okrążał granice obozu, coraz bardziej przybliżając się do ogniska.

Wyraźnie czuł niebezpieczeństwo, tak że z trudem opanowywał chęć ucieczki. W końcu był przyzwyczajony tylko do swoich dwóch ludzi – tego, którego kochał, i tego, którego tolerował. Kilka razy zakradał się do ogniska, kierując się zapachem mięsa przemieszanym z ostrzegawczą wonią mężczyzn zarażonych wojną, a potem odskakiwał.

Porzucona kość wieprzowa, wciąż ze śladami tłuszczu, stanowiła zbyt wielką pokusę. Pax rzucił się na nią łapczywie. Gdy pochłaniał mięso, utyłane w popiele, lecz wciąż ciepłe, usłyszał szelest brezentu. Znieruchomiał.

Z namiotu wyszedł mężczyzna. Stał – ciemna sylwetka na tle światła latarki – przeciągnął się i okrył swoim długim cieniem obserwującego go lisa. Odwrócił się i oddał mocz na krzak. Odór uryny dosięgnął nozdrzy Paxa i lis w jednej chwili nastroszył sierść i wzmógł czujność.

To był ojciec jego chłopca.



Już wystarczy.

Te słowa, tak samo jak dłoń Voli na ramieniu Petera, przyniosły mu ulgę. Stopa dotkliwie pulsowała, barki go bolały, a pachy miał obtarte do krwi. Dwa dni Obozu Szkoleniowego Vola – tak w duchu nazywał te męczarnie, kiedy wchodził o kulach pod górę, podciągał się na łokciach po kamienistym gruncie i przerzucał góry siana wsparty na jednej nodze – wyczerpały go do cna. Stał twarzą do chaty, nagle niepewny, czy jest w stanie pokonać tę odległość.

Wzgórza widoczne nad dachem domu były spowite deszczowymi chmurami. Zbliżała się noc. Pomyślał o Paxie, przemoczonym i zziębniętym.

– Mógłbym iść dalej.

– Nie. Zniszczysz to, co osiągnąłeś, jeśli przesadzisz.

Skinął głową i zrobił krok w kierunku chaty.

Vola jednak zaprotestowała.

– Jeszcze nie. – Wskazała szopę. – Trzeci warunek.

Szopa zdawała się niemożliwie daleko. Peter tęsknie spojrzał na chatę. Z przyjemnością wyciągnąłby się w hamaku. Zaczął jednak ostrożnie przesuwać kule w kierunku szopy.

– Co to ma być?

– Nic wielkiego. Ożywisz dla mnie kilka lalek. Marionetek. To ci się wydaje za trudne?

– Marionetki? Nie łapię.

– Wiesz, co to takiego?

– Jasne. – Przypomniiał sobie jedyne marionetki, jakie widział z bliska: Jaś i Małgosia z długimi podbródkami i ostrymi nosami na jarmarku, kiedy był jeszcze mały. Oczy bez życia, sylwetki chude jak u głodujących szczurów. Lalkarz miotał nimi po scenie tak gwałtownie, że potem Peter przez kilka tygodni miewał koszmary. – Ale o co z nimi chodzi?

Vola przyglądała mu się przez chwilę, zanim odpowiedziała.

– Dowiedziałam się o sobie jeszcze czegoś. Przypomniiałam sobie, że kiedy byłam nastolatką, robiłam kilka kukiełek dla moich młodszych kuzynek. Przypomniiałam sobie, jaką przyjemność sprawiało mi rzeźbienie w drewnie.

Wyciągnęła dwie chustki z kombinezonu i podała mu je z westchnieniem.

– Owiń te uchwyty. Nadal zwisasz z kul. Przenieś ciężar na dłonie. Rozkładaj go na całych ramionach, nawet teraz, kiedy tu stoisz.

Niespodziewane chwile dobroci Voli wytrącały go z równowagi. W jednej chwili warczała na niego za tuzin podciągnięć albo rozczapierzała dłoń przed jego oczyma, żeby za bardzo się nie zbliżył. Taki dystans mu odpowiadał; znał to z własnego domu. Ale zaraz potem wcierała mu swoją ślinę w obolałe ramiona albo szlifowała papierem ściernym jego kule czy też rzucała wszystko, by mu przyrządzić kubek gorącej czekolady. Wtedy zauważał, ile wysiłku kobieta wkłada w to, żeby przywrócić mu siły i mobilność, i natychmiast dopadało go poczucie winy.

Czuł się winny także teraz, owijając uchwyty delikatnymi chustkami, powiedział więc to, co według niego chciała usłyszeć.

– Pani kuzynki na pewno bardzo się ucieszyły z takich prezentów. – Sam w to nie wierzył. Te jej kuzynki prawdopodobnie wepchnęły figurki o kształtach wychudzonych szczurów z nieżywymi oczami do śmieci tego samego dnia, którego je dostały. Żeby nie mieć koszmarów.

Vola wzruszyła ramionami, lecz Peter widział, że jego słowa sprawiły jej przyjemność, a to jeszcze wzmogło w nim poczucie winy. Oparł swój ciężar na dłoniach i ruszył za nią do szopy. Zatrzymał się w drzwiach, by zaczerpnąć chłodnego powietrza – pachniało drewnem, sianem, siemieniem lnianym i lakierem. Same ładne zapachy, pomyślał Peter. I naprawdę przyjemne razem. Wszedł do środka.

Vola podeszła do przeciwległej ściany, tej zakrytej płótnem. Peter trzymał się z tyłu. Ta ściana przeraziła go już pierwszego dnia. Kobieta

zdjęła płachtę i chłopiec omal się nie przewrócił, jakby to, co zobaczył, zadało mu fizycznie odczuwalny cios. Lalki – teraz widział, że na ścianie wisiały marionetki – były niesamowicie realistyczne, a przy tym niepodobne do niczego, co kiedykolwiek zdarzyło mu się oglądać.

Oniemiały podszedł bliżej.

– Ich oczy... – powiedział, kiedy odzyskał głos.

– Biżuteria mojej babci. Miała długie naszyjniki z gagatów. To te czarne koraliki, które są w żrenicach. Błyszczą w świetle i dzięki nim moi przyjaciele wydają się żywi.

Pięć kukiełek przedstawiało ludzi – król, królowa, dziecko, pirat czy marynarz i czarodziejka – a pozostałe zwierzęta. Wszystkie głowy były drewniane, niemal naturalnych rozmiarów, z ogromnymi oczami, ale tułowia wykonano z najróżniejszych materiałów. Żółw miał skorupę z zielono-pomarańczowej tykwy. Łuski węża powstały z szyszek. Były też pióra; niemal wszystkie lalki miały jakieś elementy z piór we włosach, na pelerynach czy spodniach. Obok każdej kukiełki starannie owinięte wisiały na kołkach krzyżaki i cięgna, połączone cienkim czarnym sznurkiem.

Pośrodku ściany znajdowało się coś, co Peter uznał za największą z marionetek, okryte osobną płachtą. Vola ściągnęła płótno i Peter zaniemówił.

Skrzydła ogromnego ptaka miały jakieś półtora metra rozpiętości i wprost zachwycaly swoim wyglądem: setki ciemnych piór z wdziękiem nachodzących jedno na drugie w idealnych rzędach; ich końcówki pomalowane na czerwono, jakby liżnięte językiem ognia. Vola zdjęła go z kołka i podała chłopcu.

– Pozostałe to na ogół lalki z poruszanymi głową i ramionami, ale on musi latać. Przyczepiam go do łokcia. Kiedy się unosi, prawie czujesz wiatr. No, śmiało, możesz go dotknąć.

Peter wyciągnął rękę. Koniuszkami palców przesunął po szyi, potem po ostrym drewnianym dziobie pomalowanym jaskrawą złotą farbą. Ogromne oczy ptaka połyskiwały czernią. Chłopiec opuścił dłoń.

– No więc co mam z tym zrobić?

Vola wskazała bale siana.

– Może lepiej usiądźmy. Zacznę od początku.

Peter opadł na siano, zadowolony z możliwości odpoczynku. Przyglądał się, jak Vola odwiesza wielkiego ptaka. Z wnęki w ścianie wyjęła małą

książkę, po czym podeszła do Petera i usiadła przy nim.

– Zabiłam kogoś.

Podniosła głowę. Peter nie zdążył ukryć szoku.

Vola westchnęła z obrzydzeniem.

– Nieważne, jakie *djableman* teksty wciskają ci o nauczaniu się zawodu i wykorzystaniu własnego potencjału, jesteś tam po to, żeby zabijać. Zabić albo zostać zabitym... taka zasada obowiązuje na wojnie.

To nie była prawda. Na przykład jego tata.

„Nie będziesz walczył, prawda?”, dopytywał Peter. Ojciec roześmiał się i zaprzeczył: będzie robił mniej więcej to samo, co w cywilu – kładł kable.

Nie poprawiał jej jednak, bo miała tak zbolałą minę.

– Zabiła pani kogoś.

– Prawdopodobnie zabiłam wielu ludzi albo przynajmniej przyczyniłam się do ich śmierci. Ale tego jednego... tego widziałam. Po wszystkim. Musiałam przeszukać jego ciało. Szkolono nas do poszukiwań broni, wszystkiego, co można wykorzystać. Uklękałam, musiałam go dotknąć, żeby go przeszukać. Pamiętam, jakiego szoku doznałam, kiedy dotknęłam jego ciała. Byłam sanitariuszką, ale mimo to chyba spodziewałam się, że będzie plastikowe, nie prawdziwe. Tak jak uczyli nas myśleć o wrogu podczas szkolenia. Ale oczywiście on był... był ciepły. Tego dnia było zimno, a on wydzielал ciepło. Jakby życie z niego parowało. W dodatku dotykałam go bez jego pozwolenia. Zamordowałam go, a przejmowałam się tym, że stracił prawo wyrażenia zgody lub niezgody na to, co się z nim działo. Pewnie myślisz, że to wariactwo, prawda?

Peter czuł suchość w ustach. Nie wiedział, co powiedzieć. Nagle przypomniał sobie terapeutkę o łagodnym spojrzeniu i odnalazł odpowiednie słowa.

– To musiało być dla pani trudne.

Vola spojrzała na niego z dziwną ulgą na twarzy. Przytaknęła.

– Nagle zapragnęłam się dowiedzieć, kim był. Skąd pochodził, co było dla niego ważne, kto go kochał. Miał otwarte usta, jakby chciał mi coś powiedzieć. Wtedy coś zrozumiałam: że chociaż to był mężczyzna, chociaż był innej rasy i dorastał w innym kraju, prawdopodobnie mieliśmy ze sobą wiele wspólnego. Wiele ważnych rzeczy, ważniejszych niż to, do której armii nas wcielono. Dwie rzeczy są w istocie jedną rzeczą. Ale go zabiłam, więc nigdy się nie dowiemy. Przeszukałam jego ciało, nie chciałam już

znaleźć broni, lecz jakieś informacje o nim samym. – Vola zamilkła. Jej twarz wyrażała taką boleść, że Peter miał ochotę odwrócić wzrok.

– I...

– I to. – Podniosła trzymaną książkę. – *Siedem podróży Sindbada Żeglarza . Część Księgi tysiąca i jednej nocy* . Była w jego kieszeni. Zabrał ją ze sobą na wojnę, czyli musiała coś dla niego znaczyć. Stare wydanie, więc chyba to była jego ulubiona książka z dzieciństwa. Sindbad był dzielny, może ten żołnierz myślał, że udzieli mu się trochę tej odwagi. A może tylko nie chciał zapomnieć, że kiedyś był małym chłopcem, który czytał książki i czuł się bezpieczny. Jedna strona była zaznaczona: opowieść o tym, jak Sindbad ucieka z gniazda ptaka Roka. Myślę, że ta opowieść pomagała mu wierzyć, że i on któregoś dnia ucieknie i wróci do domu. – Podniosła się. Zdjęła ze ściany ogromnego ptaka. – Rok. Ten ptak był w stanie unieść w szponach słonia. Spójrz. – Przyniosła kukielkę bliżej Petera i zwróciła ją dziobem ku chłopcu.

Spojrzenie ptaka było tak dzikie, że Peter aż się wzdrygnął.

– Co ja mam z nim zrobić? – zapytał ponownie.

– Ta książka była dla tego żołnierza tak ważna, że zabrał ją na wojnę. Uznałam, że skoro odebrałam mu życie, jestem mu coś winna. Byłam mu winna tę opowieść, która tyle dla niego znaczyła. Wystrugałam wszystkie te lalki i od prawie dwudziestu lat opowiadam w mojej szopie historię Sindbada uciekającego od ptaka Roka. – Podała Peterowi krzyżak do sterowania marionetką. – I teraz w końcu chcę zobaczyć, jak to wygląda.



Pax obserwował, jak Szary krąży przy brzegu rzeki i wraca na swoje miejsce. Już dwa dni lisy odpoczywały naprzeciwko obozu zarażonych wojną, a stan Szarego się nie poprawiał. Kiedy stary lis znalazł się w cieniu konara, ciężko zwałił się na ziemię. Oczy miał zapadnięte i zamglone, ledwie się wzdragał, gdy Pax kolejny raz czyścił mu kark językiem.

Rana była bardziej zaogniona niż przedtem.

Zostań w ukryciu. Odpoczywaj.

Pax wspiał się w górę strumienia do miejsca, gdzie rzeka zwężała się przy ścianie wąwozu i zarośla były na tyle gęste, że mógł się w nich poruszać niezauważony przez ludzi. Nie poszczęściło mu się na polowaniu – na tym terenie aż się roiło od myszy i królików, ale wszystkie czmychały przed Paxem, kiedy niezdarnie próbował je łapać. Oprócz żuków i niedojrzałych jagód udało mu się zdobyć jedynie kilka langust, których Szary nie chciał jeść.

Pax próbował przez pół godziny – ścigał uciekające nornice, skaczące strzyżyki i wygrzewające się w słońcu żaby. Jednak każdy jego atak kończył się tym, że w pysku pozostawało mu jedynie powietrze. Z każdym niepowodzeniem robił się głodniejszy. Chciał zdobyć mięso – dla siebie i dla osłabionego towarzysza. Smakowite zapachy dobiegające z obozu były prawdziwą torturą.

Wskoczył dowody. Prąd był tu silny, ale pośrodku rzeki leżały jeden na drugim trzy kamienie, tworząc bezpieczne miejsce na postój. Stąd Pax miał dobry widok w dół rzeki na ludzi.

Przybyło ich więcej. Kilka kobiet, ale w większości mężczyźni. Pax bez ustanku wypatrywał swojego chłopca, bo po pierwsze był tu jego ojciec, a po drugie wyczuwał bliskość jego domu. Pojawiali się jednak sami dorośli.

Teraz wielu z nich kręciło się po polu. Niektórzy rozciągali druty przy rzece, dokładnie na wprost Szarego, co wywołało u Paxa niepokój. Żołnierze jednak nie dostrzegali niczego wokół nich, skupieni na pracy.

Pax poznał już ich rozkład dnia. Codziennie dwóch z nich wchodziło do namiotu, który, jak mówiły mu zmysły, był pełen jedzenia. Następnie ci dwaj gotowali coś nad ogniem, a pozostali wspólnie spożywali posiłek. Później wszyscy czymś się zajmowali – na polu, przy pojazdach, rozładowując coraz więcej maszyn – ale nikt nie podchodził do namiotu z jedzeniem aż do zmierzchu, kiedy ci sami dwaj zaczynali gotować wieczorny posiłek i wzywali pozostałych.

Było popołudnie. Pax obserwował ich jeszcze przez chwilę, by się upewnić, że zarażeni wojną są zajęci swoimi sprawami, po czym, osłonięty pniem zwalonego drzewa, pokonał pozostały odcinek rwącej wody. Z brzuchem przy ziemi czołgał się po wzgórzu do miejsca nad starym młynem.

Tam zatrzymał się i ogarnął teren wzrokiem. Bezpośrednio pod nim w obozie znajdowali się trzej mężczyźni. Zgromadzili się wokół nowego sprzętu na południowym skraju młyna, gdzie stykały się dwa grube mury.

Pozostali ludzie byli na polu. Część rozwijała rolki drutu między dziurami, które wykopali blisko rzeki. Inni wkładali do tych otworów jakieś pudełka i zasypywali je ziemią.

Dwie pary przekroczyły rzekę. Kopali teraz dziury na przeciwległym brzegu, niemal bezpośrednio poniżej drzewa, pod którym leżał Szary. Pax wiedział, że ludzie nie wyczują Szarego po zapachu i że lis nie ucieknie stamtąd, póki oni będą w pobliżu. Mimo to sierść mu się zjeżyła z niepokoju. Postanowił, że wieczorem przeniesie ранego towarzysza w bezpieczniejsze miejsce.

Ruszył pędem ku północnej krawędzi ruin młyna, w pobliże namiotów i pojazdów. Tam z kamiennego muru wychylała się brzoza.

Pax stanął jak wryty.

Już tu kiedyś był. To miejsce – drzewo z obłazącą białą korą, mury, pola w dole pachnące dziką cebulą i tymiankiem oraz ledwie wyczuwalną wonią

smoły – obudziło w nim wspomnienia. Był tutaj ze swoim chłopcem dawno temu, jako szczeniak.

Wszystko nagle wróciło. Patyki. Peter i trzech inni chłopcy biegali po tych murach, krzycząc i wymachując kijkami. Śmiali się, ale te patyki budziły w Paxie niepokój. Osłaniał swojego chłopca i szczekał, gdy tylko ktoś podchodził zbyt blisko, aż wreszcie Peter przywiązał go do tego właśnie drzewa. Resztę popołudnia Pax spędził na skomleniu i wgryzaniu się w sznur.

Peter tu był! Pax dokładnie obwąchał drzewo i podstawę muru, ale nie znalazł śladów pobytu chłopca w tym miejscu. Natomiast zarażeni wojną... ich zapach był wszędzie, silny i groźny. Żołądek mu się ścisnął.

Upewnił się, że wokół obozowiska nikt się nie kręci. Dopiero wtedy rzucił się do namiotu zjedzeniem. Zatrzymał się na rogu, znowu skontrolował sytuację i wślizgnął się pod brezent.

Wewnątrz ponad stołami pełnymi ziemniaków i cebuli wisało mięso. Prawdziwy skarb. Pax skoczył i chwycił kawał szynki. Zerwał ją z haka i wypadł z namiotu z tą ciężką nagrodą w pysku.

Biegł pod górę po zboczach, za mur i z powrotem przez karłowaty las. Nad rzeką rzucił szynkę na ziemię i żarłocznie pochłoniął solidny posiłek. Rozdarł udziec na części i dwa wielkie kawały zagrzebał w piachu nad brzegiem, po czym oznaczył kryjówki.

Chwycił pozostałą część, obfitującą w mięso i tłuszcz, która powinna zapewnić Szaremu energię na wiele dni, i przeniósł ją przez zwałony pień. Zatrzymał się na kamieniach pośrodku rzeki, by jeszcze raz spojrzeć na obóz.

Ludzie już zniknęli. W powietrzu wisił nowy zapach, słaby, lecz złowieszczy. Pax rozpoznał go. Gdy był młodym liskiem, ojciec chłopca wstawił do pokoju Petera wiatrak. Pax nienawidził tego ponurego elektrycznego zapachu wydzielanego przez kabel łączący wiatrak ze ścianą. Pewnej nocy, kiedy ten zapach stał się szczególnie groźny, Pax przegryzł kabel, jakby zabijał węża.

Instynkt nakazywał mu uciekać od tego złowieszczonego zapachu, ale nie mógł zostawić Szarego. W pewnym momencie zobaczył starego lisa wyłaniającego się spod konaru i sunącego z powrotem w stronę rzeki.

Szary potknął się. W tej samej chwili z miejsca, na które upadł, niczym ziemską błyskawica pomknął w powietrze zapach spalenizny i brzeg rzeki

ekspłodował. Piach, kamienie, woda i torf wystrzeliły w górę z szaleńczym rykiem, po czym opadły na podziurawiony grunt niczym czarny grad.

Pax puścił szynkę i szczechnął do Szarego. W drżącej ciszy oczekiwania aż dzwoniło mu w uszach.

Zza murów wybiegli zarażeni wojną. Po ich okrzykach Pax poznał, że są podnieceni. Rzucili się biegiem przez pole, przekroczyli rzekę i rozbiegli się po dymiącym brzegu. Po chwili poszukiwań wrócili do obozu.

Kiedy ostatni zarażony wojną się oddalił, Pax ruszył w dół wąwozu.

Wielki konar oderwany od drzewa przygniatał pierś Szarego. Pax trącał nosem zabłocony policzek przyjaciela, macał łapą jego bok. Obwąchał pysk Szarego. Stary lis oddychał, ale bardzo słabo.

Pax położył się obok niego i mocno się przytulił. Mógł mu zaoferować jedynie swoje towarzystwo, ale nic innego nie było potrzebne.

Odczytując ostatnie wspomnienia Szarego, słyszał śpiew arktycznego ptaka, a nie ludzkie krzyki. Zamiast otaczającej ich mgły popiołu oglądał wraz z Szarym przepastną błękitną misę nieba. Nie leżał na twardym gruncie, lecz turlał się z Szarym i jego braćmi przez ośnieżoną tundrę nakrapianą gwieździstymi niebieskimi kwiatami. Mruczał wraz z Szarym, czując ciepło szorstkiego matczyngo języka, czuł smak jej ciepłego mleka, ciężar jej brody spoczywającej na jego świeżo narodzonym łebku. Po tym wszystkim cisza.

Stary lis leżał nieruchomo.

Pax podniósł się. Przyłożył czoło do policzka przyjaciela. Cofnął się i zawył, nie zważając na to, czy słyszą go zarażeni wojną. Zaraz potem uciekł.

Tym razem bieg nie sprawiał mu przyjemności, ale lis czuł ulgę, że ciało się mu podporządkowuje. Biegł i biegł na północ przez mrok, na północ przez noc.

Z nastaniem świtu wkroczył na teren rywala Szarego i biegł dalej. Płowy lis wybiegł mu naprzeciw, ale widząc determinację w ruchach Paxa, cofnął się i pozwolił mu przebiec. Pax zbiegł w dół skalnego zbocza, przeciął dno doliny i pokonywał ostatni odcinek pod górę, ku łące. W połowie drogi zatrzymał się i uniósł głowę.

Obserwowały go trzy lisy. Teraz już znał je wszystkie: partnerka Szarego, wciąż ze szczeniętami w brzuchu, a obok o połowę od niej mniejszy Chuderlak; trzecia była Nastroszona, ale ona nie stała z nimi. Jej

rude futro przeświecało między gałęziami dużej sosny górującej nad łąką – tej samej, pod którą rozstała się z życiem jej siostra.

Sierść Paxa niosła woń śmierci Szarego, ale lisy już wiedziały, co się stało.

Pax przyspieszył. Gdy dotarł do kryjówki Szarego, zadarł głowę i z jego gardła wydobył się żałosny jęk. Trzy lisy odpowiedziały mu tym samym.

Podeszła do niego partnerka Szarego. Obwąchała nos i bok Paxa. Dowiedziała się o bójce, w której jej partner nie stracił życia, i o wybuchu, w którym je stracił. Dowiedziała się także, że Pax ochraniał Szarego, karmił go, czyścił mu ranę, czym wzbudził jej wdzięczność. W końcu dowiedziała się tego, czego próbował się dowiedzieć Szary, kiedy zginął.

Nie jest dla nas bezpiecznie na południu?

Nie jest bezpiecznie.

Partnerka Szarego odeszła, kołysząc brzuchem.

Po dostarczeniu wiadomości Pax opadł na trawę wyczerpany. Chuderlak upomniał się o miejsce obok niego i Pax z przyjemnością poddał się zabiegom pielęgnacyjnym wykonywanym przez małego liska. Nastroszona obserwowała ich spod sosny.



Pax przespał niespokojnie popołudnie, dręczony przez sny, w których jego chłopiec wplątywał się w dymiące druty. W końcu, gdy na błękitne niebo wpłynął księżyc, wstał.

Czuł zapachy lisów, złączonych smutkiem po stracie srebrzystego towarzysza. Pax odczuwał ten sam smutek i wiedział, że gdyby postanowił tu zostać, byłby przyjęty z ochotą. On jednak czuł, że musi wrócić do obozu zarażonych wojną.

Kiedy już miał odejść, wyczuł Nastroszoną schodzącą po zboczu. Począł na nią.

Dokąd idziesz?

Podzielił się z nią świeżo zdobytą wiedzą, że wybuchająca ziemia to wojna i że powodują ją te rozciągnięte druty. Podzielił się obawą, że jego chłopiec może na nie wejść, gdyby chciał pójść do ojca, i swoją determinacją, by chronić Petera.

Te wybuchy... zabijają ludzi?

Tak.

Obróciła się tak, by stanąć na wprost niego.

No to je zostaw.

Pax zignorował tę uwagę. Wyprężył się i dał susa. Ruszył biegiem przed siebie.



Widząc Volę kuśtykającą w deszczu w kierunku szopy, Peter puścił belkę i starał się wyglądać jak najbardziej niewinnie. Vola podejrzewała go, że robi więcej ćwiczeń, niż powinien – zwykle robił dwa razy tyle – i walczyła z tym, jak mogła.

– Zdrowy dorosły potrzebuje czterech tygodni na to, co ty chciałbyś osiągnąć w tydzień. W ten sposób wyrządzisz sobie krzywdę – przestrzegała go kilka razy. W ostatnich dniach stało się to tematem ich regularnych sprzeczek.

Jej widok, gdy otrzepywała się z deszczu, przypomniawszy mu Paxa i sposób, w jaki on to robił. Czy tam, gdzie jest teraz, pada deszcz? Czy otrzepuje się jak dawniej, mimo że nie wchodzi do ciepłego wnętrza? Peter wzdrygnął się i roztarł dłonie.

– O co chodzi? Wyglądasz, jakby cię coś bolało. Bolą cię ręce?

– Nie. – Oczywiście bolały. Ale był to przyjemny ból, zapowiedź tego, że wkrótce będzie miał tyle siły, by móc wyruszyć. Opuścił się i zrobił trzy pompki, opierając gips na lewej kostce. – Widzi pani? Wszystko w porządku. Mogę teraz zaliczyć tor przeszkód? Nie pada za bardzo.

– Nie. Nie możesz zmoczyć gipsu. Pomyślę, jak ci go zabezpieczyć przed wilgocią, zanim wyruszysz, ale dzisiaj musisz zostać pod dachem. Zrobiłeś już wszystko, co ci kazałam?

– Ćwiczenia z belką, ciągnięcie worków, pustaki. Wszystko, czego mnie pani nauczyła.

Vola obróciła się w stronę marionetek.

– To dlaczego nie ćwiczysz?

Bo te kukielki ani o minutę nie przybliżają mnie do mojego lisa, miał ochotę odpowiedzieć. Zamiast tego westchnął ciężko i przewrócił oczami.

Vola ani drgnęła.

– Jak ci z nimi idzie?

– W porządku. Dobrze. – Ćwiczył kilka razy. I szło mu trochę lepiej. W każdym razie sznurki już mu się nie plątały. Tylko chwilami krzyżaki działały odwrotnie, niż powinny, a lalki podrygiwały, jakby je poddawano elektrowstrząsom. Stracił jednak do tego cierpliwość. – Zróbmy już to przedstawienie. Wkrótce odejdę. – Uniósł kule, które teraz poruszały się, jakby były przedłużeniem jego ramion. – Wczoraj dwa razy doszedłem do gór i z powrotem, wspierałem się na nich prawie sześć godzin. Wytrzymałbym osiem, gdyby mi ich pani nie zabrała. Jestem gotów do odejścia.

Vola wrzuciła garść gwoździ do kieszeni kombinezonu i wsunęła młotek do odpowiedniego otworu w pasie narzędziowym. Następnie spojrzała na niego spokojnie.

– Pokaż, jak poruszasz Sindbadem.

Peter jeszcze raz westchnął, co Vola znowu zignorowała, i zdjął Sindbada ze ściany. Przeniósł go ponad balem siana i opuścił na drewniane jajko w dużej cynowej misie, którą Vola pomalowała w taki sposób, żeby przypominało gniazdo. Wiedział, jak topornie to wyglądało, ale posłał jej pełne nadziei spojrzenie.

– Naprawdę? To ma być ten zdesperowany bohater ryzykujący życiem, żeby uciec od potężnego Roka?

Vola przejęła od niego krzyżak i w marionetkę natychmiast jakby wstąpiło życie.

– Pomyśl, czego on chce. Chce uciec – powiedziała, jakby Peter prosił o instrukcje. – Opuść mu ramiona i prowadź je o tak, widzisz, nisko, powoli. Niech opadnie do gniazda, aż schowa się za jajkiem. Kiedy już tam będzie, możesz go puścić i wtedy Rok przeleci nad gniazdem z drugiej strony... z prawej, pamiętaj, żeby się nie splątał ze sznurkami Sindbada. Sprowadź go od razu na jajko, powoli, spokojnie, żeby magnesy w jego pazurach złączyły się z magnesami w dłoniach Sindbada.



– Ja nie umiem tak nimi poruszać. Może pani po prostu ustawi sobie lustro i wtedy będzie mogła oglądać własne przedstawienie.

Vola posłała mu gniewne spojrzenie.

– To jest trzeci warunek i nie podlega dyskusji. Podejdz tutaj. – Zniosła lalkę do blatu roboczego. – On chce się ruszać. Wszystkie kukielki *chcą* się ruszać, bo takimi je zrobiłam. Musisz im tylko pokazać jak. Twoje mięśnie dla ich mięśni, twoje mięśnie dla ich mięśni.

Zdjęła pelerynę z Sindbada. Potem, ku zdziwieniu Petera, odwiązała jego sznurki. Sięgnęła po śrubokręt i rozmontowała kukielkę, tak że pozostała z niej jedynie sterta pojedynczych elementów. Wyciągnęła śrubokręt przed siebie. Peter wsunął kule pod pachy i uniósł dłonie.

– Obserwowałeś, jak to robiłam, nie?

– Tak, ale...

– Przyszłam tylko po kilka narzędzi. Wrócę za godzinę. Złożysz kukielkę z powrotem, to nie będziesz miał więcej problemów. – Wcisnęła śrubokręt w jego dłoń i wyszła bez słowa.

Nie było to bardzo trudne. Kolana i łokcie marionetki były prostymi zawiasami, barki i biodra to zawiasy kulowe, które pozwalały na większą ruchomość. Dłonie i stopy były przymocowane za pomocą skórzanych pasków.

Bardziej skomplikowany był system sznurków. Kiedy jednak Peter zorientował się, że dłonie muszą nadawać wyraz krzyżakowi, który porusza się niczym wałka, był już w stanie rozgryźć zasadę działania pozostałych części.

Vola miała rację: po tym jak złożył Sindbada, sprawniej nim poruszał. „Twoje mięśnie dla ich mięśni”, powiedziała i zgodnie z tymi słowami Peter był w stanie przełożyć sugerowane przez nią ruchy za pośrednictwem własnego ciała na ruchy Sindbada.

Ta zasada jednak nie działała w wypadku Roka. Peter wyginał ramiona, opuszczał ręce, lecz ptak wykonywał jedynie kilka wygibasów, po czym upadał, jakby go postrzelono. Połyskujące oczy Roka spoglądały z wyrzutem.

– Przepraszam, ptaku. Ale nie wiem, co masz robić. Próbujesz pożreć tego gościa? Ochraniasz swoje jajko?

Nagle zapragnął poznać historię Roka, chciał zrobić wszystko jak należy. Znalazł przegródkę, w której Vola trzymała książkę o Sindbadzie. Gdy ją wyjmował, usłyszał cichy zgrzyt. Z tyłu było coś jeszcze.

Wyciągnął to. Kwadratowa puszka wyblakłej żółtej barwy, z łuszczącym się napisem „CIASTECZKA SŁONECZNE”. Położył ją sobie na dłoni i pomyślał o podniszczonej puszcze po ciastkach znalezionej u dziadka – tej z żołnierzami pilnującymi zadziwiającej fotografii.

Zdjął wieczko. W środku zobaczył plik kart zapisanych pismem, które już rozpoznawał. Od razu wiedział, że trzyma w ręku osobiste prawdy Voli, te, które przechowywała w ukryciu. Zamknął puszkę, nie chcąc naruszać prywatności kobiety. Było już jednak za późno – przeczytał kartę z wierzchu.

„Byłabym dobrą nauczycielką”.

Nie było w tym nic strasznego, nie wydawało się nawet bardzo osobiste. Mimo wszystko żałował, że to zobaczył. Wepchnął puszkę z powrotem do przegródki, a za nią wsunął książkę, akurat w chwili gdy do szopy weszła Vola.

Wskazał na marionetki.

– Już załapałem. Zagrajmy to.

Vola jednak podeszła do blatu i naoliwiła ośkę.

– Jeszcze nie. Najpierw potrzebna nam scena. Coś zmaistruję w wolnej chwili.

– Scena? Nic pani nie mówiła o scenie!

– Marionetki to nie zabawki, którymi można tak sobie wymachiwać nad kilkoma balami siana. – Uniosła dłoń, żeby powstrzymać jego protesty. – Słuchaj, chłopcze, obejrzę opowieść tego żołnierza w taki sposób, w jaki powinno się to oglądać. Będiesz musiał uszanować, ile to dla mnie znaczy, nawet jeśli tego nie rozumiesz. Chociaż, prawdę mówiąc, powinienes to rozumieć. To, że nosisz tę bransoletkę... to to samo. Opowiadasz historię swojej mamy, robisz to dla niej.

– Ale to zajmie tyle czasu...

– Przecież nie ma pośpiechu... i tak będziesz tu jeszcze co najmniej tydzień. – Pokuśtykała z powrotem do blatu, usiadła i zaczęła wybierać narzędzia. Temat został zamknięty.

Peter rozłożył się na balach siana. Jeszcze tydzień, a zwariuje.

To słowo go zastanowiło. Nie myślał już o Voli jak o wariatce. Podparł się na łokciach i przyglądał się jej, gdy czyściła narzędzia. Widział, z jaką starannością podnosiła i pucowała każde z nich, jak po skończeniu odkładała wszystko na swoje miejsce. W jej ruchach był spokój i celowość, które bardzo mu się podobały. Przewidywalność.

Do szopy wgramolił się François. Ziewnął, wspiął się na krokwie nad blatem i zaczął się myć przed drzemką. Peter nagle sobie uświadomił, że on tak samo jak ten szop przywykł już do Voli na tyle, że czuł się w jej towarzystwie pewnie i bezpiecznie.

Przekrzywił głowę, żeby zobaczyć, co ona robi. Trzonek. Przyniosła złamaną motykę i robiła nowe stylisko. Prosta rzecz, a jednak wydała mu się prawie magiczna. Tak jak jego kule. Zanim mu je podarowała, był zupełnie bezradny. Vola połączyła dwa kije i teraz mógł szybko i sprawnie przemierzać kilometry nierównego terenu. Magia.

Przyciągnął kule do siebie, wsunął je pod pachy i natychmiast doznał znajomego uczucia zadowolenia, które dawały mu te solidne podpory. Podszedł do blatu.

– Chcę coś wystrugać. Pokaże mi pani?

Vola oparła się plecami o blat i przyglądała się mu uważnie. Po dłuższej chwili skinęła głową.

– Właściwie nie ma sensu, żeby twój mózg gnuśniał bezczynnie. Wiesz w ogóle cokolwiek o pracy z drewnem?

– Trzeba strugać zawsze od siebie, tyle wiem.

– To już coś na początek. Ale nie o to mi chodziło. – Wybrała świeży klocek z pojemnika na drewno i położyła go na środku blatu. – Kto tu jest panem?

– Słucham?

– Kto tu jest panem: ja czy drewno?

Peter zrozumiał, że poddawany jest próbie. Patrzył na drewno spokojnie, czekając. Po chwili spojrział na lśniące czystością narzędzia, które zdawały się drgać, jakby wrywały się do działania.

– Pani. Pani tu rządzi.

Vola skinęła głową. Wybrała dłuto o kształcie łyżki i młotek, potem obrzuciła drewniany klocek takim samym spojrzeniem, jakim otaksowała Petera kilka minut wcześniej – jakby próbowała odczytać jakąś tajemną wiadomość ukrytą pod powierzchnią. Wbiła dłuto w świeże drewno. Trzasnęło i na blat opadł skręcony wiór.

– A teraz? – zwróciła się do Petera. – Kto teraz rządzi?

Jej twarz nic mu nie mówiła. Ale drewno – jego brakujący fragment domagający się odpowiedzi – przemawiało wyraźnie.

– Drewno rządzi – powiedział z przekonaniem.

– Racja – przyznała Vola. – Od tego momentu rządzi drewno. Stolarz jest sługą drewna. Wszyscy rzemieślnicy są sługami rzemiosła. Kiedy zdecydujesz, co chcesz zrobić, twój projekt zaczyna tobą rządzić. Wiesz już, co chcesz zrobić?

Odpowiedź nadeszła natychmiast.

– Jak rzeźbi się lisa?

Ledwie wypowiedział te słowa, Peter wyobraził sobie odpowiedź, którą według niego miał otrzymać – o tym, że sam powinien do tego dojść. Vola jednak go zaskoczyła.

– Kiedyś zapytano Michała Anioła, w jaki sposób tworzył jedną ze swoich rzeźb. On odpowiedział: „Zobaczyłem anioła w marmurze i rzeźbiłem tak długo, póki go nie wyzwoliłem”. To stwierdzenie może być pomocne. Oczywiście jeśli chcesz odnaleźć lisa w drewnie, musisz najpierw znaleźć drewno.

Skinęła na Petera, żeby poszedł za nią do pojemnika.

– Różne gatunki drewna, różne cechy. Drewno lipowe jest łatwe do strugania, można oddać drobne detale i jest lekkie. Używam go na głowy marionetek. Z kolei sosna...

– Jesion nadaje się na kije bejsbolowe – odpowiedział Peter. – Jest twardy.

Vola przez chwilę przekładała klocek sosnowy z jednej ręki do drugiej.

– Skoro o tym mowa... Naprawdę nie masz kija? Kochasz bejsbol, a nie masz własnego kija?

– Gram w polu.

– I co z tego? Czekasz, aż ktoś uderzy piłkę, i po nią biegniesz. To reagowanie na cudze działanie. Nie masz ochoty sam też uderzyć?

– To nie tak. Kiedy już mam piłkę, to ja kontroluję sytuację. Ja nie reaguję, ja dokonuję wyboru. I wybijam piłkę. Drużyna ma kije. Nie zna pani bejsbola.

– Może nie znam – ze wzruszeniem ramion wrzuciła drewno z powrotem do pojemnika – ale zaczynam poznawać ciebie. I myślę, że potrzebujesz kija.

Peter obrócił się w stronę pojemnika. Kiedy przesuwiał dłonią po kawałkach drewna, ujrzał obraz niebieskiego szkła rozsyanego po białych różach. Ten obraz zniknął, kiedy Peter stał na swojej pozycji, skoncentrowany na ruchach miotacza, podczas gdy drużyna czekała.

Gdyby odzyskał własny kij, to za każdym razem, biorąc go do ręki, widziałby to roztrzaskane szkło na białych różach. A to by go wykończyło.

Wybrał kawałek drewna o miodowej barwie, mniej więcej takiej wielkości, jakiej był Pax, kiedy Peter go znalazł.

– A to? – zapytał z niepokojem. – Jest pofałdowane jak futro.

Vola spojrzała, jakby się zorientowała, że nie powinna drążyć tematu kija.

– Orzech – powiedziała w końcu. – Piękne słoje. Dość miękkie. Obejrzyj je sobie dokładniej. Jutro będziemy rzeźbić.



Tej nocy, kiedy wyczerpany miał już wejść do hamaka, Peter popatrzył na drewno, które wcześniej ustawił na parapecie. Cały dzień niewiele myślał o Paxie. Poczuł wyrzuty sumienia. Zaczynał się stawać chłopcem bez lisa, a był to stan, którego nie znał, odkąd skończył siedem lat.

Dużo dłużej trwało – dokładnie rok i szesnaście dni, jak obliczył – nim minął cały dzień, w którym nie myślał o mamie. Tamtego dnia pojechał

z rodziną kolegi na wycieczkę. Rano wsiedli do kajaków, potem łowili ryby i pływali, rozbijali namioty i piekli kiełbaski. Dopiero gdy wsunął się do śpiwora pod gwiazdami, uderzyło go, jakim wielkim brakiem lojalności się wykazał. Tamtej nocy ze smutkiem uznał, że zasługuje na to, by nie mieć matki.

Wyjął z plecaka zdjęcie. Jej urodziny, latawiec. Jedno z przyjemnych wspomnień. Latawiec nie poleciał – Peter miał sześć lat i w zasadzie zrobiony przez niego latawiec był tylko rysunkiem smoka przylepionym do kilku patyków. Nawet w tym wieku zdawał sobie sprawę, że gdyby był z nimi tata, nieudany lot zepsułby im całe popołudnie. Ale nie było go, a mama tylko się roześmiała. Potem rozłożyli koc i urządzili sobie piknik: jedli cukierki orzechowe, popijali sokiem winogronowym i wymyślali dziwne historie o papierowym smoku, który był za mądry, żeby się wzbić w powietrze, skoro tak wiele przygód czekało go na ziemi.

Ustawił fotografię na parapecie obok drewnianego klocka. Zamknął oczy. Potrzebował wspomnień o Paxie.

Pax czekający przy drzwiczkach kojca, zawsze gdy Peter wracał do domu, bo lisek szybko nauczył się rozpoznawać zgrzyt hamulców szkolnego autobusu. Pax wsuwający mordkę do plecaka w poszukiwaniu ogryzków z jabłek. Wyzierający z kieszeni bluzy. Raz Peter przemycił go do szkoły – to było w pierwszej klasie – i nawet nie pomyślał o konsekwencjach dla szczeniaczka, chciał jedynie czuć jego obecność przy sobie. Podczas szkolenia przeciwpożarowego dźwięk syreny alarmowej spłoszył liska. Petera odesłano do domu i wezwano do szkoły tatę, ale prawdziwą karą był dla chłopca widok przerażonego zwierzątka, które trzęsło się i pissało ze strachu.

Jedno z najprzyjemniejszych wspomnień było pełne spokoju. Zima sprzed dwóch lat była tak mroźna, że Peter niechętnie odchodził od kominka, by odrabiać lekcje. Tata uległ namowom i pozwolił Paxowi wchodzić wcześniej do domu i wylegiwać się przy ogniu. Lisek drzemał wtedy, a jego mordka i przednie łapy tak się nagrzewały, że Peter co chwila ich dotykał. Dobrze pamiętał to uczucie, kiedy przesuwał palcami po futrze przyjaciela i miętosił je między łopatkami, czytając podręcznik do historii. Spokój.

Otworzył oczy i podniósł blok orzecha. W bladym świetle księżyca zobaczył w tym drewnie lisa.



Nastroszona ruszyła za Paxem, ale jego susy były dłuższe, co pozwoliło mu ją odsadzić. Biegł bez ustanku, nawet w nocy. Gdy po południu dotarł do rzeki w pobliżu młyna, nie czuł obecności lisicy już od wielu godzin. Cicho wsunął się w kępę zielonych trzciny poniżej miejsca, w którym spoczywało ciało Szarego. Opuścił głowę, by się napić. Zaspokoiwszy pragnienie, rozgarnął żdzbla.

Pole było puste. Pojazdy zniknęły, tak samo jak wszystkie ślady po ludziach, ale ich zapach był wciąż świeży, a nawet wyraźniejszy niż wcześniej. Byli gdzieś w pobliżu i odczuwali niepokój. Pax ruszył w górę rzeki i w dogodnym miejscu przeszedł na drugi brzeg, po czym pomknął zalesionym grzbietem, by obejrzeć obóz ludzi z góry.

Na zboczu za ruinami młyna ciągnęły się świeżo wykopane rowy. Jak lisy szukają schronienia w norach, tak żołnierze kryli się w okopach. Kilku wciąż kopało dziury w ziemi, inni uruchamiali sprzęt, a jeszcze inni rozmawiali pochyleni nad jakimiś rysunkami. Pojazdy także stały poza murami.

Pax wrócił po własnych śladach wzdłuż grzbietu, przez wodę i w dół rzeki. Znowu wślizgnął się między trzciny i tym razem kiedy spojrzał w dół, nie zobaczył już ludzi. W powietrzu unosiła się ciężka woń elektryczności.

Zerwał się wiatr, który przyniósł dym z zachodu. Pax czuł go po drodze dwukrotnie, ale teraz ten zapach był intensywniejszy, groźniejszy. Bliższy.

Lis z utęsknieniem pomyślał o nadejściu nocy, która oznaczała bezpieczeństwo.

Wskoczył do wody i chwilę płynął, wyciągając głowę, potem wygramolił się na brzeg i otrząpał.

Nisko przy ziemi skradał się do najbliższego osłoniętego miejsca – młodego dębu z licznymi odrostami u podstawy, o kilka susów dalej.

Stamtąd dostrzegł to, czego szukał: w połowie drogi do murów młyna, w miejscu gdzie pole robiło się płaskie, z ziemi wystawała fioletowa granitowa płyta. Po jej powierzchni przeciągnięta była wiązka drutów, które dalej niknęły w trawie.

Pax chyłkiem wysunął się z ukrycia. Jego łapy wyczuły zagrożenie: przy brzegu było zakopanych więcej pudełek, przez pole ciągnęło się więcej drutów. Skoczył między kable, muskając źdźbła trawy tak delikatnie, że ledwie się rozchyliły.

U podstawy płyty rozpląszczył się i skierował uszy w górę zbocza. Jednostajny szmer głosów i narzędzi mówił mu, że żołnierze wciąż są w okopach. Wiatr nadal wiał w jego stronę – zaalarmowałby go, gdyby się zbliżali.

Wyciągnął jeden drut i chwycił go zębami. Nim zdążył przegryźć osłonę, od tyłu z furią zaatakowały go ostre zęby. Zawadził o kamień i przewrócił się, popychany wiatrem. Podnosząc się, zobaczył, jak Nastroszona przeskakuje ponad nim, by dostać się na płytę.

Z tej wysokości miała nad nim przewagę.

Wrony mówią, że zarażeni wojną się zbliżają. Te wybuchy ziemi, te śmiertelne druty, zostaw to dla nich.

Pax był większy od niej, ale nie dorównywał jej determinacją. Za każdym razem gdy próbował odzyskać swoją pozycję przy kablu, ona odganiała go kłapnięciem szczęk. Okrążył płytę, wspinając się bliżej młyna, niżby chciał, tak że zaszedł ją z góry. Zanim jednak zdążył zaatakować, jego uwagę przyciągnęło poruszenie w dole rzeki.

Nastroszona zauważyła jego zaniepokojenie, ale nie odwróciła głowy.

Przybyli ludzie?

Wyczuł w tym pytaniu ekscytację.

Nie. Chyba inny lis.

Nastroszona nie dała się zdekoncentrować.

Żaden lis z naszej doliny nie opuściłby granic terytorium.

Pax uniósł się na tylnych łapach, by mieć lepszy widok. Znowu to zobaczył – wąski rudy klin z białym czubkiem, który unosił się i znikał,

unosił się i znikał, posuwając się wzdłuż brzegu rzeki tą ścieżką, którą on szedł wcześniej i którą widocznie przybyła za nim Nastroszona.

Kolejny czerwony błysk w trzcinach. Mały lis wskoczył do wody. Teraz Pax go rozpoznał.

Pisnął ostrzegawczo.

Wtedy Nastroszona spojrzała w tamtą stronę. Zobaczyła Chuderlaka walczącego z wodą w pobliżu dębu. Podskoczyła tak wysoko, że wydawała się dwukrotnie większa. Jednym susem oderwała się od płyty i już po chwili gnała w dół zbocza.

Nie, wracaj! Do domu! Wracaj!

Migotała pomiędzy trawami. Panika w jej głosie zdawała się tylko zachęcać Chuderlaka – znowu się uniósł, by naśladować jej pozycję, a potem radosnymi susami ruszył w jej stronę.

Pax rzucił się na drut, ale się spóźnił.

W chwili kiedy przegryzł osłonkę kabla, powietrze przeszył ciężki swąd błyskawicy. Jednym z tylnych zębów lisa wstrząsnął szok elektryczny. Poraził mu dolną wargę, oparzył gardło i z sykiem przemknął po grzbiecie.

Po chwili dolna część pola wystrzeliła w niebo. Paxa odrzuciło z płyty, a kiedy uderzył w twardy grunt, zaplątany w powyrywane zarośla, świat dookoła zamilkł. W tej ciszy czaszka mu się rozdzwoniła, a on, znieruchomiały z szoku, obserwował zasypujący go grad gorącego piachu i kamieni, gałęzi i chwastów, aż osnuł go welon drobnego żwiru.

Chwiejnie stanął na łapach i zassał przepalone powietrze w ściśnięte płuca. Dopiero wtedy zaczął oceniać sytuację. Podniósł się na tylnych łapach, by wywęszyć Chuderlaka i Nastroszoną. Ustawiał się we wszystkie strony, ale węch nic mu nie mówił, przytępiony popiołem i sadzą. Zaszczekał, lecz jedyną odpowiedzią było dzwonienie w uszach.

Otrząsnął się z okrywającej go warstwy roślinności i pyłów. Po zboczu zbiegali żołnierze, którzy przemierzywszy dymiące pole, kierowali się ku rzece. Pax pobiegł za nimi. Każdy ruch powodował ból w kościach.

W miejscu, w którym widział ich ostatnio, znowu zawołał Nastroszoną i Chuderlaka. Nie otrzymał odpowiedzi, ale usłyszał już własne szczekanie – najpierw bardzo słabe, jakby dobiegało do jego uszu z dużej odległości. Zaraz potem szum wiatru i trzask zaschniętych łądyg, między którymi się przedzierał, i chrapliwe krzyki zarażonych wojną, którzy wracali do

okopów. Z drzew zaś dobiegło go krakanie wron niezadowolonych z tych zniszczeń. Pax znowu słyszał.

Jeszcze przez godzinę przemierzał pole, szukając zaginionych lisów. Zapadł już zmrok, gdy wreszcie usłyszał słabe skomlenie Nastroszonej. Jej wezwanie sprowadziło go nad brzeg rzeki. Tam zobaczył powalony młody dąb, rozłupany i jeszcze dymiący, z poczerniałymi gałęziami zanurzonymi w wodzie.

Nastroszona utknęła między skłębionymi korzeniami. Jej głowa sterczała w górę, oczy spoglądały czujnie, choć pysk miała zalany krwią. Futro na jej pięknej kicie było zwęglone na czarną skorupę. Pax dotknął nosem jej pyska. Krew na jej policzkach nie należała do niej.

Lisica opuściła głowę. Pod nią leżało zwinięte w kłębek, nieruchome ciało Chuderlaka.

Pax przyłożył pysk do klatki piersiowej małego liska. Unosiła się i opadała nieregularnymi szarpnięciami. Duży lis odetchnął z ulgą.

Wtedy jednak Nastroszona się przesunęła i odsłoniła to, czego wcześniej nie było widać: tam gdzie powinna być tylna noga Chuderlaka – gdzie powinno się znajdować pokryte czarnym futrem udo z białą owłosioną łapą – tam była jedynie czerwona krwawa miazga na przesiąkniętych krwią liściach.



Peter przecierał trzonek dłuta naoliwioną, watą stalową, walcząc z pokusą rzucenia nim przez całą szopę. Ranek był całkiem udany. Chodził po polu i lasach, po błocie i żwirze, pod górę i w dół po kamieniach, przez mury i pod ogrodzeniami. Silny, niezmordowany i prawie tak szybki, jakby obydwoma butami dotykał ziemi. W południe powiedział Voli, że już czuje się gotów do odejścia, i istotnie był gotów. Ona jednak to zignorowała, jak zwykle. Kazała mu iść do szopy odpocząć i odebrała kule.

– Stopa w górę. Wyczyść narzędzia. Poczuj, jak leżą ci w dłoni.

Jego wzrok padł na prawie dokończoną rzeźbę stojącą na blacie przed nim. Lis był jeszcze chropowaty, niezdarny, ale wyglądał na żywego i chłopiec potraktował to jako znak, że odnajdzie Paxa całego i zdrowego. Chociaż bał się fałszywej nadziei, wyobraził sobie tę scenę. Zawołał Paxa w tym miejscu, w którym go zostawił, a lis wybiegnie spomiędzy drzew i rzuci się na niego z takim impetem, że z radości pewnie aż go przewróci. Potem razem wrócą do domu.

– Od razu wypoleruj ten trzonek.

Podskoczył.

– Nie słyszałem, jak pani weszła.

– Nie możesz się zamyślać, kiedy używasz narzędzi. – Vola usiadła na beczce obok niego i podniosła pilnik i natłuszczoną szmatkę.

– Myślałem o Paxie. – Odłożył lśniące dłuto i sięgnął po swoją rzeźbę. Podał ją Voli.

– Wygląda, jakby chciał mi zeskoczyć z ręki. Martwisz się o niego?

Peter skinął głową.

– Ale jednocześnie mam wrażenie, że nic mu nie jest. Lisy są bystre... bardzo sprytne. Musieliśmy zamykać na klucz drzwi do kuchni, bo Pax umiał sobie otworzyć każdą szafkę. Kiedyś przegryzł kabel wiatraka, który wstawiliśmy do mojego pokoju. Tata się wściekł. Ale potem, jak próbował to naprawić, odkrył, że w sieci elektrycznej było zwarcie. Ten wiatrak spowodowałby pożar. Myślę, że Pax coś wyczuł i chciał mnie ochronić. Czemu więc nie miałyby się nauczyć polować? Myśli pani, że ma szansę przeżyć?

– Myślę, że tak – przyznała Vola.

Peter odebrał od niej lisa i spojrzał mu w oczy.

– Jest jeszcze coś – powiedział. – Bo... chyba wiedziałbym, gdyby nie żył. – Opowiedział jej coś, czego wcześniej nikomu nie mówił. O jedności z Paxem, którą czasami odczuwał, o tym, że czasem nie wiedział, o co chodzi jego lisowi, ale *czuł* to samo. Wstrzymał oddech, słysząc, jak głupio to brzmi.

Zamiast go wyśmiać, Vola powiedziała mu, że ma szczęście.

– Poznałeś na własnej skórze, że „dwie rzeczy są w istocie jedną rzeczą”.

– Taki napis jest na tablicy z pani karteczkami. Nie wiedziałem, co to znaczy.

– To koncepcja buddyjska zwana niedwójnią, niedualnością. Chodzi o to, że rzeczy, które wydają się odrębne, tak naprawdę są ze sobą połączone. Nic nie istnieje w oderwaniu. – Vola znowu wzięła do ręki lisa. – To nie jest tylko kawałek drewna. To są też chmury, z których spadł deszcz na drzewo, i ptaki, które miały w nim gniazdo, i wiewiórki, które żywiły się jego orzechami. To także jedzenie, które dawali mi moi dziadkowie, dzięki czemu miałam siły, żeby ściąć to drzewo, oraz stal w siekierze, której użyłam. A to, jak dobrze znasz swojego lisa, pozwoliło ci go wczoraj wystrugać. W tej rzeźbie jest też historia, którą opowiesz swoim dzieciom, kiedy przekażesz im tę figurkę. Wszystkie te rzeczy są odrębne, a jednocześnie są jedną rzeczą, nierozłączne. Rozumiesz?

– Dwie rzeczy są w istocie jedną rzeczą. Nierozłączne. Czyli... kilka dni temu byłem pewien, że Pax coś zjadł. Czuję to. Wczoraj zobaczyłem księżyc i wiedziałem, że Pax w tej samej chwili też na niego patrzy. Myśli pani, że jeśli czuję, że Pax żyje, to on naprawdę żyje?

– Tak.

Jej słowa obudziły w chłopcu nadzieję. Vola nie mówiła nic, czego nie uważała za prawdę. „Tutaj mówimy prawdę, taka jest zasada”, powtarzała mu ze sto razy.

Nagle uświadomił sobie, jakie to cenne mieć kogoś, czyjej szczerości można być pewnym. Ile razy w życiu tylko tego chciał? Na ile pytań potrzebował szczerzej odpowiedzi, a zamiast tego otrzymywał od ojca jedynie ponure milczenie?

W przypiływie nagłej odwagi zadał jedno z nich, dręczące go od dawna.

– Jak pani myśli... myśli pani, że jeśli w kimś jest coś dzikiego, to da się tę dzią część oswoić? Jeśli to jest w jego naturze? Odziedziczone?

Vola przyglądała mu się uważnie. Peter wiedział, że według niej to pytanie dotyczyło Paxa, i nie wyprowadzał jej z błędu. Chwycił znowu za dłuto i opuścił wzrok, zaciskając do białości palce na trzonku. W napięciu oczekiwał odpowiedzi.

– Zawsze taki byłeś? Prosiłeś innych o rozwiązywanie twoich problemów? To tak nie działa.

Peter wypuścił powietrze. Zaraz po zadaniu tego pytania zrozumiał, że nie chce usłyszeć odpowiedzi. Może nigdy nie będzie gotów jej usłyszeć.

Vola klepnęła się po kieszeni kombinezonu i zmarszczyła brwi.

– Omal nie zapomniałam. – Wyciągnęła muffinkę zawiniętą w serwetkę i podała ją Peterowi. Zjadł takie cztery na śniadanie, ale ona zawsze uważała, że powinien przegryźć coś jeszcze.

Odwinął babeczkę. Była trochę zgnieciona, ale podobnie jak w pozostałych orzeszek pekanowy znajdował się idealnie pośrodku polewy z brązowego cukru. Vola upiekła je późnym wieczorem i śpiewała przy tym coś w języku, którego Peter nie rozpoznawał. Coś wesołego.

– Dlaczego ciągle mieszka pani tu sama?

– Już ci mówiłam.

– Ale czy trzeba aż dwudziestu lat, żeby się dowiedzieć, kim się jest? To znaczy... jakie to może być trudne?

– Bardzo trudne. Zwyczajną prawdę bywa najtrudniej dostrzec, kiedy dotyczy ciebie samego. Jeżeli nie chcesz poznać prawdy, zrobisz wszystko, żeby ją ukryć.

Peter odłożył muffinkę. Vola wyraźnie wymigiwała się od odpowiedzi.

– Ale pani chce poznać prawdę. Zna pani siebie. Dlaczego więc nie zamieszka pani gdzieś, gdzie są ludzie? Proszę powiedzieć szczerze. Taka

tu panuje zasada, nie tak?

Dłuższą chwilę spoglądała przez okno szopy. Przygarbiła się, a kiedy zwróciła się w jego stronę, wyglądała na zmęczoną.

– Niech będzie, Peterze bez Kija. Może właśnie dlatego, że *znam* siebie. Może wiem, że nie pasuję do ludzi. Może jestem granatem.

– Jak to granatem?

– A jak nazwałbyś kogoś, kto potrafi się zmienić z dziewczyny jedzącej brzoskwinie i oglądającej świetliki w kobietę, która zabija człowieka? Co? Tamta dziewczyna wolałaby odciąć sobie rękę, niż skrzywdzić jednego z tych świetlików, ale kilka lat później zabiła kogoś, kogo w ogóle nie знаła. Ja nazwałabym taką osobę bronią. Jestem nieprzewidywalną, śmiertcionośną bronią. Lepiej, żebym pozostała tu, w ukryciu, gdzie już nikogo więcej nie skrzywdzę, nawet przypadkiem. – Uniosła dłoń i rozczapierzyła palce przed jego oczami. – *Bum!* – Jednak tym razem ten gest wyglądał smutno, a nie złowieszczo.

– Mnie pani nie krzywdzi – odparł Peter.

– Skąd wiesz, że tego nie zrobię?

– Bo wiem. – Uderzył się w pierś. – Tu, w głębi duszy.

Vola pacnęła dłońmi w blat i odepchnęła się.

– Ułóż narzędzia z powrotem tak, jak były – mruknęła przez ramię, wychodząc.

Peter obserwował przez okno, jak szła ścieżką. Wyglądała, jakby poruszała się inaczej niż wcześniej. Jakby ta sosnowa noga stała się jeszcze cięższa.

Powkładał wyczyszczone narzędzia do odpowiednich otworów stojaka i zwinął brezent. Wyczuwał znajome napięcie rodzące się u podstawy czaszki. Tkwił tutaj już ponad tydzień. Już dawno by odszedł, gdyby nie trzeci warunek. Obiecał i był to winien Voli, ale gdy spytał ją przy śniadaniu o budowanie sceny, ona tylko wzruszyła ramionami.

– Ja się tym zajmę.

Nagle przyszło mu do głowy rozwiązanie, tak śmiesznie proste, że roześmiał się na głos.

Bez kul znowu poruszał się niezdarnie i powoli, ale udało mu się doskakać na zewnątrz, w miejsce gdzie Vola trzymała stertę gałęzi. Wygrzebał dwanaście długich, prostych konarów, każdy grubości jego ręki.

Wrzucał je po kolei do szopy, potem sam wszedł do środka i przesunął je dalej. Poobcinał im gałęzie i zabrał się do pracy.

Dwie godziny później scena była gotowa. Nie powalała wyglądem – rogi nierówno docięte i powiązane szpagatem, niedopasowane płyty tworzące ściany i podłogę przybite do ram – ale kiedy naciągnął na nią brezent, uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Łatwizna – powiedział do François, który podszedł bliżej i zatrzymał się, by obwąchać ramy z wyraźnym podziwem. – Bułka z masłem.



– Zrobiłem scenę. Jest w szopie.

Vola podniosła wzrok znad kurczaka, którego właśnie oskubywała. Spojrzała na gałąź, na której Peter się opierał, i ruchem głowy wskazała mu kule oparte o kuchenny kontuar.

Peter sięgnął po nie, wsunął je pod pachy i od razu poczuł się pewniej.

– Mogę już teraz urządzić to przedstawienie. Chodźmy do szopy.

– Teraz jestem zajęta. Ale dobrze. Dzisiaj wieczorem.

– A potem odejdę. Jestem już gotowy.

Vola położyła kurczaka na stole i westchnęła.

– Nie jesteś gotowy. Śpisz w domu, gdzie jest ciepło i sucho. Masz czystą wodę i ktoś przygotowuje ci posiłki. Ale dobrze, jutro cię przetestuję. Piętnaście kilometrów. Przejdiesz połowę, pokażesz, że dasz radę rozbić obóz, i wrócisz. Wtedy pogadamy.

Przyglądał się, jak zbiera pióra i wpycha je do worka. Nagle coś do niego dotarło: jego odejście nic nie zmieni. Vola będzie nadal zbierać pióra, będzie robić kukielki, żyjąc samotnie w lesie, będzie ich miała coraz więcej i będzie opowiadać historię zabitego żołnierza przed pustą widownią.



Pax czuwał przy Chuderlaku całą noc i część następnego dnia. Siedział w krzaku nieopodal i wychodził jedynie po to, żeby schłodzić poparzoną wargę w zimnym mule rzeczonym i posilić się małymi rybami, które leżały na brzegu. Odzyskał węch i kiedy tylko budził się z niespokojnej drzemki, natychmiast szukał zapachu Nastroszonej i Chuderlaka, żeby się upewnić, że jeszcze żyją.

Nastroszona przyciągnęła pod zwalone drzewo zielone gałązki, którymi osłoniła brata, i położyła się przy nim, żeby go ogrzewać. Zostawiła go tylko kilka razy na krótkie chwile, a wtedy Pax po cichu zajmował jej miejsce obok nieruchomego liska. W takiej właśnie chwili Chuderlak obudził się z jękiem.

Pax trącił liska nosem. Chuderlak uniósł głowę. Z jego oczu wyzierały ból i strach. Pisnął jeszcze raz i na ten dźwięk Nastroszona, która polowała w pobliżu, natychmiast przybiegła.

Pax ustąpił jej miejsca, lecz lisica niepewnie ułożyła się z drugiej strony brata i przyłożyła policzek do jego policzka. Pax pochylił się nad raną Chuderlaka i ostrożnie zaczął ją wylizywać, obawiając się reakcji Nastroszonej. Ona obserwowała go uważnie, lecz nie sprzeciwiała się.

Pax przystąpił więc do dokładnego czyszczenia rany. Chuderlak przyglądał mu się z zaufaniem i nie wzdragał się. Kiedy Pax skończył, wyczyścił jeszcze Chuderlakowi mordkę i uszy. Nastroszona nie protestowała.

Gdy Chuderlak znowu zasnął, Pax już pozostał przy rodzeństwie. Wspólnie z Nastroszoną obserwowali życie w obozie ludzi.

Chociaż ludzie nie wrócili na zniszczoną część pola, dobiegające stamtąd zapachy zwiastowały niebezpieczeństwo. Gdy wiatr wiał z zachodu i przynosił woń spalonej ziemi, mężczyźni wyglądali na niespokojnych. Przybywało ich coraz więcej i przywozili coraz więcej maszyn. Słyszając warkot silnika, Nastroszona podskoczyła. Położyła głowę na głowie brata.

Będę musiała wkrótce go przenieść.

Ludzie mają słaby węch. Póki nas nie widzą, jesteśmy bezpieczni.

Nastroszona przeniosła wzrok z niego na mężczyzn.

Nie jesteśmy bezpieczni, póki w pobliżu jest choćby jeden człowiek.

Wydawała się mniej cięta na Paxa, jakby opuściła ją jakaś istotna część jej samej. Wiedział, że to coś odebrali jej ludzie.

Mój chłopiec nie wyrządza krzywd. Nie jest taki jak oni. Nie jest zarażony wojną.

Zarażeni wojną są dorośli. On jest jeszcze młody.

Nie. To co innego. – Pax był tego pewien, ale jednocześnie nie bardzo to rozumiał. W ostatnim roku Peter zrobił się wyższy i silniejszy, jego głos stał się głębszy. Ale przede wszystkim zmienił się jego zapach; nie był to już zapach dziecka. – On nie jest młody. Ale i tak nie jest zarażony wojną. Ostatnio kiedy go widziałem, martwił się o mnie, chociaż sam cierpiał. Z jego oczu lała się woda.

Miał ranne oczy?

Pax zastanawiał się przez chwilę nad tajemnicą płaczu.

Nie. Kiedy jest ranny w inne miejsca, wtedy z jego oczu leje się woda. Cieknie po twarzy. Myślę, że ta woda zmniejsza ból. Ale jego oddech... łapie wtedy powietrze, jakby ta woda bólu chciała go utopić.

Lisica nachyliła się i zlizwała krew z łapy śpiącego brata. Potem podniosła wzrok na Paxa, a on zobaczył w tym spojrzeniu wszystkie te straszne rzeczy, które jej rodzina wycierpiała od ludzi.

Wtedy coś zrozumiał. Ostatniego dnia Peter rzucił zabawkę do lasu. Z jego oczu lała się woda bólu, a mimo to rzucił tę zabawkę. I nie pobiegł za nią.

Mój chłopiec nie jest zarażony wojną. Ale się zmienił. Teraz postępuje fałszywie.



Peter zapalił cztery duże lampy zwisające z krokwi w szopie. Narzędzia, kamień ostrzałki, ściana pełna kukiełek wszystko skąpane w snopach ciepłego, bursztynowego światła. Nawet siano lśniło pogodnie jak złoto w garncu skrzatów. Szopa wyglądała na odrodzoną, lecz znajomą. Teraz znał ją już jak własny dom.

Dom. Kiedy tylko zakończy przedstawienie kukielkowe dla Voli, już za godzinę, nareszcie będzie mógł wyruszyć.

Zapalił dwie małe lampki w pobliżu sceny i zdjął ze ściany Sindbada. Przedstawienie czas zacząć. Czarne oczy marionetki spojrzały na niego pustym wzrokiem. Peter sprawdził wszystkie stawy, wciąż zdumiony tym, że Vola rozłożyła lalkę na części, żeby mógł poznać jej sekrety. Nagle przypomniał sobie kartę filozoficzną Voli: „Byłabym dobrą nauczycielką”.

Miała rację. Pomyślał o tym, z jaką łatwością proponowała mu ćwiczenia, nie robiąc z tego wielkiego halo. Jak rzeźbiła na jego oczach, żeby się przyglądał i sam dochodził do własnych wniosków. Jak wypytywała go o wszystko i nie narzucała mu odpowiedzi.

Myliła się jednak co do tego, że jest zbyt niebezpieczna, by żyć wśród ludzi. Każdy, kto ją znał, powiedziałby jej to samo.

Problem w tym, że nikt jej nie znał.

Chyba tylko oprócz niego.

Odwiesił marionetkę z powrotem na ścianę.

– Wiesz co, Sindbadzie, chyba dam ci wolny wieczór. Wyszedł na zewnątrz i wyciągnął ze stosu gałęzi konar o grubości nadgarstka. Wrócił do środka, odpiłował końce i przybił podstawę. Na szczycie przymocował

cynową miskę pełniącą funkcję gniazda Roka, a potem umieścił to na scenie. Następnie zdjął lalkę czarodziejki i odkręcił jej jedną nogę.



– Gotów?! – krzyknęła Vola.

Peter wspiął się na bale siana, które umieścił za sceną, i chwycił krzyżak czarodziejki, zdziwiony, że ręce mu się nie trzęsą. Nagle bowiem wszystko, czego był taki pewien jeszcze godzinę temu, wydało mu się okropnym pomysłem.

Vola weszła do szopy ubrana w długą fioletową spódnicę, a nie kombinezon roboczy. Uczesała też włosy w sposób, jakiego Peter wcześniej u niej nie widział. Zaniemówiła na widok przygotowanej sceny i nie było to udawane.

– Masz zadatki na stolarza – powiedziała. – Gdybym szukała czeladnika, zatrudniłabym cię bez wahania.

Co o nim pomyśli za kilka minut? Było już za późno na zmianę zdania.

– Gotów – skłamał.

Vola zmniejszyła światło czterech lampek nad głową. Potem Peter usłyszał, jak przesuwa stół na środek szopy.

– To jest opowieść o dziewczynie – powiedział. Słyszał, jak Vola głośno wciąga powietrze. Potem nie słyszał już nic.

Ani kiedy rozsunął kurtynę i wyciągnął czarodziejkę, ani kiedy spadły z niej ziarna kukurydzy, które położył na jej brzuchu jako brzoskwinie. Ani kiedy owinał ją w podkoszulek ze wzorem wojskowego kamuflażu, wsadził jej na głowę hełm z glinianej miski i wetknął jej do ręki patyk jako karabin. Ani kiedy pokazał, jak strzela z karabinu, ani gdy odkręcił jej nogę, ani gdy kazał jej wspiąć się do gniazda.

Peter spodziewał się protestów, kiedy podpalał gniazdo, ale Vola nie wydała żadnego dźwięku. I tak jak to przećwiczył, ogień był tylko chwilowym błyskiem, w którym spłonęła garść wiórów włożonych do miski. Ta chwila wystarczyła, żeby zdjąć z marionetki wojskowy mundur.

Wyciągnął ją z gniazda i uniósł w górę, a potem opuścił na scenę, gdzie umieścił lalkę przedstawiającą dziecko obok wyrzeźbionego lisa. Pochylił czarodziejkę nad dzieckiem i obrócił tak, by pogłaskała lisa. Wreszcie zaciągnął kurtynę.

Odwiesił krzyżak. Czekał, ale słyszał jedynie ciszę. Wyjrzał zza sceny.

Vola wpatrywała się przed siebie, w jakiś punkt poza nim, jej twarz sprawiała wrażenie wyrzeźbionej w drewnie. Po jej policzkach spływały łzy, lśniące w chybliwym świetle lampek. To tylko nadawało jej bardziej dostojny wygląd.

– Przepraszam. Chciałem tylko... Nie jest pani granatem. Jest pani dobra. Przyjęła mnie pani, uczy mnie pani, żebym mógł znaleźć Paxa...

– Daj mi spokój. – Jej głos był niski i napięty.

– Zaraz. Myślę, że to głupie marnować życie w tej głuszy, żeby się za coś ukarać. To znaczy, może temu gościowi w ogóle nie zależało na tej książce. Może poprzedniego dnia wygrał ją w pokera. Może ważne dla niego było... nie wiem... – zebrał się na odwagę – żeby zostać nauczycielem albo coś. – Po słowie „nauczyciel” Vola uniosła podbródek i spojrzała mu w oczy, ale on nie odwrócił wzroku. – Tak, może chciał zostać nauczycielem. Może więc powinna pani dla niego zostać nauczycielką. Ale nigdy się nie dowiemy, dlatego myślę, że powinna pani stąd wyjść i żyć *własnym* życiem. Chodzi mi tylko o to, że cokolwiek złego się stało, zawsze można się odrodzić jak feniks i...

– Wiem, o co ci chodzi. Nie mylisz się, ale teraz wyjdź. Zostaw mnie samą.

Peter próbował się spierać, ale mówił coraz mniej pewnie, widząc, jak Vola siedzi nieruchomo, z uniesioną głową, a łzy płyną jej po szyi. Owinął krzyżak czarodziejki, zsunął się z bali siana i sięgnął po kule. Cisza panująca w szopie wydawała mu się nie do zniesienia.

– Dobrze już, dobrze – powiedział, żeby przełamać tę ciszę.

Droga do chaty w ciemnościach trwała całe wieki. Wewnątrz na blacie leżał zakryty talerz. Peter oparł się o futrynę, ogarnięty straszliwym poczuciem winy. Vola przygotowała to dla niego z resztek obiadu.

– Zjesz to później, wieczorem, dobrze?

Znowu poczucie winy. Zabiła kurczaka – czego nie robiła zbyt często – bo chciała dostarczyć mu więcej białka.

Odsunął się od futryny i sięgnął po zapalaki leżące przy kuchence. Nie miał pojęcia, jak długo ona tam zostanie, ale wiedział, że kiedy wróci, w chacie będzie zimno i ciemno. Zapalił wszystkie lampki, a potem rozniecił ogień, tak jak ona robiła to co wieczór. Tyle mógł dla niej uczynić.

Wpatrując się w coraz większe płomienie, odtwarzał w myślach każde wypowiedziane słowo. To wszystko było prawdą. No, może to, że żołnierz chciał zostać nauczycielem, było przegięciem, ale kto wie, może naprawdę o tym marzył. Nie, nie było w tym nic, czego nie chciałby powiedzieć. Nic, czego by żałował.

Podmuch z komina zagroził zgaszeniem ognia. Peter sięgnął po kolejną część gazety. Kiedy ją miał, zauważył jeden z nagłówków. „WOJSKO GOTOWE DO DZIAŁANIA. TERENCE DO EWAKUACJI”.

Rozprostował gazetę i zaczął czytać. Przyglądał się mapie z niedowierzaniem.

Zaraz potem chwycił kule i wyszedł na taras tak szybko, że aż François uciekł w ciemność. Wcisnął do plecaka swoje ubrania i rozejrzał się. Bransoletka z feniksem, zdjęcie mamy i rękawica z piłką były jedynymi jego rzeczami w całej izbie. Położył bransoletkę na hamaku, żeby Vola ją znalazła, pozostałe przedmioty wrzucił do plecaka i przeszedł do kuchni.

Vola właśnie wchodziła. Powiesiła kapelusz na kołku i spojrzała na ogień, a potem na Petera. Na jego plecak.

Podał jej gazetę.

Obrzuciła stronę wzrokiem i podniosła głowę, szukając wyjaśnienia.

Peter pokazał jej mapę.

– Ten obszar, który zamykają... – wykrztusił. – To niecałe dziesięć kilometrów od miejsca, w którym zostawiłem Paxa!

– Jesteś pewien? To duży teren...

– Jestem pewien! Widzi pani ten pusty obszar? To porzucony młyn. Ma wysokie mury, znajduje się nad rzeką, w pobliżu jedynego miejsca, gdzie można przekroczyć rzekę... bo wszędzie dookoła jest wąwóz. Właśnie tam będą walczyć o wodę. Bawiliśmy się tam z kolegami w wojnę. Mówiliśmy, że to idealne miejsce na zasadzkę. Bawiliśmy się w wojnę! Zostawiłem Paxa na drodze prowadzącej do tego młyna, bo myślałem, że tam będzie... – Słowo „bezpieczny” ugrzęzło mu w krtani. Poderwał się i ruszył ku kołkom przy drzwiach, żeby zabrać swoją bluzę.

– Przestań. Tam się szykują, do walki. Nie bądź nierozsądny.

– To nie jest nierozsądne. To jest słuszne. Teraz to wiem. Pamięta pani ser? Zapytała mnie pani, jaki ser lubię, a ja nie wiedziałem. Mój tata lubi cheddar i dlatego go jemy. Może kiedyś lubiłem coś innego. To jest właśnie to, o czym pani mówiła... miałem ten zespół zapomnienia, kim jestem. Nie

pamiętałem, co jest słuszne i co jest niesłuszne, kiedy zostawiałem Paxa. Ale teraz już to wiem. Teraz wiem, że muszę tam iść. *Wiem to.*

– W porządku. Może tak jest. Ale wciąż masz tylko jedną zdrową nogę. To nie jest możliwe. Popatrz, jak to daleko. – Vola usiadła i wpatrywała się w mapę.

– Nie! Straciłem dość czasu. Nie będę już nikogo słuchać.

– Poczekaj. – Vola podniosła gazetę. – Podejdź no tu. Coś ci pokażę.

Peter zmarszczył czoło, ale zawrócił.

– Pamiętasz Roberta Johnsona? Kierowcę autobusu, o którym ci mówiłam, tego, który wysyła twoje listy? Widzisz to miejsce tutaj? – Stuknęła palcem w lewy górny róg mapy. – To miasto to ostatni przystanek na jego trasie. Przejeżdża tędy dziesięć po jedenastej we wtorki i w soboty, a dojeżdża tam nad ranem. Co ty na to, żebym wsadziła cię jutro do tego autobusu? Zdaje się, że zaoszczędziłbyś co najmniej czterysta kilometrów i zostanie ci jakieś pięćdziesiąt do przejścia. Słuchasz?

Peter puścił kule i opadł na krzesło. Nogi się pod nim ugięły ze szczęścia.

– Zrobiłaby to pani dla mnie? Tylko pięćdziesiąt kilometrów... to prawie nic!

– Nie. Pięćdziesiąt kilometrów przez las i góry o kulach to nie jest nic. Co najmniej trzy dni i uwierz mi, że to cię może wykończyć. Ale myślę, że dasz radę. A więc teraz zostaniesz na noc? Umowa stoi?

Peter podał jej dłoń i spojrzał w oczy.

– Stoi. – Patrząc na Volę, na jej twarz wciąż noszącą ślady zaschniętych łez, zrozumiał, że nie może pozostawić tego tak, jak jest. A nie miał już czasu, żeby to naprawić. – Umowa stoi – powtórzył. – Ale mam trzy warunki.



Księżyc przeświecał przez listowie, tak okrągły i kremowy jak jajka, które Pax jadł tydzień wcześniej. Ze ściśniętym żołądkiem lis chodził wzdłuż brzegu rzeki.

Tylko trzy razy w ciągu półtora tygodnia, odkąd jego ludzie go zostawili, zjadł posiłek na tyle duży, by napęścić żołądek. Ostatni z nich – sterta ryb gnijących na brzegu – zwymiotował kilka minut po zjedzeniu. Wygrzebał zakopaną szynkę i patrzył z dumą, jak Nastroszona i Chuderlak się pożywiali, ale sam nie tknął ani kęsa. Znowu nie radził sobie z polowaniem. Cały jego zapas tłuszczu już zniknął. Jego futro zwisało luźno, organizm spalał mięśnie.

Skierował nos w stronę obozu ludzi. Zapachy jedzenia przyprawiły go o ból brzucha. W ciągu ostatnich dwóch dni przybyło więcej zarażonych wojną i setki z nich sunęły dalej na południe. Ziemia aż się trzęsała od ich złowieszczych kroków. Jednak głównym problemem Paxa był głód.

Spojrzał na Nastroszoną, która czuwała przy śpiącym Chuderlaku, i dał jej znak, że się oddali.

Mimo iż obóz znajdował się bezpośrednio nad nimi, Pax wybrał swoją starą trasę – w górę wąwozu i przez górski grzbiet – ponieważ strażnicy na murze byli zwrócenii twarzami do rzeki.

Przeszedł po kamieniach w wodzie, nie zostawiając za sobą śladów. Gdy już ominął zdewastowane pole, jego uszy zaczęły wyławiać odgłosy nocy. Teraz już je znał i czerpał z nich poczucie bezpieczeństwa. Delikatny pisk nietoperzy, tupot zabłąkanego skunksa, podziemne szuranie norników, odległe pohukiwanie sów – wszystkie te dźwięki mówiły mu, że nie poluje sam.

Pax natomiast nie hałasował – nauczył się bycia niesłyszalnym od Szarego i Nastroszonej. Niczym cień przemknął w poprzek grzbietu, w dół wzgórza i do namiotu z żywnością.

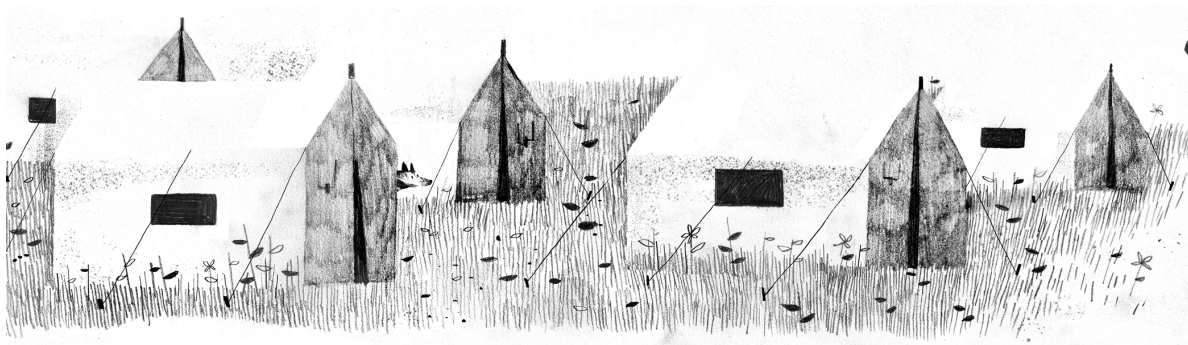
Tym razem nie było mięsa, jedynie stoły pełne warzyw i pieczywa. Zrzucił na ziemię krąg żółtego sera. Jego smak był ostry i dziwny, ale lis pochłaniał kolejne kęsy, póki nie napełnił żołądka. Kiedy już szedł ku wyjściu, niosąc kawałek sera dla Nastroszonej, zatrzymał się, czując znajomy zapach. Masło orzechowe.

Zapach dochodził z dużego metalowego kubła. Pax upuścił ser. Stanął na tylnych łapach, by obwąchać krawędź pojemnika. Tak jak kosz na śmieci w domu chłopca, ten kubeł obiecywał rozmaite resztki. Jednak wśród tej mieszaniny zapachów wyróżniał się jeden, który najbardziej kusił Paxa. Wąsy lisa zafalowały z radości. Odsunął wieko o kilka centymetrów.

Pusty słoik leżał na wierzchu. Ścianki były oblepione kremowym smakołykiem.

Pax wsunął pysk pod pokrywę i ostrożnie chwycił zębami krawędź słoika. Wiedział z doświadczenia, jak łapać słoik, żeby nie umazać sobie nosa. Odsunął się od kubła na śmieci.

Pokrywa spadła na ziemię i w ciszy nocy rozległ się głośny brzęk metalu uderzającego o kamienie.



Pax wskoczył pod stół i znieruchomiał; tętno mu przyspieszyło.

Kłapa wejścia do namiotu odchyliła się. Jakiś człowiek wszedł i włączył snop światła. Nawet masło orzechowe nie przesłoniło tego zapachu – Pax wyczuł ojca chłopca.

Lis uniósł łapę, gotów uciekać w każdym kierunku, byle szybciej. Mężczyzna przesunął światło po wnętrzu namiotu.

Kiedy oświetlił oczy Paxa, ten wzdrygnął się, lecz się nie poruszył. Jego źrenice dostosowały się do tego blasku i Pax zobaczył, jak mężczyzna kuca, by się mu przyjrzeć. Lis wciąż trwał nieruchomo, z uniesioną łapą, ze słoikiem w szczękach, wpatrując się w twarz człowieka, podczas gdy ten wpatrywał się w niego.

Mężczyzna chrząknął, pocierając podbródek, a zaraz potem głośno się roześmiał. Pax odrobinę opuścił łapę, wciąż wpatrzony w żołnierza, czekając na jego reakcję. Ojciec jego chłopca znowu się zaśmiał, a potem wstał i odchylił klapę namiotu. Kopnął w otwór wejściowy.

Pax wiedział, co to znaczy. Mężczyzna często robił tak przy wejściu do domu ludzi i przy bramce kojca: „Przechodź – mówił w ten sposób. – Wychodź natychmiast, a nic ci nie zrobię”. To był uczciwy układ. Pax przemknął obok niego w bezpieczną ciemność nocy.

Zwolnił dopiero na wzgórzu. Zakopał słoik i przyczał się, by obserwować ruchy ludzi w obozie w poświacie świtu. Chociaż był pewien, że żaden człowiek go nie śledził, odbił na wschód i krążył przez pół godziny, nim wrócił nad rzekę.

Chuderlak nie spał i po raz pierwszy od wybuchu próbował się podnieść. Nastroszona namawiała go, by jeszcze leżał.

Pax zauważył, że wargi liska są wysuszone, a oczy zapadnięte.

Potrzebuje wody.

Nastroszona spojrzała w kierunku rzeki. Kilkanaście susów dla zdrowego lisa – czy Chuderlak jest w stanie pokonać taką odległość?

Młody lisek wyciągnął przednie łapy. Napiął tylne, by wstać, i wtedy ze zdumieniem obejrzał się za siebie. Noga, która całe życie była jego częścią tak samo jak jego zapach, zniknęła. Pochylił się i obwąchał ranę. Podniósł wzrok na Paxa i Nastroszoną, jakby szukał u nich wyjaśnienia.

Jeszcze raz podjął wysiłek, żeby wstać. Podparł się na jedynej tylnej nodze, która mu pozostała, lecz zaraz opadł na ranę po kończynie z jękiem bólu.

Pax doskoczył do niego i stanął przy jego poranionym boku.

Chuderlak znowu podparł się przednimi łapami, a potem rozprostował tylną nogę. Znowu się zatoczył. Jednak tym razem opadł na silny bok starszego lisa i nie jęknął. Zachwiał się, szukając środka ciężkości.

Gdy go odnalazł, Pax zrobił niepewny krok w kierunku rzeki i poczekał.

Chuderlak ruszył ostrożnie. Najpierw przednie łapy. Potem powłóczył skok z jedną tylną kończyną. I upadek na Paxa.

Znowu Pax zrobił jeden krok. Znowu mały lisek podążył za nim. I znowu. I jeszcze raz, aż w końcu poruszał się dość pewnie.

Nastroszona biegła przodem. Powoli, stawiając chwiejnie krok po kroku, Chuderlak dotarł do rzeki, a tam upadł na brzeg i wyciągnął szyję, by chleptać zimną wodę.

Gdy już się napił, położył głowę i zamknął oczy. Nastroszona jednak go uszczypnęła. Rozpoczął się dzień i w tym miejscu lisek byłby widoczny jak na dłoni. Pobieгла w górę rzeki do kępy trzciny.

Chuderlak pokuśtykał za nią. Wciąż się trząsł, poruszał się wolno i niezdarnie, ale ani raz się nie przewrócił. Pax szedł blisko niego. Kiedy dotarli do trzciny. Pax wzdrygnął się na dźwięk trzasku gałęzi w dole rzeki. Nastroszona również poderwała głowę i skierowała uszy w miejsce na drugim brzegu. Coś dużego zbliżało się w ich kierunku.

Chuderlak pochylił głowę, żeby obwąchać ślimaka.

Pax i Nastroszona wycofali się w trzciny. Lisica zawołała brata, ale on nie obrócił głowy.

Z zarośli wybiegł jelen, podrzucił rogami i wbiegł do rzeki.

Nastroszona jeszcze raz szczeknęła na brata, a on znowu ją zignorował.

Jeleń wybiegł z wody na przeciwległy brzeg, szukając świeżej trawy na niespalonej części pola. Gdy zbliżał się do celu, uniósł nogę, a kiedy ją opuścił, ziemia zadrżała i kępy świeżej trawy poszybowały w powietrze. Ciało zwierzęcia w jednej chwili rozpadło się na strzępy, jego grzbiet jeszcze przez jakiś czas wyginał się i podrygiwał.

Chuderlak zaskomlał, przerażony drganiem gruntu pod łapami. Nastroszona i Pax wciągnęli go między trzciny i uspokajali, aż zrozumiał, że nic mu się nie stało.

Lisy obserwowały, jak żołnierze biegną w dół zbocza, przeczesują teren snopami światła i wracają. Gdy nad sosnami wstało różowe słońce, wielkie łąchy trawy zapłonęły ogniem i rozbrzmiały trzaskiem. Myszy polne szukały schronienia w chłodzie nad brzegiem rzeki. Otumanione, zdezorientowane stanowiłyby łatwy łup, lecz Nastroszona pozwoliła im przemknąć obok, jakby przestrzegała jakiegoś kodeksu, który nakazywał chronić tak bardzo przerażonych.

Stała i wpatrywała się w dymiące pole.

Musimy stąd odejść. Już teraz.

Pax wiedział, że ma rację. Wyszedł za nią z trzciny. Nastroszona zawołała Chuderlaka, który obserwował uciekającego nornika. Mały lisek nawet nie zwrócił uszu w stronę siostry.

Wtedy Pax zrozumiał.

On nie słyszy.



Kiedy Peter wszedł do kuchni, Vola piła kawę. Tak jak i on nie mogła spać – słyszał, jak wychodziła do szopy w środku nocy, a wróciła dopiero nad ranem. Uniosła kubek.

– Śniadanie przed wyjściem?

Pokręcił głową.

Vola przyjęła to ze zrozumieniem i sięgnęła po jego plecak. Wepchnęła do środka papierową torbę.

– Zjedz kanapki z szynką najpierw... bo szynka się zepsuje. Masz tam słoiczek z balsamem, smaruj się nim dwa razy dziennie. Napełniłam ci termos, ale będziesz musiał szukać źródełek. I nie mocz tego gipsu. To ważne. W razie deszczu owiń go workiem na śmieci.

Położyła plecak na podłodze i Peter zauważył – miała na sobie dwa buty.

– Hej, włożyła ją pani.

Zadarła mankiet nogawki.

– Warunek numer jeden.

– Niech mnie – westchnął po chwili. – A to *djableman*. A gdzie ta stara?

Vola zwróciła głowę w stronę fotela.

– Nie wiem, co z nią zrobić. Może umieścić w strachu na wróble?

– Nie, nie w strachu na wróble – odparł Peter, nagle pewien, co należy zrobić. Obrócił się w stronę kominka. – Feniks, pamięta pani? Wszystko spala się w gnieździe.

Vola westchnęła, ale poszła za nim. Peter pogrzebał w rozżarzonych szczapach i dorzucił drobnych gałązek. Vola przyniosła drewnianą protezę.

Wyglądała dziwnie niepozornie. Skórzane paski przypominały te, którymi przymocowane były stopy i dłonie marionetek.

– Da pani radę?

– Tak. – Włożyła drewnianą nogę w płomienie i oboje wpatrywali się, jak ogarniają ją języki ognia.

Vola odeszła pierwsza.

Peter zauważył, jak naturalnie się poruszała z nową protezą. Nie dało się poznać, że nie ma jednej nogi. Wstawił osłonę paleniska. Kiedy Vola wróci dzisiaj do domu, po starej protezie pozostanie już tylko kupka popiołu.

– A co z pozostałymi dwoma warunkami? – zapytał, idąc za nią do kuchni.

– Dowiemy się w bibliotece. Ale już załadowałam ciągnik.

– Ciągnik?

– Jak inaczej przewieziemy dwadzieścia marionetek do miasteczka?

– Pojedziemy do miasteczka traktorem?

– Pojedziemy traktorem. Chyba że masz czarodziejski dywan, o którym nic nie wiem. I musimy się spieszyć, żeby zdążyć na ten autobus, więc... jesteś gotowy?

– Tak. Mam wszystko, czego mi trzeba.

– No, niezupełnie. – Sięgnęła za drzwi i wyjęła coś, co tak zaskoczyło Petera, że aż zaniemówił. – Wiesz, co to jest?

Kij do bejsbola był gładziusieńki, jego ciężar tak wyważony, że gdy znalazł się w rękach chłopca, świat zdawał się zwolnić.

– Zrobiła go pani. Ale ja nie potrzebuję...

– Myślę, że potrzebujesz. Może gdy już dotrzesz tam, dokąd idziesz, sam znajdziesz dla niego zastosowanie.

Aż go korciło, żeby zwrócić jej ten kij, ale Vola spędziła pół nocy na struganiu i wyglądała na taką dumną ze swojego dzieła, że nie mógł jej tego zrobić. Może rzeczywiście nadszedł czas, żeby znowu mieć własny kij. Zakołysał się powoli na kulach.

Znowu coś mu się przypomniało.

Furia siedmiolatka. Dzikość, której nie umiał opanować. Strach przed tą dzikością. Niebieska kula ogrodowa mamy strącona na ziemię i roztrzaskana na milion kawałków. Jej łzy... „Musisz panować nad sobą. Nie bądź jak on”. Jej zakrwawione palce zbierające drobiny niebieskiego szkła z białych róż. Jego wstyd, gdy patrzył, jak odjeżdża.

Wsunął kij do plecaka, gdzie ten wpasował się, jakby odnalazł swoje miejsce. Przebiegłe.

Podniósł plecak. Pod spodem zaszeleściła gazeta. Wziął ją do ręki i zauważył datę.

Opadł na krzesło, jakby dostał w brzuch.

– Co?

– On wiedział, – Rozłożył gazetę na stole. – On *wiedzia*ł. To gazeta sprzed dwunastu dni. Czyli mój tata to wiedział, kiedy zostawialiśmy Paxa. – Zacerpnięcie powietrza sprawiło mu ból, jakby noże wrzynały mu się w płuca. – Gdy poprosiłem, żeby zostawić Paxa na tej drodze do starego młyna, bo tam będzie bezpieczny, on *wiedzia*ł. – Dłonie go piekły. Opuścił wzrok i zobaczył, że ma zaciśnięte pięści. Rozprostował palce. – Jak mógł to zrobić?

Vola podeszła do niego. Uważnie się mu przyglądała.

– Tak mi przykro. To naprawdę okropne.

Szczęki mu drżały... czy zęby mogą popękać? Na wszelki wypadek szerzej otworzył usta.

– Jak ktokolwiek mógł zrobić coś takiego?

– Wiem, że jesteś zły...

Jego palce znowu zaciśnęły się w pięści, paznokcie wbijały się w wewnętrzną część dłoni. Wcisnął je między kolana.

– Nie. Już mówiłem. Ja się nie złościę. Nie jestem jak on. Nie będę jak on.

Vola usiadła naprzeciwko niego.

– Aha, rozumiem. Teraz rozumiem. Ale nie sądzę, że to się uda. Jesteś człowiekiem, a ludzie czują złość.

– Ja nie. To zbyt niebezpieczne.

Vola odchyliła głowę i szczerknęła tym swoim śmiechem.

– Ojej, powiem ci coś: *wszystkie* uczucia są niebezpieczne. Miłość, nadzieja... Ha! Nadzieja! Mówisz o niebezpieczeństwie, co? Nie, nie da się uniknąć żadnego z nich. Wszyscy mamy w sobie bestię zwaną złością. Ona może nam służyć; wiele dobrych rzeczy wynika ze złości na złe rzeczy, wiele niesprawiedliwości zostaje naprawionych. Ale najpierw wszyscy musimy dojść do tego, jak ją ucywilizować.

Peter czuł, że zbliża się zwanie w jego obwodach.

– Czy chociaż jeden raz mogłaby mi pani *nie* mówić, że muszę sam do czegoś dojść? Chociaż raz, co by pani szkodziło mi pomóc? No, przecież już odchodzę. Pani ma to wszystko... – wskazał tablicę z karteczkami – całą tę mądrość. Co by pani szkodziło dać mi jakąś radę?

– Chcesz, żebym ci dała kartę z sentencją filozoficzną na drogę? Jak na przykład: „Kiedy poczujesz w lesie zapach miodu, uciekaj, bo w pobliżu może być niedźwiedź”?

– Tak. Chyba tak. Ale tak naprawdę.

– A więc tak naprawdę nie znam żadnej magicznej porady, która mogłaby cię prowadzić. To twoja wyprawa, nie moja. Ale skoro już o tym wspomniałeś, to mam coś dla ciebie. – Odpięła jedną z kart wiszących na tablicy i podała mu.

– Jest pusta – zauważył.

– Teraz tak. Ale w takiej podróży jak twoja na pewno znajdziesz coś, czym ją zapełnisz. Własną prawdę, którą sam odkryjesz.

Po tych słowach Peter nagle poczuł wielkie zmęczenie, jakby od wielu lat żył w dużym napięciu. Tak długo był zdany tylko na siebie.

Vola obserwowała go uważnie.

– Jedność bezustannie się powiększa na świecie, chłopcze. Dwie rzeczy są w istocie jedną rzeczą. Jedność jest zawsze przy nas, pulsuje swoim rytmem. Ja nie mogę być jej częścią – to cena, którą płacę za to, że się oderwałam. Ale ty możesz. Możesz wibrować zgodnie z tętnem. Możesz być sam. Ale nie będziesz samotny.

– A jeśli się zgubię?

– Nie zgubisz się.

– Myślę, że chyba już się zgubiłem.

Vola wyciągnęła ręce ponad stołem, objęła jego głowę i ścisnęła.

– Nie. Ty się odnalazłeś. – Wstała i Peter poczuł delikatny pocałunek na włosach, gdy go mijała.



Traktor nie był aż tak niewygodny. Jechał jednak powoli, trząsł się na wybojach i był bardzo głośny – za głośny, by mogli swobodnie rozmawiać, mimo iż siedzieli obok siebie. Peterowi to nie przeszkadzało, bo miał się nad czym zastanawiać. Nawet kiedy już wjechali na drogę asfaltową, Vola

milczała, a Peter uznał, że ona także ma sporo do przemyślenia. Gdy jednak wskazała na jastrzębia krążącego nad ich głowami, przypomniał sobie coś, o co zawsze chciał ją zapytać.

– O co chodzi z tymi ptakami? Pani i te pióra?

Vola poklepała się po wisiorku z piór nawleczonych na rzemyk i uśmiechnęła się.

– Ti Poul. Kiedy się urodziłam, przypominałam rodzicom ptaka. Moje włosy sterczały jak pióra, miałam chudą szyję i cały czas piszczałam, żeby dostać jeść. Jestem w części Kreolką, w części Włoszką, i jest we mnie wiele innych części. Ale moi rodzice doszli do wniosku, że wszystkie te kultury czczą ptaki. Dlatego nazwali mnie Vola... to po włosku znaczy „lata, fruwa”. Ale mówili do mnie Ti Poul, czyli Mały Kurczaczek. Moje kurczaki dają mi pióra, a ja noszę je, żeby pamiętać, że kiedy się urodziłam, ktoś dostrzegł we mnie ptaka. To wszystko, niezbyt ciekawa historia.

Właśnie że to ciekawa historia, pomyślał Peter. I wyjaśniała to spojrzenie, które pojawiała się na twarzy Voli, zawsze gdy zdejmowała Roka ze ściany. Z nim będzie jej najtrudniej się rozstać.

Obejrzał się na cztery drewniane skrzynie z zapakowanymi marionetkami. Miał nadzieję, że nie kojarzą się Voli z trumnami. Jej niesamowite kukiełki teraz miały ożyć. Naprawdę żyć, w prawdziwym świecie, nie tylko istnieć po to, żeby występować w dziwacznym akcie pokuty.

Może Vola także ożyje. Z drugiej strony prosić ją o to mogło być przesadą. Wciąż się nad tym zastanawiał, kiedy traktor zacharczał i zgasł na parkingu przed biblioteką, gdzie zajął trzy miejsca.

Vola zeszła z siedzenia i podniosła jedną ze skrzyń. Peter ruszył za nią, ale przed szerokimi ceglanyymi schodami zatrzymał się i klepnął ją w ramię.

– Wie pani... – szepnął – musi pani tam trochę uważać...

– Uważać?

– Na... język. Rozumie pani?

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc. Musiał jej to powiedzieć dosłownie.

– To nie jest miejsce, gdzie często się mówi *djableman*.

– Ojej, proszę cię. Wiem o tym, chłopcze. – Jej ton był surowy, ale z domieszką rozbawienia. Peter otworzył drzwi i przepuścił ją do środka.

Bibliotekarka wyglądała jak wymieszana garść klejnotów: jaskrawa koralowa apaszka, złota jedwabna bluzka, szafirowa spódnica. Uśmiechnęła

się, kiedy Vola weszła i postawiła skrzynię na stole, a gdy podniosła wieko, jej usta utworzyły idealnie okrągłe O. Peter przypomniał sobie, że on też zaniemówił, kiedy pierwszy raz zobaczył te lalki. Wyszedł na zewnątrz, żeby pozostawić Voli trochę prywatności.

Poranne chmury już się rozeszły i niebo było tak jasne, że aż raziło w oczy. Dźwięki też wydawały mu się wyraźniejsze, a może działa się tak dlatego, że w minionym tygodniu otaczały go cisza i spokój. Szczekający pies, dwaj rozmawiający mężczyźni, szcęk hamulców roweru, dzieci krzyczące na placu zabaw – brakowało mu tych odgłosów. Brakowało mu świata. Zastanawiał się, czy Vola też stale odczuwa brak tego wszystkiego.

Ruszył w kierunku placu zabaw, żeby popatrzeć na bawiące się dzieci. Większość z nich biegała po placu, wskakiwała na ławki i zeskakiwała z nich, popychała huśtawki zgodnie z sobą tylko wiadomymi zasadami. W piaskownicy samotnie bawiła się zachmurzona dziewczynka z włosami słomkowej barwy związanymi w kucyk. Skrupulatnie przesypywała łopatkę piasku za łopatką z jednej sterty na drugą. Na rogu piaskownicy siedział znudzony chłopak z głową podpartą na rękawicy bejsbolowej, w wyblakłym czerwonym podkoszulku.

Łapacz. Z treningu.

Peter podszedł bliżej.

– Cześć.

Chłopak podniósł głowę, potem wstał, jakby szykował się do bójki. Spojrzał na kule Petera.

– Zastanawiałem się, czemu się nie pojawiłeś.

– Jak wam poszło?

Łapacz parsknął.

– Jakbyś nie wiedział, żeście nas zmiażdżyli. – Odebrał dziewczynce łopatkę i podał jej różową bluzę. – Chodź. Idziemy do domu.

– Zaczekaj. – Peter czuł, jak ogarnia go panika. Może życie pustelnika zrobiło już z niego dziwaka. Chłopiec wyjmował siostrę z piaskownicy i zamierzali odejść, a on czuł, że nie może na to pozwolić. – Zaczekaj! Znasz to uczucie, kiedy jesteś na boisku i wiesz, co masz zrobić, i jesteś gotowy? Kiedy gra ma się zacząć i rękawica zamienia się w część twojej dłoni, i wiesz, że znajdujesz się dokładnie tam, gdzie powinienes? To uczucie? Myślisz, że to jest spokój?

Chłopiec skrzywił się. Potrząsnął głową, jakby chciał wyrzucić z pamięci całe to spotkanie, a potem zaczął się oddalać, ciągnąc siostrę za rękę. Peter mógł tylko patrzeć, jak opuszczają plac zabaw. Czuł przy tym, że wymyka mu się coś cennego.

Tuż przy bramie łapacz jednak się obejrzał. Był już dość daleko, ale wyglądało na to, że już się nie smucił. Uniósł dłoń i wystawił dwa palce w znaku pokoju. Peter odpowiedział mu tym samym.



Wewnątrz bibliotekarka rozpakowywała ostatnią skrzynię. Pojawiło się kilkoro dzieci, które z otwartymi buziami i szerokimi uśmiechami obserwowały wyjmowane lalki. Vola odsunęła się na bok. Obróciła się w stronę wyjścia, gdy dojrzała Petera.

Peter wystawił kule, by zablokować jej przejście.

– Warunek numer trzy? – zapytał, przerzucając wzrok na bibliotekarkę.

Vola spojrzała na niego po części z irytacją, po części z niechętnym przyznaniem się do porażki. Wróciła do bibliotekarki.

– Bea, zapomniałam powiedzieć, że będę tu wracać raz na tydzień. Nauczę dzieci, jak się nimi posługiwać.

Bea Booker uśmiechnęła się. Jej powolny uśmiech skojarzył się Peterowi z roztopionym karmelem.

– Byłoby wspaniale.

Vola ruszyła ku drzwiom, lecz Peter znowu zagroził jej drogę.

Vola wyrzuciła ręce w górę.

– Co teraz?

Uniósł dwa palce.

– Co? Oj... W porządku. – Wróciła do stolika. – Bea. Dwa razy w tygodniu. Będę przyjeżdżać *dwa razy* w tygodniu, żeby uczyć dzieci.

Bibliotekarka rozpromieniła się.

– Dzieci będą zachwycone. Ja też z chęcią częściej się z tobą spotkam, Vola. Może w końcu pójdziemy na kawę.

Mała dziewczynka z koralikami wplecionymi w warkoczyki pociągnęła za kombinezon Voli. Wskazała na słońca.

– Jak pani robi, żeby tańczył? – zapytała.

Peter zaczerpnął tchu. Vola jednak zamiast robić wykład o tym, że dziewczynka sama musi do tego dojść, kucnęła, by dokładnie obejrzeć słonia. Peter zauważył, że z nową protezą poruszała się całkiem sprawnie. Miała teraz staw w kostce – taka drobna rzecz, a umożliwiała uginanie nogi. Z jak wielu rzeczy wcześniej rezygnowała.

– A czemu myślisz, że on chce tańczyć? – spytała Vola.

– Ma czerwone paznokcie na nogach, jak ja. – Dziewczynka pomachała palcami w sandałkach. Następnie jej rączka powędrowała ku piórom na szyi Voli.

Kobieta drgnęła pod tym dotykiem, a Peter znowu wstrzymał oddech. Ona jednak tylko wyciągnęła rękę i dotknęła naszyjnika z żółtych koralików na szyi dziewczynki.

Później wskazała zegar nad biurkiem, na którym była już prawie jedenasta.

– Teraz mam coś ważnego do załatwienia, ale wrócę za pół godziny. Jeśli jeszcze tu będziesz, wymyślimy, jak nakłonić go do tańca.



Kiedy wreszcie zabrali plecak i przeszli przez ulicę, autobus już stał na przystanku. Vola poszła kupić bilet, a Peter ruszył w stronę grupki czekających pasażerów. Poczuł dreszcz na plecach. To był ten sam dreszcz, który przeszywał go za każdym razem, kiedy trener krzyczał: „Piłka!”.

Vola wręczyła mu bilet. Wyglądał w jego dłoni bardzo niepozornie jak na moc, którą w sobie miał.

– Dojdę tam i znajdę go. Dziękuję.

Drzwi autobusu się otworzyły i Vola nachyliła się. Machnęła ostrzegawczo palcem w stronę kierowcy.

– Robercie, ten chłopak jest moją rodziną. Odwiedził mnie i teraz wraca do domu. Dopilnuj, żeby dojechał cały i zdrowy.

Odsunęła się, a do autobusu zaczęła wchodzić chwiejnie starsza para. Peter zarzucił plecak i zrobił krok w kierunku autobusu. Obrócił się.

– Jestem rodziną?

– O ile mi wiadomo. A teraz wsiadaj.

Schody były wysokie, ale Peter wspiął się bez trudu. Zajął miejsce z przodu i przez brudną szybę pokazał Voli uniesione kciuki. Teraz był

silny. Był przygotowany. Kiedy jednak usłyszał syk zamykanych drzwi, chwycił za podłokietnik. Wiedział, że ciężko będzie mu patrzeć na jej oddalającą się sylwetkę.

Gdy silnik autobusu zaryczał, Vola dała Peterowi znak, żeby uchylił okno.

– Chłopcze! – krzyknęła z krawężnika. – Będę zostawiać otwarte drzwi na taras!



Pax grzebał w ziemi.

Od kiedy przeprowadzili Chuderlaka w górę wąwozu, Pax i Nastroszona pilnowali go na zmianę. Byli jego silnymi tylnymi łapami, byli jego uszami. Urządzili mu bezpieczne schronienie w opuszczonej norze świstaka, którą Nastroszona powiększyła. Mimo to Pax czuł niepokój. Coś wisiało w powietrzu. Czuwał przed wejściem do nory i grzebał w ziemi. Poduszki jego łap tak stwardniały, że już przestały krwawić.

Kiedy Nastroszona wróciła z polowania, rzuciła mu pod nogi pręgowca. Pax odwrócił się, chociaż nic nie jadł od dwóch dni. Ostatnim jego posiłkiem był ser zdobyty w namiocie ludzi. Nie chciał jednak odbierać pożywienia Nastroszonej ani Chuderlakowi.

Lisica zakopała pręgowca, a potem wyciągnęła się przed kryjówką, obejmując straż.

Pax wyruszył, by po raz kolejny obejść obrzeża polany. Kryjówka była bardzo dogodnie położona. Mimo że w pobliżu obozu ludzi, jednak na tyle wysoko, by nie trzeba się było obawiać wybuchów ziemi nad rzeką. Krzewy jałowca wokół polany stanowiły dobrą osłonę, a co ważniejsze, pomagały ukryć zapach lisów. Niedaleko nory ze skały wypływało czyste źródło, a w trawie żyło wiele dzikich zwierząt.

Coś jednak było nie w porządku. Coś się zbliżało. Pax wielkimi susami przemknął pośród drzew do grzbietu ponad obozem ludzi.

Spotkanie z ojcem chłopca zwiększyło czujność lisa. Nie miał zamiaru kolejny raz podejmować takiego ryzyka. Jednocześnie jednak obóz bardziej

go przyciągał. Gest mężczyzny – kopnięcie butem w kierunku wyjścia, połączone ze sprzecznymi sygnałami dobrej woli i groźby – przypomniał mu, że musi chronić swojego chłopca. To, że w obozie był ten człowiek, znaczyło, że Peter też wkrótce się tu znajdzie.

Było popołudnie. Pax obserwował zarażonych wojną, którzy chodzili w słońcu wzdłuż brzegu, rozwijali nowe kable, wygrzebywali nowe dziury i zakopywali w nich kolejne ciemne skrzynki. Odór ich potu był przesiąknięty agresją takiego rodzaju, z jakim lis się dotąd nie spotkał.

Niebezpieczeństwo, które wyczuwał, było jednak bardziej konkretne. Bardziej dzikie. Zawrócił i jeszcze raz obszedł polanę.

Widząc Chuderlaka wyłaniającego się z kryjówki, Pax podbiegł, by go dokładnie zbadać. Rana była czysta, nie ciekła z niej krew. Chuderlak odmówił posiłku, który Nastroszona dla niego odkopała. Pax widział, że liskowi chce się pić.

Zaprowadzę go do źródła.

Nastroszona ruszyła za nimi, ale po chwili usiadła i tylko bacznie obserwowała, jak się oddalają.

Gdy wrócili, Chuderlak powłókł się z powrotem do nory. Pax usadowił się przed wejściem – nora świstaka wydawała się zbyt duża, zbyt łatwo dostępna i czuł się lepiej, gdy siedział tu na straży – ale Nastroszona go zawołała.

Chodź ze mną. Coś ci pokażę.

Zanurzyła się w trawę i z nisko pochyloną głową stawiała cicho łapę za łapą. Pax sunął za nią tak samo ostrożnie. Pośrodku polany zatrzymała się gwałtownie, skierowała uszy naprzód i obejrzała się na niego.

Pax też to usłyszał. Delikatne tuptanie pod warstewką suchej trawy pokrywającej ziemię. Nastroszona śledziła to stworzenie, jakby widziała jego ruchy. W końcu wyskoczyła w górę i opadła, zasłaniając nos łapami, a zaraz potem wyłoniła się z myszą w szczękach.

Zjadła ją kilkoma kęsami i wróciła do poszukiwań. Po chwili usiadła na tylnych łapach, przechyliła głowę.

Teraz ty.

Pax nasłuchiwał, aż zyskał pewność, że zlokalizował znajomy szmer. Wysoki skok, potem łapy na nosie, żeby zanurkować, tak jak to robiła Nastroszona. Spadł ciężko. Mysz uciekła. Odwrócił się od Nastroszonej, żeby wypluć piach z pyska.

Nastroszona ruszyła dalej. Pax podążał za nią ze zwieszoną głową, aż wreszcie lisica zastrzygła uszami, słysząc kolejne ciche szuranie.

Znowu się odsunęła i Pax próbował pochwycić zwierzynek. Mysz znowu uciekła.

Nastroszona obserwowała go, kiedy wygrzebywał łapą piach z pyska.

Chodź za mną.

Pax podążał za nią, aż nagle lisica zatrzymała się i przywarła brzuchem do ziemi. Przed nimi była dziura w suchej trawie. Wydobywały się z niej ciepło i zapach wielu myszy. Nastroszona kazała mu pozostać na miejscu.

Nie ruszaj się. Patrz.

Podczołgała się bliżej. Przed otworem położyła się i opuściła głowę na łapy. Przymknęła oczy, rozluźniła całe ciało, jakby zapadła w głęboki sen.

Pax zdumiał się – myślał, że ona nadal uczy go polować. Podniósł się. Nastroszona karcąco pacnęła w ziemię zwęglonym ogonem.

Zostań.

Wrócił na miejsce.

Długo nic się nie działo. Wreszcie Pax dostrzegł ledwie wyczuwalne poruszenie przy wejściu do nory. Drżący nosek wysunął się i zaraz się cofnął. Kolejny długi moment i mysz pojawiła się ponownie. Jej ruchy były tak płochliwe, tak czujne, jakby miała ochotę uciec. Nastroszona ani drgnęła, jeśli pominąć drgnienie powieki, gdy rzucała Paxowi ostrzegawcze spojrzenie.

Mysz pojawiała się i znikła jeszcze dwa razy. Wreszcie przekonana, że lisica śpi, zdecydowała się na bieg ku kryjówce. Zwinna łapa Nastroszonej zgarnęła nieszczęsne zwierzę wprost do pyska.

Pax zrozumiał.

Nastroszona wróciła, by czuwać przy Chuderlaku, a Pax poszedł na polanę szukać podobnej nory, która pozwoliłaby mu wypróbować poznane ruchy. Znalazł taką przy gnijącej kłodzie drewna, pośród intensywnego zapachu mysiej kolonii. Umościł się na wyciągnięcie łapy od nory.

Był tak podniecony, że z trudem zachowywał spokój, ale udało mu się doczekać chwili, kiedy wreszcie gryzoń wyłonił się z otworu i ostrożnie poruszył nosem. Jak ofiara Nastroszonej, tak i ta mysz cofnęła się na widok lisa. Jak ofiara Nastroszonej, tak i ta mysz wyłoniła się ponownie i przekonana, że Pax śpi, rzuciła się biegiem przed siebie.

Pax nie był tak szybki jak Nastroszona. Udało mu się jednak przewrócić mysz, a kiedy ta gramoliła się na łapy, sięgnął po nią jeszcze raz. I tak złapał swoją pierwszą zdobycz.

To był niewielki posiłek, lecz każdy kęs przyjemnie rozgrzewał ciało Paxa. Życie myszy przenikało się z jego własnym. Jego mięśnie napełniły się energią.

Podskoczył i pognął radośnie dookoła polany, mijając Nastroszoną niczym czerwona kometa. Ona aż się podniosła, by to zobaczyć. Pax przemknął obok niej jeszcze raz, ledwie dotykając łapami ziemi, ale wciąż było mu mało tego świętowania.

Pośrodku polany stało stare, pochylone drzewo. Dolne gałęzie zakrywały wgłębienie w ziemi, górne zaś mieniły się błękitem, obsypane mnóstwem sójek.

Pax skoczył na pień. Z łatwością, wspiął się na pierwszą gałąź i utrzymał na niej równowagę. Następnie krok po kroku ostrożnie zaczął się po niej przesuwac.

Liście niczym pachnące zielone gwiazdy witały go przyjemnym szelestem. Spojrzał w dół zdumiony. Świat całkowicie się zmienił. Z tego punktu obserwacyjnego miał widok przez prześwit między drzewami na obóz i rzekę. Trawa na łące, która jeszcze przed chwilą muskała go po karku, teraz zdawała się płaska jak szeroki zielony talerz. Sójki poderwały się z gałęzi, chcąc go przepłoszyć.

Przypomniat mu się lot Chuderlaka. Skulił się i skoczył. Rozciągnął tułów do granic możliwości i czuł, jak powietrze gładzi futro na jego brzuchu. Wylądował lekko, odchylił głowę i szczeknął ze szczęścia.

Odkrył dla siebie nowy świat. Mógł się po nim poruszać i żywić jego obfitością, kiedy tylko zechciał. Był częścią tego wszystkiego, wolny. Ale nie sam.

Pobiegł odkopać słoik masła orzechowego. Potem zawrócił i rzucił zdobycz pod nogi Nastroszonej i Chuderlakowi, którzy wygrzewali się w ostatnich promieniach popołudniowego słońca przy wejściu do kryjówki.

Oboje natychmiast się ożywili, czując dziwny zapach. Nastroszona poderwała się pierwsza.

Trąciła słoik nosem i odskoczyła, gdy się potoczył. Obwąchiwała go dokładnie i badała językiem. Wystarczyło jedno liźnięcie. Lisica chwyciła

słoik w łapy i zaczęła łapczywie go wylizywać, tak że w ciągu kilku sekund wyczyściła górną część. Wetknęła pysk głębiej.

Pax kiedyś robił tak samo.

Uważaj, bo utkniesz.

Za późno. Nastroszona podskoczyła. Potrząsała głową na boki, ale słoik tkwił mocno. Podskakiwała na tylnych łapach, obiema przednimi próbując zepchnąć pojemnik z pyska, przewracała się i tak w kółko.

Chuderlak przyglądał się temu ze zdumieniem. Nigdy wcześniej jego siostra nie straciła panowania nad sobą.

Pax zbliżył się i zaproponował jej pomoc. Nastroszona jednak uskokczyła. Chciała zrobić to sama. W końcu obróciła się na grzbiet i tylnymi kończynami oderwała słoik od pyska. Otrząsnęła się i z zadartymi głową i ogonem wróciła na miejsce. Usiadła obok Paxa i zaczęła się myć.

Nigdy wcześniej nie siedziała tak blisko niego, przyjemnie przylegając bokiem do jego boku. Jej zapach nigdy dotąd nie był tak przyjazny. Zauważył brązową smugę na jej białym policzku. Nie myśląc o konsekwencjach, nachylił się i zlizzał masło z jej pyska.

Nastroszona nie sprzeciwiła się.

Pax wyczyścił jej uszy, kark i pysk. Po chwili ona odwzajemniła mu się tym samym. Policzek przy policzku dwa lisy czyściły się wzajemnie. Wtem Nastroszona przerwała, by mocno obwąchać Paxa.

Teraz nie śmierdzisz ludźmi.

Pax nie odpowiedział. Poderwał się i zaczął węszyć. Z zapadnięciem zmierzchu na polanę wdarło się coś groźnego. Zapach zwierzęcy, który, choć lisowi nieznany, budził w nim trwogę. Zniknął tak samo szybko, jak się pojawił, ale Pax ryknął na Chuderlaka:

Do kryjóWKi! Już!



Chłopcze!
Peter obrócił się tak gwałtownie, że omal nie upadł. Był przekonany, że wartownia jest pusta – nim wyszedł z ukrycia, odczekał całe dziesięć minut, by to sprawdzić.

Zza ciężarówki wyłonił się żołnierz. Lufą karabinu wskazał tablicę przymocowaną nad barykadą.

– Wejście wzbronione.

Peter, wsparty na kulach, rozprostował się do granic możliwości. Od dwóch dni z nikim nie rozmawiał. Dwa dni minęły, odkąd kierowca autobusu powiedział: „Nie wiem, co właściwie planujesz, synu, ale to chyba nie jest dobry pomysł. Jeśli chcesz, wsadzę cię do autobusu powrotnego. Nie ma się czego wstydzić”, a Peter odparł: „Nie, dziękuję”, bo uważał, że wycofanie się jest powodem do wstydu, na co kierowca rzekł: „Niech ci będzie, w takim razie powodzenia” i pozwolił mu odejść.

Tego wieczoru nikt się do niego nie odezwał. Miasto leżało na obrzeżach ewakuowanego terenu i nieliczne osoby, które mijał, opuszczały wzrok i przyspieszały kroku, jakby nie mogły sobie pozwolić na nawiązanie kontaktu z kimkolwiek, kto mógłby potrzebować pomocy. „Nie ma tu nic ciekawego – mówiły ich spojrzenia. – Wszystko już przepadło”.

Następnego dnia od świtu do zmroku, a nawet do nocy, i prawie całe kolejne rano wędrował przez opustoszałe miasteczka, mijał puste szkoły, place zabaw i dzielnice, które straszyły nienaturalną ciszą – bez piszczących rowerków, odgłosów radia z samochodów, gier i zabaw na

boiskach. Jedynym znajomym dźwiękiem był szum wody lejącej się z węża ogrodowego, kiedy Peter napełniał swój termos.



Nie spotykał żadnych ludzi, ale widywał pozostawione przez nich zwierzęta. Płochliwy kucyk skubiący trawę przed kościołem. Psy patrzące na niego groźnie zza kublów na śmieci. Tuziny przemykających wychudzonych kotów, których zapadnięte boki kształtem przypominały łyżki.

– Chłopcze! – Żołnierz podszedł bliżej. Obrzucił wzrokiem ręcznie wykonane kule Petera, prymitywny gips, brudne ubrania. – Ewakuowaliśmy ten teren prawie dwa tygodnie temu. Gdzie się podziewałeś? Nie wiesz o tym?

– Wiem. Ale kogoś tam zostawiłem. Idę po niego.

– Nie martw się. Wszystko sprawdziliśmy... wszyscy wyjechali.

– To nie jest człowiek. – Peter zadarł głowę, gotów bronić swoich racji.

Twarz mężczyzny jednak zmieniła się, jakby odmłodziła, i Peter zauważył, że ma przed sobą kogoś, kto całkiem niedawno skończył szkołę średnią. Zawiesił karabin z powrotem na ramieniu.

– Mam psa. Nazywa się Henry. – Przez minutę nie powiedział nic więcej, tylko wpatrywał się w drogę, jakby miał nadzieję, że jego pies nagle się tam zjawi. Potem znowu obrócił się w stronę Petera i westchnął. – Chyba nikt nie chodzi z nim na spacer. Moja siostra obiecała, że będzie, ale ona pracuje. Chcesz zobaczyć zdjęcie?

Nim Peter zdążył skinąć głową, żołnierz już wyciągnął portfel. Wyjął fotografię. Beagle. Zwyczajny beagle. Peter poczuł ucisk w gardle. Fotografia była podniszczona, z wytartymi, pomiętymi rogami, co świadczyło o częstym wyjmowaniu.

– To jest Henry. Dostałem go na ósme urodziny. Teraz ma już chore biodra, ale ciągle lubi spacerować. Uwielbia węszyć za wiewiórkami i innymi zwierzakami. Mówiłem to mojej siostrze, ale... Henry nie zrozumie, gdzie zniknąłem. Będzie czekał na mnie przy drzwiach cały dzień. A twój jak wygląda? Może go gdzieś zauważę.

– Pax to nie jest... – Nie dokończył. Skoro nie miało znaczenia, że Pax nie jest człowiekiem, czemu miałyby mieć znaczenie to, że nie jest psem? – Jest rudy. Ma czarne nogi.

– Jaki duży? Tu są kojoty. O tej porze roku mają młode. Mogą zaatakować małego psa, jeśli będą broniły potomstwa.

– Dość mały. – Peter przenosił ciężar ciała z jednej obolałej ręki na drugą. – Proszę. Przeszedłem kawał drogi.

Żołnierz spojrzał jeszcze raz na zdjęcie swojego psa, nim wsunął je do portfela. Kiedy podniósł wzrok na Petera, znowu wydawał się starszy.

– Wyłapujemy je. Ale one wciąż przybywają. Wejdź, ale do jutra musisz opuścić tę strefę. – Wskazał na kule Petera. – Dasz radę?

– Tak. Czyli... przepuści mnie pan?

Żołnierz rozejrzał się i nachylił nad nim.

– Ta droga jest patrolowana co godzinę, ale pilnujemy tylko wyjść z głównych szlaków. W lasach jeszcze nikt nie stacjonuje. Jeśli wejdiesz na dwadzieścia metrów w głąb lasu, nikt cię nie zatrzyma. Ale pamiętaj: jeśli cię złapią, ja nic nie mówiłem. A teraz zmykaj.

– Dzięki. – Peter obrócił się i ruszył w stronę lasu, zanim żołnierz zmieniłby zdanie.

– Hej, chłopcze! Mam nadzieję, że go znajdziesz.



W lesie było cicho, ale ta cisza była czymś właściwym w tym miejscu. Zakłócały ją tylko odgłosy dzikich stworzeń, które brzmiały obiecująco. W tej scenerii Peter potrafił sobie wyobrazić rudą kityę Paxa połyskującą pośród drzew. W tej scenerii łatwo było sobie wyobrazić, że kiedy zawoła, w odpowiedzi usłyszy szczeknięcie swojego liska. Ta świadomość tak podniosła go na duchu, że prawie zapomniał o krwawiących ranach i otarciach na dłoniach i pod pachami.

Przez godzinę kuśtykał po sosnowych igłach, nagromadzonych przez dziesięciolecia, nadających podłożu taką sprężystość, że zdawało się go unosić. Kiedy usłyszał warkot silnika, ukrył się za krzakiem i poczekał, póki terenowy samochód nie przejechał. Potem szedł dalej skrajem drogi, pewien, że przed następnym patrolem też zdąży się ukryć.

I wreszcie dotarł na miejsce.

Nie było tam nic charakterystycznego, nie rozpoznał też drogi, która za zakrętem ciągnęła się prosto. Jednak wszędzie dookoła dało się wyczuć zdradę. Zrobił tutaj coś strasznego i to miejsce zapamiętało jego czyn.

– Pax! – krzyknął, nie przejmując się tym, czy ktoś go usłyszy. Niech przyjeżdżają patrole, niech przybywa cała armia. Nie odejdzie stąd bez

Paxa. – Pax! – Mimo jego nawoływań cisza jeszcze bardziej się pogłębiła. Teraz brzmiała złowieszczo, nie obiecująco.

Szedł dalej tą drogą, wołając i wypatrując zwirowanej odnogi. Był pewien, że gdy samochód odjeżdżał, Pax miał w pysku plastikowego żołnierzyka. Gdyby przestał czekać na Petera, porzuciłby tę figurkę. Peter chciał znowu wziąć żołnierzyka do ręki, zdobyć namacalny dowód, że jego lis był tutaj.

Przebył kolejne pół kilometra czy kilometr ze wzrokiem wbitym w ziemię. Nagle stanął jak wryty. Dotarło do niego, że nie znajdzie tego żołnierzyka, bo Pax nigdy by z niego nie zrezygnował. Nigdy. Paxowi w ogóle nie przyszłoby do głowy, że został porzucony – byli przecież nierozłączni. Pax zawsze to wiedział. To Peter był tym, który dopiero musiał się tego dowiedzieć.

Jeżeli Paxa tu nie było, to na pewno poszedł do domu szukać Petera albo przynajmniej próbował to zrobić – rzeka mogła pokrzyżować mu szyki, ale kto wie. Stale jakieś psy wracały do domu wbrew wszelkim przeciwnościom. Pax był dziesięć razy mądrzejszy od każdego psa, czemu więc nie miałyby znaleźć jakiegoś sposobu? Może już czekał na niego w domu.

Dom. Dom był około dwudziestu kilometrów na południowy wschód od starego młyna. A młyn leżał chyba jakieś dziesięć kilometrów na południe od miejsca, w którym Peter się teraz znajdował.

Skierował się więc na południe i szedł, cały czas wołając Paxa. Wąwóz przy młynie był zbyt niebezpieczny na nocną wędrówkę, dlatego postanowił przespać się na górze, a o świcie zejść na dół. Przekroczy rzekę w pobliżu młyna, a potem, po przejściu kolejnych kilkunastu kilometrów, dotrze do domu.

– Czekaj na mnie – powiedział głośno. – Już idę.



Pax obudził się pełen niepokoju. Jego chłopiec był w pobliżu. Poderwał się, budząc Nastroszoną, która spała obok niego, i zaczął szukać zapachu chłopca na polanie.

Nic. Ale on na pewno był w pobliżu.

Pax pomknął niczym strzała na grzbiet ponad obozem ludzi. Wśród zarażonych wojną nie zauważył nikogo młodego. Nie usłyszał głosu Petera pośród pomruków i krzyków. Zsunął się po zboczu i obszedł cały obóz dookoła, węsząc we wszystkie kierunki. Jego chłopca tam nie było.

Ale był blisko. I zbliżał się.

Pax wrócił do Nastroszonej i położył się. Nie zasnął już jednak.



Szedł na południe prawie godzinę, przekonany, że Pax przebył przed nim tę samą trasę. Gdy wyłonił się z lasu, stanął.

Przed nim rozpościerała się rozległa łąka, która najpierw opadała łagodnie w dół, a dalej już ciągnęła się płasko niczym szeroki zielony dywan. U podstawy teren wznosił się nieregularnymi schodkami, jakby wyciętymi przez olbrzymie kopyta. A jeszcze dalej, aż po horyzont rozciągała się zalesiona równina, w której znajdował się wąwóz.

Od przebudzenia wędrował już dziewięć godzin, nawet nie myśląc o odpoczynku, ale teraz widok tej porażającej przestrzeni i świadomość odległości, jaką jeszcze musiał przebyć, nagle sprawiły, że poczuł się zmęczony.

Upuścił plecak i opadł na ziemię.

Dziewięć godzin ściskania kul zamieniło jego dłonie w sztywne szpony. Z trudem odczepił od uchwytów obolałe palce. Poprzedniego dnia pokryły się pęcherzami, które popękały, a teraz znowu się pojawiły. Polał chłodną wodą z termosu rozgrzane dłonie i zabrał się za wyciąganie z nich szczątków gumy. Następnie włożył na ręce zapasową parę skarpetek i znowu się rozejrzał.

W połowie zbocza dostrzegł jakiś ruch. Coś przebiegło nisko między drzewami. Lisie ruchy. Peter podniósł się na kolana.

– Pax!

Znowu to samo. Ale nie, cokolwiek to było, miało jasną, żółtawą barwę, nie rudą. Może kojot.

Ta myśl podziałała na niego jak zastrzyk adrenaliny. Peter w jednej chwili zebrał się i ruszył dalej. Z plecakiem obijającym się o plecy, wsparty na kulach uderzających miarowo w ziemię po pół godzinie dotarł na dno doliny, gdzie teren był bardziej grząski, błotnisty, co spowolniło jego marsz, lecz go nie zatrzymało.

Nagle wyrosła przed nim trzymetrowa skała. Te klify były dużo wyższe, niż wydawało się z drugiej strony doliny.

Zanim zdążył się rozmyślić, Peter podrzucił plecak, a potem kule, i usłyszał, jak uderzają o półkę skalną. Wsunął palce w szczelinę i podciągnął się. Drapał gipsem po chropowatej powierzchni, ale ramiona miał silne po treningach z Volą, dzięki czemu zdołał się wspiąć i znaleźć oparcie dla stóp. Z tego miejsca chwycił się wystającego drzewa, potem znalazł kolejną szczelinę w skale i wreszcie wciągnął się na pierwszy występ skalny.

Godzinę wspinał się w ten sposób: kule i plecak rzucał jako pierwsze, a sam podciągał się za nimi. Kiedy dotarł do szczytu, zziębnięty i spocony, upadł na ziemię pod wysoką sosną. Jednym długim łykiem opróżnił termos, a potem zjadł ostatnią kanapkę z szynką. Otworzył drugą paczkę od Voli.

Masło orzechowe. Poczucił ucisk w gardle. Przypomniawszy sobie, jak Pax pierwszy raz znalazł w śmieciach pusty słoik i wepchnął nos tak głęboko, że nie mógł go wyciągnąć. Petera bardzo to wtedy rozbawiło – ze śmiechu aż rozbolały go wszystkie mięśnie.

Włożył kanapkę z powrotem do torby, żałując, że nie odkrył jej dzień wcześniej i nie rzucił jej psom przeszukującym śmietniki. Wstał. Dochodziła szósta, a on miał przed sobą jeszcze długą drogę.

Podczas wędrówki nie dawały mu spokoju obrazy wygłodniałych porzuconych zwierząt. Nawiedzały go i znikwały niczym oskarżycielskie duchy. Chciałby im powiedzieć, że dobrze wie, jak to jest, kiedy ta jedyna osoba, która cię kochała i opiekowała się tobą, nagle znika. Jak po takim czymś świat nagle wydaje się wrogi i groźny.

On stracił jedno z rodziców. Ile dzieci w tym tygodniu znalazło się nagle w sytuacji, w której ich świat się zawalił, rodzice odeszli na wojnę i może nigdy nie wrócą? To było, oczywiście, najgorsze. A co z mniejszymi stratami? Ile dzieci przez wiele miesięcy tęskniło za starszymi braćmi czy siostrami? Ilu przyjaciół trzeba było pożegnać? Ile dzieci głodowało? Ile

z nich musiało się przeprowadzić? Ile zwierząt te dzieci musiały pozostawić na pastwę losu?

Dlaczego nikt nie brał tego pod uwagę? „Powinno się mówić prawdę o tym, jaka jest cena wojny”, powiedziała Vola. Czy to wszystko to nie są koszty wojny?

Nagle z przerażeniem zorientował się, że już zapada noc. Trochę spanikowany – powinien był wcześniej poszukać dobrego miejsca na nocleg – obracał się w kółko. Lewa kula upadła na grupkę kamieni. Peter ciężko osunął się za nią i wtedy usłyszał wyraźny trzask. W pierwszej chwili wystraszył się – *żebro!* – ale zaraz zrozumiał, że to drewno. Opadł na ziemię, wciąż ściskając górną część kuli. Półtora metra dalej znajdowała się jej dolna część.

– *Djableman!* – wyrwało mu się. W jakiś sposób to słowo przyniosło mu satysfakcję. Wypróbował jeszcze inne przekleństwa i one też brzmiały całkiem nieźle. Jednak ciemniejący las wchłaniał te krzyki bez żadnej reakcji, przez co Peter poczuł się nieswojo i zamilkł. I tak nie mógł sobie pozwolić na luksus odreagowania. Musiał naprawić kulę, a robiło się coraz ciemniej.

Dookoła z drzew wyrastały gałęzie, które mógł wykorzystać do połączenia rozłamanych części za pomocą taśmy klejącej. Nie miał jednak toporka, żeby je ściąć. Gdy wyjął z plecaka kij bejsbolowy, żeby dostać się do taśmy, zdał sobie sprawę, że rozwiązanie znajduje się w jego dłoni.

Przyłożył złamane kawałki kuli do siebie, umieścił na nich kij i zaczął owijać całość taśmą. Gdy skończył, przetestował tę konstrukcję, opierając się na niej całym ciężarem. Utrzymała go pewnie i stabilnie. Miał ochotę powiedzieć Voli, że miała rację – rzeczywiście znalazł zastosowanie dla tego kija podczas podróży.

Znowu ukląkł przy plecaku. Ten wypadek był wystarczającym ostrzeżeniem. Peter wyciągnął wszystko, czego potrzebował do zorganizowania noclegu, potem wygrzebał w ziemi krąg, który wypełnił stertą drobnych gałązek i suchej trawy. Przyłożył zapalnik i natychmiast zatrzęszczał mały ogieniek.

Peter przytrzymał scyzoryk nad płomieniami, a kiedy uznał, że ostrze jest już wysterylizowane, zacisnął zęby i rozciął nowe pęcherze, które pojawiły się na jego dłoniach. Sycząc z bólu, sięgnął po balsam Vola i wstrzymał oddech, póki obolałe miejsce nie zdrętwiało. Zapach ziół

przeniósł go do jej kuchni – chłopiec myślał o tym, co ona teraz robi, jak sobie radzi bez ciężkiej drewnianej nogi, która stanowiła prawdziwy balast.

Przed odłożeniem noża uniósł go do oczu. Na ostrzu tańczyły jeszcze ostatnie płomyki ognia. Przypomniawszy sobie, jak pierwszy raz zobaczył nóż Voli, jaki był przerażony, kiedy zestrugała drzazgę ze swojej drewnianej nogi.

Podciągnął nogawkę dzinsów. Docisnął ostrze do łydki i próbował sobie wyobrazić odcinanie kawałka ciała, które go drażni, bo nie jest idealne.

W oddali zawył kojot, a po chwili odpowiedział mu inny. Peter zadrżał. Obrócił ostrze tnącą krawędzią w poprzek nogi i zanurzył je lekko. Nacięcie było niewielkie, ale ukłucie zabolowało. Ciało zrobione z drewna miało swoje zalety.

W ranie pojawiły się krople krwi. Kiedy zaczęły skapywać na ziemię, Peter uformował z nich sylwetkę skaczącego lisa. Paznokciem zaznaczył otwory w spiczastym nosie, potem dwoje uszu. Szybki ruch kciuka namalował kitę.

Pax. Jutro.

Przysięga przypieczętowana lisio czerwoną krwią.



W żołądku miał już trzy myszy, a z pyska zwisał mu szczur piżmowy, pierwsza większa zdobycz. To powinno wystarczyć dla Chuderlaka i Nastroszonej na cały dzień. Po nocnym polowaniu potrzebował snu, ale jak zwykle biegł do nory długą, krętą trasą, żeby zmylić drapieżniki. Ślady pozostawione przez krwawiącego Chuderlaka podczas zmiany kryjówki były wciąż na tyle wyraźne, że mogły zachęcać do ataku.

Trawy połyskiwały w pierwszych promieniach porannego słońca. Pax dostrzegł jakiś ruch. Nastroszona. Była na polanie, oddalona od niego o kilka susów, zamiast jak zwykle pilnować Chuderlaka w pobliżu nory. Obserwował ją, jak podskakuje z udawanym przerażeniem, a potem przewraca się gwałtownie w trawę. Zaraz potem zobaczył coś jeszcze dziwniejszego – z trawy wyłoniła się główka Chuderlaka.

Lisek wyszedł z nory. I bawił się.

Pax rzucił piżmaka. Zawołał Nastroszoną.

Wtedy Chuderlak obrócił głowę.

Pax zawołał jeszcze raz. Sprawdzał.

Chuderlak znowu zareagował. Słyszał.

Uczucie ulgi, które ogarnęło Paxa, było tak wszechwładne, że lis przez chwilę nie był w stanie się ruszyć. On, który kiedyś troszczył się tylko o jednego chłopca, teraz wprost tryskał miłością do tej nastroszonej lisicy i jej niesforne go brata. A oni w tym momencie byli bezpieczni.

Pomknął przez polanę. Nastroszona i Chuderlak rzucili się w jego stronę. Pax obrócił się na grzbiet i Chuderlak wpadł na niego. Wtedy Pax

delikatnie przetoczył się po Chuderlaku, nasłuchując jęków bólu, ale usłyszał jedynie pomruki zadowolenia.

Lisy bawiły się tak przez godzinę. Chuderlak często odpoczywał i zawsze w takich momentach pozostałe dwa zatrzymywały się i osłaniały go z obu stron. Tak jak jaskry obok nich trzy lisie pyszczki wyciągały się ku słońcu.

Nagle Nastroszona poderwała się, jej nozdrza zapulsowały.

Pax też to poczuł. Ten sam złowieszczy zapach, który niepokoił go od dwóch dni. Nie była to już delikatna smużka w powietrzu. Ten odór był silny, a stawał się coraz silniejszy.

Kojot!

Nastroszona ruszyła w stronę kryjówki, obróciła się ku polanie i skoczyła z powrotem po Chuderlaka. Pax nigdy jeszcze nie widział jej tak wystraszonej.

W tym momencie wszystkie trzy lisy zwróciły uszy w kierunku jednego miejsca w lesie – tam, skąd dobiegał szelest gałęzi poruszanych swobodnie przez stworzenie, które nie musiało starać się być niesłyszalne. To stworzenie kierowało się na północ. Wychodziło z wąwozu na polanę.

Kojot podążał śladami Chuderlaka.

Nastroszona trąciła brata nosem, żeby się podniósł, i krzyknęła do Paxa:

Pilnuj go!

Pax zagnał Chuderlaka do kryjówki. Chodząc przed wejściem tam i z powrotem, obserwował Nastroszoną, która – ostrożnie, na sztywnych nogach – zbliżała się do źródła szelestów i nagle się zatrzymała. Zastrzygła uszami, uniosła zad.

Wtem na wprost niej, dokładnie w miejscu gdzie jałowce wciąż były zgniecione po tym, jak przeciągnęli przez nie Chuderlaka, wyłonił się cętkowany kojot z głową przy ziemi.

Nastroszona szczeknęła. Kojot podniósł łeb. Nastroszona szczeknęła jeszcze raz i skoczyła na polanę.

Kojot przechylił głowę i zrobił krok w jej stronę. Po chwili znowu przyłożył nos do ziemi, szukając śladów Chuderlaka.

Instynkt kazał Paxowi uciekać. Kojot był wysokim, mocno umięśnionym samcem. Lis nie miał szans w starciu z tak dużym i agresywnym zwierzęciem. Jednak inny, jeszcze silniejszy instynkt przypomniał mu, że Chuderlak jest w swojej norze całkiem bezbronny.

Nastroszona również nie poddała się odruchowi ucieczki. Zamiast tego pobięła wprost na kojota i zbliżyła się do niego z boku.

Kojot obrócił się i kłapnął szczękami, minimalnie zahaczając o jej tylną łapę. Lisica pokuśtykała w głąb polany, skomląc, jakby była ranna. Kojot przyglądał jej się chwilę, lecz zaraz się otrząsnął, rozpoznając oszustwo, i wrócił do śledzenia pierwszego tropu.

Nastroszona wróciła. Skoczyła na ścieżkę przed kojotem i stała na wprost niego, wyginając grzbiet w łuk. Z jej gardła wydobywał się charczący ryk, jakiego Pax nigdy wcześniej nie słyszał.

Kojot cofnął się na moment, jakby zaskoczony, że taki mały lis z nim zadziera. Zaraz jednak przybrał pozycję do ataku i obnażył kły.

Pax znieruchomiał. W jego gardle zrodził się niski pomruk. Chuderlak zapiszczał w kryjówce.

Kojot skoczył na Nastroszoną i powalił ją na ziemię. W pierwszej chwili Pax widział tylko futro i zęby połyskujące wśród traw i słyszał jedynie piski i warczenie. Zaraz jednak Nastroszona wywinęła się z uścisku kojota. Znowu odskoczyła w kierunku środka polany. Tylko jeden skok.

Pax zrozumiał, że ona odciąga kojota od Chuderlaka. Pozostając poza jego zasięgiem, wabiła drapieżnika, aż dotarła do drzewa na polanie.

Wtedy, tak jak kiedyś zrobił to Pax, wskoczyła na pochyły pień. Ostrożnie szła po najniższym konarze, nie spuszczać wzroku z warczącego kojota, który śledził ją z ziemi. Kiedy dotarła do miejsca, w którym gałąź się rozwidlała, znalazła się wysoko nad głową napastnika. Syknęła prowokująco.

Kojot podskoczył. Sięgnął pazurami jedynie kory i liści. Pokręcił się pod gałęzią, szukając wzniesienia terenu, i skoczył jeszcze raz. Tym razem zaczepił przednimi łapami o gałąź i przez moment ją utrzymał, nim upadł na grzbiet. Pozbierał się i skoczył ponownie.

Pax widział, że Nastroszona była w takim miejscu na gałęzi, z którego nie mogła posunąć się dalej. Niedługo kojot ściągnie ją z drzewa albo zniecierpliwi się i znów podejmie trop, od którego go odciągnęła. Ona pójdzie za nim i będzie walczyć, póki nie zostanie rozszarpana.

Zostań! – rozkazał Pax Chuderlakowi. I rzucił się w kierunku polany.



Peter ze zgrozą wpatrywał się w dal. Przy murach młyna rosła brzoza. On i jego koledzy nazywali ją Drzewem Piratów, ponieważ jesienią żółte liście sprawiały, że wyglądała jak obsypana złotymi monetami. Kiedyś przywiązał Paxa do jej pnia, bo liskowi nie podobala się zabawa chłopców w wojnę. Drzewo Piratów wciąż stało na miejscu, ale teraz z jego gałęzi zwisały tylko poczerńiałe strzępy. Poza brzozą i samym młynem wszystko się zmieniło.

Zniknęły wszystkie drzewa z dolnej połaci pola, wyrwane z korzeniami i rozłupane na postrzępione kłody. Wokół nich wielkie łachy trawy spalone były na popiół. Na brzegu walały się obsiadłe przez wrony szczątki ryb, raków, żółwi i żab.

Najwięcej bólu sprawiało mu patrzenie na wodę. Ostatnim razem kiedy tu był, kąpał się w jezioru na początku wąwozu. Woda była taka świeża i czysta, że widział przez nią bladozielone źdźbła trzcin, lśniące łuski pstrągów, a nawet, gdy spojrzał z wody w górę, przezroczyste, błękitne skrzydełka ważek muskających powierzchnię. Zupełnie jakby pływał w ciekłych diamentach.

Teraz rzeka była pełna zabłoconych kamieni, a jezioro wyglądało jak brązowe bajoro. Jego szerokość zmniejszyła się o połowę. Grzęzawiska przy brzegach wyschły i utworzyły glinianą skorupę, która pachniała śmiercią.

Cała ta wojna toczyła się o wodę. Peter przypomniał sobie, jak Vola zapytała go, po której stronie walczy jego ojciec.

Chłopiec odpowiedział natychmiast, zdumiony, że ona w ogóle o to pyta.

– Po *słusznej* – dodał zaraz z oburzeniem.

– Chłopcze... – Vola westchnęła i powtórzyła głośniejszym głosem, żeby przyciągnąć jego uwagę: – Chłopcze! Myślisz, że ktokolwiek w całej historii świata wyruszył na wojnę po *nieśluszczej* stronie?

Zerwał się wiatr i zahuczał głośno, wzbijając kłęby popiołu. Peter próbował sobie wyobrazić, jak by to było znowu bawić się w tym miejscu. Minie dużo czasu, zanim ktokolwiek zechce się tu bawić.

Jedynymi żywymi istotami w zasięgu wzroku były sępy krążące cicho nad jego głową. Zakres zniszczeń wskazywał, że od wielu dni miały tutaj używanie. Peter obserwował je, wstrząśnięty tym ponurym widokiem. Najbliższe dwa krążyły nad sosną przy brzegu, prawdopodobnie oceniając, czy bezpiecznie będzie wrócić do posiłku, w którym im przeszkodził.

Tym posiłkiem mógł być... Peter nie był w stanie dokończyć tej myśli, nie potrafił też się jej pozbyć. Jeżeli Pax tu był, to mógł już być martwy. A jeśli tak, to sępy przedstawiały Peterowi dowód.

Unosiły się nad trzema charakterystycznymi punktami – jednym obok Petera i dwoma po drugiej stronie rzeki – powoli i leniwie. Nie musiały się spieszyć, bo ich posiłek donikąd się nie wybierał.

Peter zdjął plecak i rzucił go na ziemię. Pozbawiony tego obciążenia kilkoma susami pokonał odległość dzielącą go od sosny. Już z daleka zobaczył to, czego najbardziej się obawiał. Lisi ogon z charakterystyczną białą końcówką. Uniósł gałąź.

Szczątki zwierzęcia były już ogryzione, ale sierść pozostała. Nie była ruda. Sierść nie była ruda!

To nie Pax.

Peter gwałtownie zaczerpnął tchu. Z radości aż zakręciło mu się w głowie. Zbiegł do rzeki i zanurzył się w niej. Gdy woda sięgała mu pasa, kule ślizgały się po pokrytych mułem kamieniach, rzucił je więc na przeciwległy brzeg i zanurkował. Pierwszy raz od niemal dwóch tygodni złamana stopa nie ograniczała mu ruchów. Płynął szybko.

Wypełzył na brzeg. Zmoczony gips, oblepiony błotem, zaczął się kruszyć, a ciążył mu, jakby ważył kilkadziesiąt kilogramów. Peter wyjął z kieszeni nóż i uwolnił stopę. Zwisła blada i bezwładna, ale już bez śladów opuchlizny i zasinienia.

Sięgnął po kule i wsunął je sobie pod pachy. Kiedy wstał, zobaczył, nad czym krążyły sępy – ciało jelenia. Pomyślał o łani, którą widział na polu

Voli – „Wy, ludzie. Wszystko niszczyście” – i odwrócił wzrok.

Nieco dalej samotny sęp wisiał nad trzecim miejscem, które zaintrygowało Petera. Chłopiec szedł pod górę ścieżką, na której trawa była wypalona – wtedy szło się łatwiej.

W pierwszej chwili nie zauważył nic poza zwęgloną ziemią. Jednak gdy już prawie na to nadepnął, zobaczył. Tylna kończyna. Bez mięsa i osmalona, ale widać było, że to tylna łapa. Chuda, pokryta czarną sierścią noga z małą białą łapą. U góry strzępy futra barwy cynamonu.

Lis.

Peter zachwiał się na kulach. Może to nie był Pax. Czy ta noga nie jest za mała jak na Paxa? Zaprażył poznać odpowiedź na to pytanie, ale zaraz pożałował tego pragnienia. Zresztą jakie to miało znaczenie? Jakiś lis wiódł tutaj życie, a ludzie mu je odebrali – czy to nie wystarczająca potworność?

Postanowił rozgrzebać piach gołymi rękami, by pochować lisie szczątki.

Osunął się na ziemię. Zamiótł dłonią krąg, usuwając kamienie. Wtedy wyczuł pod palcami coś, co zamieniło powietrze w jego płucach w popiół.

Plastikowy żołnierz z karabinem dociśniętym do twardego zielonego policzka, celujący do czegoś, co stanęło mu na drodze.

Peter padł na trawę.

– PAX!



Pax dobiegł do drzewa w chwili, kiedy kojot znowu podskoczył. Tym razem napastnikowi udało się chwycić gałęzi. Lis rzucił się na niego i wgryzł się w cętkowane futro.

Kojot spadł na ziemię, lecz zdążył zatopić zęby w łopatce Paxa. Lis wyrwał się i cofnął ku południowej krawędzi polany, licząc na to, że odciągnie kojota od drzewa, od kryjówki, od lisów, które kochał.

Kojot nie poszedł za nim. Odchylił głowę i szczeknął. Potem obrócił się, by spojrzeć na Nastroszoną.

Pax położył się i zaczął czołgać z powrotem w stronę drzewa. Nagle się zatrzymał. Obrócił głowę w kierunku obozu ludzi – coś usłyszał.

Głos jego chłopca?

Wysoki kojot przed nim znowu szczeknął. Tym razem doczekał się odpowiedzi. Spośród jałowców wyłoniły się trzy pary uszu. Wybiegł drugi kojot, też samiec, przysadzisty, jasnej barwy. Rozejrzał się i ruszył biegiem ku drzewu.

Nastroszona zawyla groźnie i zjeżyła sierść, ale Pax widział przerażenie w jej oczach.

Drugi kojot grzebał w ziemi pod drzewem.

Wtedy Pax znowu co usłyszał. Jego chłopiec wzywający go po imieniu.

Pomknął jak błyskawica przez polanę i dalej między drzewami. Zatrzymał się na wzniesieniu ponad młynem.

Zarażeni wojną zbiegali z murów z uniesionymi kijami i gromadzili się wokół jakiejś postaci na polu.

Czarnowłosy młodzik zwinięty w kłębek na spalonej ziemi. Jego chłopiec? Wiatr wiejący z północy nic mu nie mówił.

Żołnierze z groźnie sterczącymi kijami zatrzymali się. Chłopiec wstał. Był wysoki, lecz jego ciało nie wyglądało jak ciało Petera – ramiona tego chłopca były szerokie, a pod jedno z nich wsunięty był cienki drąg. Jeszcze dziwniejsze wydawało się co, że ten chłopiec trzymał głowę wysoko, a nie pochylał jej. Sprzeciwiał się dorosłym mężczyznom – uniósł pięść i wymachiwał nią w ich stronę – a czegoś takiego Pax nigdy nie widział u Petera.

W dół zbocza biegł jeden z żołnierzy. Poruszał się jak ojciec Petera. Kiedy krzyknął, Pax rozpoznał go po głosie. Potem jednak podszedł do chłopca i objął go, a tego znany Paxowi mężczyzna nigdy nie robił.

Czy to jego ludzie? Pax próbował węszyć, ale podmuchy wiatru przynosiły jedynie zapach rozzłoszczonych kojotów. Zawrócił na polanę.



Peter pozwolił ojcu się objąć. Przez tyle lat marzył o tym uścisku, dającym poczucie bezpieczeństwa i miłości. Czuł, jak ciało ojca drży wstrząsane spazmami szlochu, i tak bardzo chciałby go zapewnić, że wszystko z nim w porządku. Ale to nie byłaby prawda. Wciąż mocno zaciskał palce – jedną dłoń na uchwycie kuli, drugą na żołnierzyku.

Odsunął się.

– Co ty tu robisz? Mówiłeś, że będziesz tylko kładł kable...

Nagle wszystko zrozumiał. Dlaczego pozostali mężczyźni się nie zbliżali. Dlaczego trawa była spalona, drzewa wyrwane, a rzeka zasypiana kamieniami. Jak to możliwe, że z lisa nie pozostało nic poza łapą.

– Wiedziałeś. – Wsunął plastikowego żołnierzyka do kieszeni i podniósł lisią nogę. – Wiedziałeś! I zobacz, co zrobiłeś! *Pax!*



Paxowi znowu się wydało, że słyszy głos chłopca. Zwrócił uszy w stronę obozu.

W tym momencie wiatr zmienił kierunek. Lis wyczuł pot zarażonych wojnę, ich materiały wybuchowe, ich paliwo do silników, ich zwęglone pola.

I swoich dwóch ludzi.

Pobiegł z powrotem na górski grzbiet.

Zobaczył chłopca podnoszącego coś z ziemi. Kij, ale nie kij. Coś pokrytego futrem i złamanego.

Nozdrzy lisa dosięgnął zapach wielkiego smutku. Świeży i wyraźny, dobiegający od chłopca. Ale też stary, sfatygowany zapach wydzielany przez jego ojca. A więc nie tylko Peter tak pachniał. To był zapach ludzi.

Jego chłopiec uniósł tę złamaną rzecz nad głowę i wykrzyknął coś ze złością. I wtedy...

– Pax!

Pax zaszczekał.



Peter uniósł nad głowę to, co pozostało z lisa, i znowu wykrzyknął jego imię:
– Pax!

W odpowiedzi znad młyna dobiegło szczeknięcie. Chłopiec poczuł, jak rodzi się w nim nadzieja. Ale nie, musiało mu się zdawać, bo tak bardzo pragnął usłyszeć to szczeknięcie.

Mimo wszystko przyjrzał się uważnie wzniesieniu nad obozem. Rudy błysk. Białą zakończona kita. W prześwicie między drzewami pojawił się lis. Stał na tylnych łapach – na dwóch tylnych łapach? – i spoglądał wprost na niego.

Peter wcisnął lisią nogę ojcu do ręki.

– Zakop to.

Chwycił za drugą kulę i obrócił się w stronę wzgórza.

– Peter! Zaczekaj! Zrozum, to mój obowiązek.

Chłopiec wskazał na lisa w oddali. Uderzył się w pierś tak mocno, że aż go zabolalo.

– A tam jest mój obowiązek.

Ojciec krzyczał za nim coś o kablach; krzyczał, żeby się zatrzymał. Peter spojrzał na te kable, ale się nie zatrzymał. Przeszedł ponad nimi, bo liczył się tylko jego lis czekający na góskim grzbiecie i dzieląca ich odległość. Krok po kroku stawiał kule przed sobą i kołysał się między nimi, aby zmniejszyć ten dystans.

Kiedy już prawie dotarł do celu – koszulę na nim zdążył osuszyć wiatr, a później znowu zmoczyć pot – zatrzymał się i zawołał. Pax uniósł raptownie głowę i rzucił się ku drzewom.

Na czterech łapach! Peter nie miał wątpliwości – Pax był cały.

Chłopiec ruszył za nim. Nie miał żalu do lisa o poddawanie go tej próbie. Wiedział, że stracił zaufanie swojego futrzastego przyjaciela – Pax miał więc prawo do tej płochliwości. Miał prawo sprawdzić teraz lojalność Petera. Tak długo jak Pax będzie chciał, Peter będzie się mu podporządkowywać – to uczciwa kara. Z tym postanowieniem Peter posuwał się między drzewami. Jeszcze sto metrów. Jeszcze sto.

W końcu wyszli na polanę. Lis zatrzymał się i czekał. Peter doszedł do niego. Wyciągnął rękę.

– Przepraszam. Tak bardzo przepraszam...

Pax spojrzał mu w oczy i nagle chwycił go szczękami za nadgarstek. Tętno chłopca przyspieszyło, gdy jego ręka zetknęła się z rzędami zębów ściskających na tyle mocno, by połączyć się z nim w jedno. Na tyle mocno, by obudzić w Peterze jego własną dzikość. Dwie rzeczy są w istocie jedną rzeczą.

Po chwili Pax puścił rękę Petera i pognął przez polanę w kierunku pochylonego drzewa. Wokół pnia krążyły dwa kojoty. Pax rzucił się na wyższego.

– Nie! Pax! Wracaj! – Drzewo było tak daleko... co najmniej pięćdziesiąt metrów. Peter wbił kule w ziemię i zaczął posuwać się w tamtą stronę.

Gdy od celu dzieliło go już tylko kilkanaście metrów, zobaczył, na co polowały kojoty – na drzewie siedział lis o jaskrawej sierści i spiczastym, drobnym pyszczku. Lisica. Krwawiła z rany na tylnej łapie, a zamiast gęstej kity miała cienki, zwęglony wiecheć.

Lisica zaczęła z góry jednego z kojotów, jakby z niego drwiła, a Pax kłapał szczęką, atakując bok drugiego. Peter widział, że oba lisy stanowią jeden zespół.

Wiedział też, że nie mają szans z kojotami.

Chłopiec z krzykiem ruszył w kierunku drzewa, ale kojoty w ogóle nie zareagowały. Wyższy z nich obrócił się i wbił zęby w kark Paxa. Lis pisnął.

Wtedy Peter zawył z wściekłością. Podparł się na jednej kuli, odchylił się do tyłu, a drugą kulę – ciężki jesionowy kij – wycelował między kojoty i ruszył do ataku.

Oba zwierzęta, zaskoczone tym napadem furii, zwróciły się w jego stronę. Kiedy drzewo zadudniło od uderzenia kijem, wysoki ciemny kojot uciekł

i zniknął w zaroślach. Drugi odbiegł na kilkanaście metrów, zatrzymał się i obrócił.

Spojrzał na Petera i obnażył kły.

W odpowiedzi Peter także obnażył kły. Pax zawarczał i zjeżył sierść, gotów do skoku. Peter przesunął jedną z kul nad głowę i znowu zaryczał, a lis warknął groźnie. Płowy kojot cofnął się zaskoczony. Obrócił się i opuścił polanę.

Peter mocno objął drzewo. Drżąc, osunął się na ziemię.

W jednej chwili Pax znalazł się przy nim. Wsuwał mordkę pod jego szyję, lizał go po policzkach, obwąchiwał złamaną stopę i znowu trącał go pyszczkiem po twarzy. Peter objął lisa i wtulił twarz w jego pachnące lasem futro.

– Jesteś cały, jesteś cały, jesteś cały!

Lisica zeskoczyła z gałęzi i zniknęła pośród jałowców otaczających polanę. Pax usiadł i zaszczeakał do niej z kolan Petera.

Po chwili z zarośli wysunął się czarny pyszczek.

Zaraz potem wyłonił się chudy lisek mniej więcej takiej wielkości, jakiej był Pax w wieku ośmiu miesięcy. Oślepiiony słońcem mrużył oczy. Wszedł na polanę na trzech łapach. Za nim powróciła lisica. Strofowała chuderlawego liska, rzucając nieufne spojrzenia na Petera.



Pax wyrwał się z objęć chłopca i znowu szczeknął. Lis o trzech łapach zrobił kilka kroków naprzód. Kuśtykał tak niezgrabnie, że Peter od razu

poznał, że stracił kończynę całkiem niedawno. I nagle połączył fakty.

Wysunął rękę i zawołał łagodnie. Mały lisek kuśtykał niepewnie, spoglądając z wahaniem to na Petera, to na Paxa. Wsunął głowę pod brodę Paxa.

Chłopiec wyciągnął palec. Okaleczony lisek pozwolił pogłaskać się po karku i zaraz uciekł w pobliże lisicy.

Oba lisy spojrzały na Paxa wyczekująco, a następnie zanurzyły się w zarośla.

Nagle Peter zrozumiał. Pax należał do nich. A one należały do Paxa. Nierozłączni.

Przeszedł taką długą drogę. Taką drogę.

Ukląkł. Położył dłoń na grzbiecie Paxa i wyczuł napięcie mięśni.

Peter rozejrzał się. Teraz las wydał mu się groźny, pełen czyhających kojotów i niedźwiedzi, a wkrótce także ludzi biorących udział w wojnie. Popatrzył na swojego lisa, który wciąż był spięty, gotów biec za swoją rodziną.

– No, idź. W porządku. – Wcale nie było w porządku. Peter cierpiał; to cierpienie zżerało go od wewnątrz, odbierało mu dech, jakby ktoś mocno uderzył go w serce. Cofnął rękę, bo gdyby Pax wyczuł tak głęboki ból, nie odszedłby. – Idź!

Pax ruszył w kierunku krzaków. Po chwili obejrzał się, by jeszcze raz spojrzeć na swojego chłopca.

Peter czuł łzy płynące mu po policzkach, ale ich nie ścierał.

Lis jednym susem znów znalazł się przy nim. Skomląc, zlizywał krople z jego twarzy.

Peter odepchnął go łagodnie. Sięgnął po kulę i podciągnął się.

– Nie. Nie chcę, żebyś zostawał. Moje drzwi będą zawsze otwarte, ale musisz iść.

Pax spojrzał na zarośla, a potem znów na twarz chłopca.

Peter pogrzebał w kieszeni i wyjął znaną lisowi zabawkę. Zamachnął się.

Pax uniósł głowę i wbił wzrok w dłoń chłopca.

I Peter rzucił plastikowego żołnierzyka ponad krzakami w głąb lasu, tak daleko, jak tylko pozwalały mu siły.

Czasami jabłko

pada bardzo daleko

od jabłoni.

PODZIĘKOWANIA

Lisy. Im więcej się o nich dowiadywałam, tym bardziej je podziwiałam i tym większy szacunek chciałam im wyrazić. Jestem dłużniczką Matthew Waltera, biologa ze stanu Nowy Jork i zamiłowanego obserwatora przyrody, który przez wiele lat badał lisy w terenie. Jeśli prawidłowo przedstawiłam zachowanie lisów, to tylko dlatego że Matthew podzielił się ze mną swoją bogatą wiedzą. Jeśli coś opisałam nieprawidłowo, to dlatego że taki był wymóg tej opowieści. Zachęcam czytelników do własnych odkryć na temat tych wspaniałych zwierząt.

Pax wciąż byłby stertą nieuporządkowanych kartek, gdyby nie niżej wymienione osoby. Moje dzieci, które – choć dorosłe – wciąż mi przypominają, jakie niezwykle więzi mogą łączyć dzieci i zwierzęta. Moje grupy pisarskie Z północy i południa – inteligentni, dociekliwi pisarze, którzy zrozumieli i pokochali tę książkę od pierwszego dnia, gdy podzieliłam się z nimi jej załączkiem. Moja redaktorka Donna Bray, która służyła mi radą i pomocą. Całe wydawnictwo HarperCollins, które udzielało mi wielkiego wsparcia. Cierpliwy David, który znosił moją nieobecność, gdy zajmowałam się lisami.

I w końcu Chris Crutcher – dziękuję ci za historię ukrytą w historii wewnątrz historii. Wiesz którą.



Fascynująca opowieść o chłopcu
i jego lisie (lub lisie i jego chłopcu),
o stracie i miłości, dzięki przyrodzie i wolności
oraz wojnie. Dynamiczna akcja, prawdziwe
emocje i uniwersalne tematy czynią z niej
nowoczesną klasykę na miarę *Małego Księcia*.

*Porażająco szczery, piękny, a chwilami
łamiący serce „Pax” to po prostu arcydzieło.*

Katherine Applegate, autorka książki
Jedyny i niepowtarzalny Ivan

*„Pax” to książka, która jest jak lis Pax:
na wpół dzika i niezwykle piękna.*

„New York Times”

Patroni medialni:



lubimyczytać.pl

www.iuvi.pl

Cena 29,90 zł (w tym VAT 5%)

ISBN: 978-83-7966-028-5



DOBRE KSIĄŻKI

ANGORKA



9 788379 660285